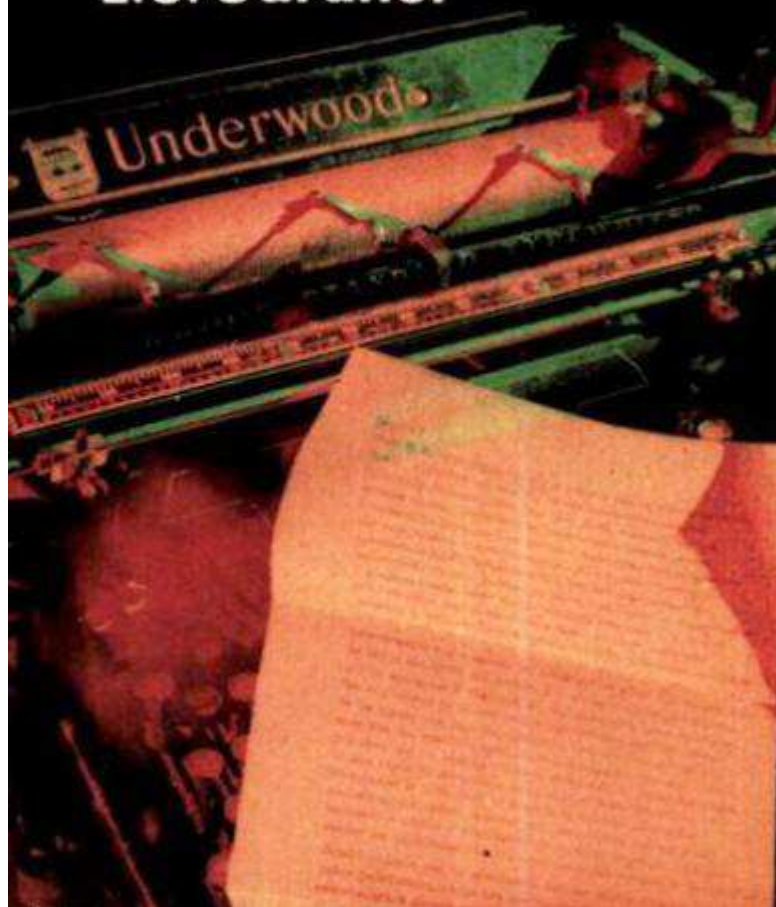


Zalotna rozwódka

E. S. Gardner





W wannie, za zasłoną, stała dziewczyna. Nie było słychać szumu lecącej wody, musiała ją przed chwilą zakręcić. Obok wanny stał biały metalowy taboret, a na nim leżał połyskujący stalą rewolwer—płaski, złowieszczy i brzydki.

Kiedy Mason tak stał, przyglądając się sylwetce kobiety, zza zasłony wysunęło się nagie, ociekające wodą ramię.

Mokra dłoń podniosła rewolwer.

Erle Stanley Gardner

Zalotna

rozwódka

Przełożyła Barbara Zielonka



Krajowa Agencja Wydawnicza

Tytuł oryginału

The Case of the Cautious Coquette

Układ typograficzny okładki i karty tytułowej

Teresa Cichowicz-Porada

Fotograficzny projekt okładki

Jan i Waldyna Fleischmannowie

Redaktor techniczny

Alina Szubert

Korektor

Lucyna Lewandowska

Copyright by *Erle Stanley Gardner*

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „PRASA-KSIAŻKA-RUCH”

WARSZAWA 1977

Wydanie pierwsze.

Nakład: 1/100 000 + 350 egz.

Objętość: ark. wyd. 11,24; ark. druk. 11,05

Papier offsetowy kJ. V, rola 96 cm, 70 g,

Oddano do składu 31 stycznia 1977 r.

Podpisano do druku w kwietniu 1977 r.

Druk ukończono w maju 1977 r.

Skład, druk i oprawa:

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

Warszawa,

ul. Miedziana 11

Nr prod. XII-5/68/76 F-21 Zam. 897/k

Cena zł 35 -

OSOBY

PERRY MASON

- znakomity i obrotny adwokat, który wpadł w tarapaty

PAUL DRAKE

- równie znakomity detektyw, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych

DELLA STREET

- zaufana sekretarka Masona, znawczyni duszy kobiecej

LUCILLE BARTON

- piękna, zalotna, zagadkowa blondynka

ARTUR COLSON

- oddany wspólnik Lucille; jego rady są bardzo niebezpieczne

HARTWELL L. PITKIN

- szofer i lokaj Stephena Argyle'a, człowiek o wątpliwej przeszłości i bez żadnej przyszłości

STEPHEN ARGYLE

- bogaty biznesmen, który był gotów do przyjęcia odpowiedzialności

CARLOTTA BOONE

- kobieta lubiąca gotówkę, acz nie gardząca czekami

DANIEL CAFFEE

- jeszcze jeden bogaty człowiek, gotów do przyjęcia odpowiedzialności

BOB FINCHLEY

- młody człowiek, którego złamane biodro dało początek całej awanturze

FRANK P. INGLE

- wytracony z równowagi przebiegły agent towarzystwa ubezpieczeniowego

PORUCZNIK TRAGG

- z Wydziału Zabójstw - sarkastyczny i podejrzliwy,
ale mimo to gotów do współpracy

CARL EVERT GOSHEN

- pechowy świadek

JERRY LANDO

- wysoki, dobrze zbudowany, dobronudzny i... go-
tów na wszystko

SIERŻANT HOLCOMB

- również z Wydziału Zabójstw i również podejrz-
liwy, ale za to przeciwny współpracy

HAMILTON BURGER

- prokurator okręgowy - wielki, niezgrabny, pełen
godności i wrogości, zdecydowany zniszczyć Perry Maso-
na

SĘDZIA OSBORN

- urzędowanie w ponurych salach sądowych nie
zniszczyło jednak jego poczucia humoru

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dokładnie o dziewiątej rano Perry Mason przysiadł się do Paula Drake'a, aby z nim zjeść śniadanie.

Wysoki mężczyzna, szef Agencji Detektywistycznej Drake'a, uśmiechnął się na widok prawnika i powiedział:

- Twój zegarek późni się trzydzieści sekund, Perry.

Mason potrząsnął głową przecząco.

- Nie, to twój się spieszy o trzydzieści sekund. Czy już coś zamówiłeś?

- Tak - odpowiedział Drake. - Podwójny sok ananasowy, jajka na szynce, tost i kawę. Zaraz to podadzą. Widziałeś jakie ogłoszenie dałem do gazet?

- Nie - odparł Mason. - Jakie?

- W sprawie Finchleya.

- Właśnie miałem cię o to zapytać.

- Dałem ogłoszenie do gazet porannych i jedno do wczorajszego wydania „Blade”.

W tej chwili do stolika podszedł kelner i stawiając przed nimi obydwojma sok, zwrócił się do Masona:

- Dzień dobry panu, zaraz podam jajka i szynkę. Pan Drake to wszystko zamówił i powiedział, że pan zaraz przyjdzie.

- Nawet już przyszedłem.

Drake wypił jednym haustem pół szklanki soku, odsta-
wił go i sięgnął do teczki po gazetę.

- Masz, czytaj - powiedział.

Mason spojrział na ogłoszenie, które mu pokazał detek-
tyw.

*STO DOLARÓW NAGRODY!!! Jeśli osoby, które zmie-
niały koło w samochodzie zaparkowanym przy skrzyżo-
waniu Hickman Avenue i Vermesillo Drive trzeciego b.m.
około godziny piątej po południu, skomunikują się z
Agencją Detektywistyczną Drake'a i podadzą opis umoż-
liwiający zidentyfikowanie czarnego samochodu (który
jadąc z dużą szybkością Vermesillo Drive w kierunku
wschodnim, zderzył się z fordem jadącym Hickman Ave-
nue w kierunku północnym), dostaną sto dolarów płatne
gotówką. Widziano, że młoda kobieta siedząca w zapar-
kowanym aucie zapisywała numer czarnego samochodu,
ale odjechała ona przed przybyciem karetki pogotowia.
Każdy, kto udzieli jakiegokolwiek informacji mogącej po-
móc w zidentyfikowaniu kierowcy, który spowodował
wypadek i uciekł, otrzyma sto dolarów. Proszę przysyłać
informacje na adres Detektywistycznej Agencji Drake'a,
skrytka 624.*

- To powinno coś dać - powiedział Mason odkłada-
jąc złożoną gazetę. - Młody Finchley jest ciężko ranny...
Nienawidzę kierowców, którzy powodują wypadek i ucie-
kają.

- Pewnie wypił trochę i bał się zostać - powiedział
Drake. - Zresztą możliwe, że ci ludzie z zaparkowanego
samochodu nic nie widzieli.

- Powiedziano mi, że widzieli - odparł Mason. - By-
ło ich dwoje w samochodzie, mężczyzna i kobieta.

Samochód był jasny, prawie nowy. Właśnie skończyli zmieniać koło i mężczyzna wkładał oponę do bagażnika, kiedy zdarzył się ten wypadek. Kobieta zapisała coś w notesie. Najprawdopodobniej był to numer wozu, który potrąciwszy forda Finchleyów, odrzucił go na latarnię, po czym nie zatrzymując się odjechał z miejsca wypadku.

Kelner przyniósł jajka, szynkę, przyrumieniony toast i kawę.

- A co będzie, jeśli ich zeznanie będzie niepomysłne dla twego klienta? - spytał Drake.

- To niemożliwe, jeżeli będą mówić prawdę. Zresztą i tak dowiem się, kim oni są. Nie chcę, żeby trzymali się na uboczu i pewnego dnia wystąpili niespodziewanie jako świadkowie zeznający na korzyść oskarżonego.

Kelner zjawił się znowu koło ich stolika i powiedział przepraszająco:

- Dzwonią od pana z biura, panie Drake. Pana sekretarka prosiła, żebym panu powiedział, że przyszła odpowiedź na to ogłoszenie w gazetach. Chciała, żeby pan dowiedział się o tym teraz, dopóki jest pan z panem Masonem.

- Niech przyniosą tę odpowiedź tutaj - polecił Drake. - Proszę powiedzieć mojej sekretarce, żeby ktoś przywiózł ten list taksówką.

Mason uśmiechnął się.

- Widzisz Paul, co może zrobić ogłoszenie.

- Chcesz powiedzieć, co mogą zrobić pieniądze - odciął się Drake.

- Młody Finchley ma złamane biodro - powiedział Mason. - A miał zamiar właśnie zrobić dyplom w college'u. Naprawdę chciałbym przyłapać tego kierowcę.

Drake pił kawę powoli, małymi łykami.

- Wątpię, czy ci się to uda. - W jego głosie brzmiało zniechęcenie. - Kierowca tego samochodu był pijany.

Gdybyś go przyhaczył na miejscu wypadku, mógłbyś to udowodnić, a w tej chwili usłyszysz od niego piękną historijkę, że samochód Finchleya wpadł na niego, że obejrzał się i był pewny, że nic się nie stało...

- Wtedy przygwoźdź go oskarżeniem o nieudzielenie pomocy po wypadku - powiedział Mason.

Drake uśmiechnął się.

- To ci się tylko tak wydaje. Pewnie się okaże, że facet ma jakiegoś wpływowego przyjaciela albo i dwóch, którzy zadzwonią do prokuratora. W końcu okaże się, że w całym mieście ma pełno wpływowych przyjaciół, którzy będą wydzwaniać, żeby powiedzieć jaki to porządny gość, wzorowy ojciec rodziny, opiekun psów i kotów, osobnik, który wpłaca poważne sumy na cele religijne i na właściwą partię polityczną.

- Przygwoźdź go pomimo wszystko - odparł Mason. - Sprowadzę go jako świadka i dobię mu się do skóry.

- Nie będziesz mógł zrobić nawet tego - powiedział Drake. - Przedstawiciel jakiegoś towarzystwa ubezpieczeniowego zakręci się koło Boba Finchleya i powie mu, że jeżeli wygra w sądzie, to i tak będzie musiał zapłacić adwokatom, a przedtem straci kupę nerwów, nie będąc pewnym, jaki obrót przyjmie jego sprawa. Powie mu, że będzie musiał walczyć aż do wniesienia sprawy przed Sąd Najwyższy, a w rezultacie nie uzyska nawet połowy tego, co może uzyskać, godząc się na propozycję towarzystwa ubezpieczeniowego, którego przedstawiciel właśnie do niego przemawia i które chce opłacić lekarzy i szpital i jeszcze dać mu trochę pieniędzy na nowy samochód. A w dodatku dzięki kontaktom, które ma towarzystwo, może ono zaproponować Finchleyowi jeden z ostatnich modeli...

- Zamknij się - przerwał mu ze śmiechem Mason. - Psujesz mi apetyt.

- Opowiedziałem ci tylko, co będzie - powiedział Drake.

- Wiem, co będzie - odparł Mason. - Pozwól mi tylko znaleźć kierowcę czarnego samochodu, a już ja mu dam do myślenia.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Pojawił się kelner.

- Przyszedł ktoś z pańskiego biura, panie Drake. Kazał mi oddać panu tę kopertę i zapytać, czy ma czekać na polecenia.

- Nie - odpowiedział Drake. - Ten list powinien mówić sam za siebie.

Otworzył kopertę zrobioną z grubego papieru i wysłaną pocztą na adres Agencji Detektywistycznej Drake'a i powiedział:

- Jest w niej coś ciężkiego, Perry.

Potrząsnął kopertą, z której wypadł na stół klucz. Drake spojrział na niego ze zdumieniem.

- Pewnie jest to klucz do rozwiązania zagadki - zażartował Mason.

- Przestań, za wcześnie na dowcipy - skrzywił się Drake.

- Jest jakiś list? - spytał Mason.

Drake położył klucz na obrusie i wyjął list pisany na maszynie na kolorowym papierze w dobrym gatunku.

- Data jest wczorajsza - zauważył Drake - a list zaadresowano do Agencji Detektywistycznej Drake'a.

Oto jego treść:

Panowie!

Osoby, do których zwracacie się o pomoc w popołudniowym wydaniu „Blade”, nigdy nie zgłoszą się do was dobrowolnie. Ponieważ lubię fair play, przekazę wam następujące informacje.

Kiedy wydarzył się ten wypadek wczoraj po południu na skrzyżowaniu Hickman Avenue i Vermesillo Drive,

Lucille Barton i mężczyzna, którego nazwiska nie znam, właśnie skończyli zmieniać koło w jasnobrażowym samochodzie panny Barton. Auto było zaparkowane na południowej stronie Vermesillo Drive i na wschód od skrzyżowania z Hickman Avenue. Panna Barton widziała zderzenie i z ogromną przytomnością umysłu zanotowała numer czarnego samochodu, jadącego z dużą szybkością Vermesillo Drive w kierunku wschodnim.

Później powiedziała swemu towarzyszkowi, co zrobiła. Mężczyzna ogarnięty paniką zaczął jej tłumaczyć, iż byłby zrujnowany, gdyby dowiedziano się, że był z nią w tym czasie. (Nie zdołałem się dowiedzieć, kim był ów mężczyzna i dlaczego bał się ujawnienia swego nazwiska.) Nawiasem mówiąc jestem dobrym przyjacielem Lucille. Wiem, że ta sprawa nie daje jej spokoju, ale w tych okolicznościach nie może przekazać wam informacji, której oczekujecie, nie może również przyznać się do tego, że widziała wypadek.

Mimo to mogę wam pomóc, bo mam klucz do mieszkania Lucille, przy South Gondola nr 719 (mieszkanie nr 208). Jest to nieduży blok; brama jest stale zamknięta, ale jeżeli naciśnięcie dzwonek, to któryś z lokatorów może przycisnąć u siebie w mieszkaniu guzik, który powoduje odsunięcie zasuw na dole. Bramę można również otworzyć kluczem od mieszkania. Jeżeli pójdzie pan domieszkania Lucille między drugą a piątą po południu, nikogo tam nie będzie. W salonie zobaczy pan sekretarzyk. W górnym schowku po prawej stronie znajdzie pan skórzaną notesik, w którym na przedostatniej stronie jest zapisany numer czarnego samochodu. Kiedy się pan upewni, że jest to numer samochodu, którego pan poszukuje, skontaktuj się z panem, aby odebrać klucz i obiecaną nagrodę w wysokości stu dolarów.

Pozostaję z szacunkiem - „Przyjaciel”

Drake spojrzął na Masona i stwierdził:

- To jakaś podejrzana sprawa.
- Czy nie napisał nic odręcznie? - spytał Mason.
- Ani słówka. Podpis jest również pisany na maszynie, tak jak cały list.

- Pokaż mi go na chwilę - poprosił Mason.

Drake podał list Masonowi.

- Niechlujnie napisane, Paul - skonstatował Mason. Odstępy między literami są nierówne, ktoś uderzał w klawisze poza linią... Wszystko to razem świadczy, że ten, kto pisał, jest amatorem.

Drake przytaknął.

- Tak, widać wyraźnie, że list jest pisany jednym palcem, ale za to szybko. Stąd wynikły nierówne odstępy między literami i opuszczenia. Co o tym myślisz?

- Niech mnie licho porwie, jeśli wiem, co mam o tym myśleć. Wygląda mi to na pułapkę. Pokażę ten list Delli. Niech spojrzy na niego kobiecym okiem i powie, co o tym sądzi.

Mason wziął klucz do ręki, obejrzał go dokładnie, zwrócił uwagę na liczbę „208” wybitą na nim, potem włożył go do kieszeni kamizelki i powiedział:

- Jest to jednak trop, którego nie możemy zlekceważyć.

Drake zaniepokoił się nagle.

- Nie chodź do tego mieszkania, Perry. To może być niebezpieczne. Gdyby ktoś cię przyłapał, jak tam węszysz, mógłby...

- Co mógłby? - spytał Mason uśmiechając się. - Aby stwierdzić włamanie trzeba udowodnić, że dokonano go dla celów przestępczych albo...

- Albo ktoś cię może wziąć za włamywacza i najpierw strzelić do ciebie, a dopiero potem zadawać pytania - dopowiedział Drake.

- Nie oczekujesz chyba, żebym porzucił ten trop? - spytał Mason.

Drake odsunął talerz i podniósł rachunek.

- Do diabła, nie - powiedział. - Czy chcesz go zapłacić od razu, Perry, czy też wolisz, żebym wpisał to na listę kosztów własnych i przedstawił ci później do zapłacenia z dziesięcioprocentowym dodatkiem?

Mason wziął od niego rachunek uśmiechając się.

- Wolę go teraz zapłacić... Ten list niepokoi mnie, Paul. Gdyby się za tym nic nie kryło, autor przepisałby po prostu numer czarnego samochodu z notesu i zażądałby stu dolarów.

- To jest jakaś pułapka - stwierdził Drake.

- Interesuje mnie przynęta, Paul.

- Na tym właśnie polegają pułapki - odpowiedział Drake.

ROZDZIAŁ DRUGI

Della Street, zaufana sekretarka Perry Masona, położyła na biurku prawnika listy posegregowane na trzy grupy. Listy „ważne” leżały ułożone starannie na środku bibularza, aby Mason zauważył je od razu. Mason wszedł przez drzwi prowadzące bezpośrednio do jego prywatnego gabinetu, wyjął klucz, uśmiechnął się do Delli, a ujrawszy listy na bibularzu skrzywił się.

- Cześć, Della.

- Dzień dobry. Widziałeś się z Paulem Drake?

- Tak.

- Dzwonili do ciebie z jego biura. Wiedziałam, że byłeś z nim na śniadaniu.

Mason powiesił kapelusz, spojrzął na stos listów „ważnych” i powiedział:

- O ile się nie mylę, nie wolno mi odkładać załatwienia tych listów.

Kiwnęła głową.

- Jest tu jeszcze jeden - powiedział Mason. - Połóż go na listach „ważnych”.

- Co to jest?

- List, który dostał Paul Drake.

- O tym świadku?

- Tak.

- Co jest w tym liście?

- Przeczytaj go.

Della Street wzięła list, zaczęła go czytać pobieżnie, potem zmrużyła oczy i doczytała go do końca uważnie.

- Gdzie jest ten klucz? - spytała w końcu.

Mason wyjął klucz z kieszeni kamizelki.

Della przyglądała mu się przez chwilę, potem zaczęła z uwagą czytać list po raz drugi.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Mason.

- Nic nie sędzę.

- Pułapka?

- Na kogo? - spytała.

- Teraz mnie, Della, zagiętaś - odrzekł Mason.

- Jeżeli ktoś myślał, że Paul Drake przekaże ci list i że ty tam sam pójdziesz, powiedziałabym wtedy, że to może być pułapka, ale biorąc pod uwagę ogłoszenie, można się było raczej spodziewać, że Paul Drake wyśle któregoś ze swoich ludzi - i to obojętnie którego.

Mason skinął głową.

- A więc - kontynuowała Della - jeśli odrzucimy pułapkę, to co to ma znaczyć?

- Czy ten ust mogła napisać sama panna Barton? - spytał Mason.

- Po co?
- Może w celu sprzedania tajemniczego przyjaciela, który nie chciał być rozpoznany, i zarobienia na skutek tego stu dolarów?
- Być może - odparła Della.
- A co ci podpowiada twój prosty kobiecy rozum?
- Jeśli kobiecy, to nie prosty a krętacki - zaśmiała się Della.
- W tym wypadku nawet bardzo krętacki. Jakie jest twoje zdanie?
- Nie lubię się wychylać z własnym zdaniem, ale powiem ci, że twoja teoria jest właściwa. Ta dziewczyna chce zarobić sto dolarów. Chce, żeby Agencja Detektywistyczna Drake'a dowiedziała się, jaki jest numer poszukiwanego samochodu. Wtedy ona zgłosi się po nagrodę. Zrobi to cichaczem, żeby jej przyjaciel nie dowiedział się, że to ona dostarczyła informacji... Czy będziesz mógł udowodnić, że to właśnie ten samochód, kiedy go znajdziesz?
- Sądzę, że tak - odpowiedział Mason. - Jechał z dużą szybkością i wyskoczył przed forda Finchleyów. Pani Finchley próbowała zahamować, ale nie mogła i wpadła na ów czarny tajemniczy samochód od tyłu. Zderzak czarnego wozu musiał zaczepić o przedni zderzak jej auta i wtedy ją zarzuciło. Straciła zupełnie kontrolę nad kierownicą i walnęła o latarnię, a jej dwudziestodwuletni syn wypadł z samochodu i roztrzaskał sobie biodro o słup tejże latarni.
- Mówiąc ściśle - zauważyła Della Street - to ona wpadła na czarny samochód, a nie samochód na nią.
- Prawdopodobnie kierowca czarnego samochodu będzie tak to przedstawiał - odparł Mason - ale ponieważ uciekł z miejsca wypadku, trudno mu będzie znaleźć linię obrony, której bym nie podważył.

- Czy może powiedzieć, że nie wiedział o tym, iż wpadł na drugi samochód?

- Uderzenie było zbyt silne, żeby się w ten sposób tłumaczyć. Zresztą będzie można powiedzieć coś więcej, kiedy zobaczymy jego samochód... Jeżeli go w ogóle zobaczymy.

- A co zamierzasz zrobić w sprawie tajemniczej Lucille Barton?

- Mam zamiar się z nią spotkać.

- Chcesz powiedzieć, że skorzystasz z tego klucza i wejdiesz do jej mieszkania?

Mason potrząsnął głową.

- Nie ma sensu iść tam, kiedy jej nie będzie. Jeśli to ona jest świadkiem, którego szukamy, to możemy się czegoś dowiedzieć w czasie rozmowy. W każdym razie powinniśmy przynajmniej spróbować.

- Między drugą a piątą?

- O nie, wtedy jej nie będzie - odpowiedział Mason. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się. - Pójdę tam między dziesiątą i jedenastą.

- Potrzebujesz świadka?

- Nie, Della. Myślę, że uzyskam więcej, jeżeli sam z nią porozmawiam.

- Zamierzasz jej powiedzieć o liście?

- Nie.

Della Street spojrzała ze smutkiem na stos „ważnych” listów leżących na samym środku bibularza.

- Sama na nie odpisz - powiedział Mason idąc za jej spojrzaniem. - Zastanów się, co trzeba odpisać i...

- Szefie, na te listy musisz odpowiedzieć osobiście.

- Wiem, ale pomyśl tylko o Lucille Barton, o tym że lubi prawdopodobnie spać do późna, o tym, że numer samochodu, dzięki któremu Bob Finchley ma złamane biodro, jest w schowku po prawej stronie sekretarzyka...

Sekretarzyk w salonie to trochę niezwykle, jak na mieszkanie pracującej kobiety. Jak myślisz, co robi Lucille Barton?

- A kto ci powiedział, że ona pracuje? - spytała Della.

- Zrób kopię tego listu, Della - powiedział Mason. - Wezmę ją ze sobą. Być może będę musiał pokazać jej ten list, ale nie widzę potrzeby pokazywania oryginału.

Della Street skinęła głową, podeszła do swego biurka, włożyła papier do maszyny i zaczęła pisać. Mason przyglądał się jej palcom szybko i pewnie uderzającym w klawisze, a kiedy podała mu kopię, stwierdził:

- Wygląda to dużo lepiej niż oryginał, Della.

- Oryginał pisał ktoś, kto posługuje się jednym palcem, ale robi to bardzo dobrze i szybko - odpowiedziała Della.

- Tak też myślałem.

- Pisał prawdopodobnie na przenośnej maszynie.

Mason złożył kopię listu, włożył klucz do kieszeni kamizelki.

- Idę już - powiedział.

- Jeżeli cię zaaresztują - zauważyła Della uśmiechając się - daj mi znać, a zjawię się natychmiast z książeczką czekową i kaucją.

- Dzięki.

- A jeżeli nie będzie jej w domu - kontynuowała przestając się uśmiechać - proszę cię, nie używaj tego klucza.

- A to dlaczego?

- Nie wiem. Ale jest w tej sprawie coś, co mi się nie podoba.

- Jest dużo rzeczy w tej sprawie, które mi się nie podobają - odparł Mason. - Della, czy boisz się, że się tam natknę na trupa?

- Nie założyłabym się, że nie.

- Schowaj ten list i kopertę ze znaczkiem w sejfie - polecił Mason. - Muszę się liczyć z tym, że będę miał do czynienia z policją.

- To znaczy, że zamierzasz tam wejść, nawet jeśli nie będzie jej w domu?

- Też coś! - Mason uśmiechnął się w odpowiedzi. - Nigdy nie wiem, co zrobię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dom przy South Gondola Avenue był stosunkowo nieduży. Ze spisu lokatorów wiszącego po lewej stronie przy bramie wynikało, że jest tu trzydziestu paru mieszkańców.

Mason znalazł bez trudu nazwisko wycięte z karty wizytowej - „Lucille Storla Barton”. Obok widniał numer mieszkania - „208” - zniszczony guzik dzwonka i domofon.

Mason zastanawiał się przez chwilę: zadzwonić lub nie, ale chęć sprawdzenia, czy klucz pasuje okazała się silniejsza, więc włożył go do zamka i przekręcił. Zamek natychmiast odskoczył i drzwi się otworzyły.

Mason znalazł się w wąskim hallu. Stało w nim kilka niewygodnych krzeseł, ustawionych symetrycznie, których widok nie zachęcał, aby usiąść. Był tam również automat telefoniczny wiszący w kącie i bardzo małe biuro, oddzielone kontuarem od reszty korytarza. W głębi znajdowały się drzwi z napisem „Administrator”, a na kontuarze tabliczka z napisem „Dzwonek do administratora”. Mason minął wąski hall i wszedł do korytarza, z którego prowadziły drzwi do mieszkań. W jego przeciwnym końcu

była oświetlona winda. Blok miał trzy piętra, a Lucille Barton mieszkała na drugim.

Mason nacisnął guzik i kiedy oświetlona klatka windy zatrzymała się na parterze, otworzył drzwi, wszedł do środka i pojechał na drugie piętro.

Juz jadąc roztrzęsioną windą pomyślał, że prędzej znalazłby się na górze, gdyby szedł pieszo.

Mieszkanie, którego szukał, było położone z tyłu bloku i Mason musiał przejść obok wielu ponumerowanych drzwi, zanim znalazł liczbę 208.

Adwokat nacisnął guzik dzwonka i czekał. W mieszkaniu panowała cisza. Mason zastukał, ale i tym razem nikt nie odpowiedział. Włożył więc ostrożnie klucz do zamka i przekręcił. Zasuwka odskoczyła. Drzwi były otwarte. Mason zajrzał do środka przez szparę w uchylonych drzwiach i zobaczył ciemny salon, a za nim oświetloną sypialnię. Na nie pościelonym łóżku leżała rzucona niedbale nocna koszulka. Z łazienki dochodził szum wody. Mason delikatnie zamknął drzwi, wyjął klucz z zamka, odczekał kilka minut w korytarzu, potem znowu zadzwonił. Tym razem usłyszał, że ktoś się porusza i kobiecy głos spytał zza drzwi:

- Kto tam?
- Czy to panna Barton?
- Tak.
- Chcę z panią porozmawiać. Jestem prawnikiem.

Nazywam się Mason.

Drzwi uchyliły się trochę i Mason ujrzał parę roześmianych niebieskich oczu, jasnoblond włosy i dłoń przytrzymującą szlafrok przy szyi. W uśmiechu błysnęły białe zęby.

- Przepraszam, panie Mason, ale nie mogę się tak pokazać. Dopiero wstałam. Będzie pan musiał poczekać... albo przyjść jeszcze raz.

- Zaczekam - powiedział Mason.
- Obawiam się, że pana nie znam, panie Mason. Ja - obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów i w jej oczach pojawił się błysk. - Nie jest pan chyba tym Perry Masonem?

- Waśnie nim jestem.
- Och, doprawdy! - powiedziała.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie odezwała się.

- Niech pan posłucha, za sekundę lub dwie będę gotowa. Jest tu trochę nieporządku, ale jeśli wejdzie pan do salonu, będzie pan mógł podnieść żaluzje i poczekać chwilę. Zaraz przyjdę.

- Mogę przyjść jeszcze raz, jeśli pani woli i...
- Nie, nie, proszę wejść i poczekać, to naprawdę nie potrwa długo.

Otworzyła szeroko drzwi. Mason wszedł do ciemnego salonu.

- Proszę podnieść żaluzje i rozgościć się.
- Dziękuję - odpowiedział Mason.

Przeszła szybko przez salon i zniknęła w sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Mason podszedł do okna, podniósł żaluzje i poranne słońce zajrzało do pokoju. Rozejrzał się i zdziwił na widok mieszkania, urządzonego mieszaniną bardzo drogich i bardzo tandetnych przedmiotów. Mały, ale śliczny wschodni dywanik podkreślał brzydotę leżącego obok niego większego taniego dywanu. Większość mebli była wygodna, kosztowna i dobrana ze smakiem. Ten ton spokojnego luksusu mąciło jednak parę tanich rzeczy, których tandetność widać było tym wyraźniej na tle otaczających je przedmiotów wysokiej klasy.

Na stole stała popielniczka wypełniona niedopałkami papierosów. Na niektórych pozostały ślady szminki do ust. W małej kuchence Mason znalazł pustą butelkę po whisky,

dwie butelki po wodzie sodowej i dwie szklanki. Wspaniały stary orzechowy sekretarzyk stał w rogu pokoju. Mason wahał się przez chwilę, potem, podszedł szybko i pociągnął za ozdobny uchwyt umieszczony na drzwiczkach u góry. Były zamknięte.

Mason podszedł do stołu stojącego na środku pokoju, wziął stary magazyn, usadowił się na krześle, założył nogę na nogę i czekał.

Minęło może pięć minut, kiedy młoda kobieta wyszła z sypialni ubrana w suknię domową, prostą i wygodną, ale podkreślającą wszystkie okrągłości jej doskonałej figury. Miała nieskazitelnie wygładzone pończochy i nosiła eleganckie pantofelki na średnich obcasach na długich nogach. Widać było, że umiała je pokazywać.

- Rano jestem nieprzytomna, dopóki się nie napiję kawy, panie Mason. Jeśli pan pozwoli, nastawię maszynkę. Przypuszczam, że pan jest już po śniadaniu?

- Och, tak - odpowiedział Mason.

- Myśli pan pewnie, że jestem bardzo leniwa - zaśmiała się - ale... może napije się pan kawy?

- Dziękuję, chętnie.

Poszła do kuchni i zajęła się przygotowywaniem kawy. Mason wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Ma pani ładne mieszkanie - powiedział.

- Jest dość obszerne - przyznała - i rano zagłada tu słońce. Blok jest trochę staroświecki, ale wygodny. Jest dużo miejsca i osobny garaż należący do mieszkania - nie miałabym tego w nowoczesnym bloku.

- Widzę, że ma pani przenośną maszynę do pisania. Potrafi pani na niej pisać?

Roześmiała się.

- Piszę na niej od czasu do czasu list. Kiedyś zamierałam napisać największą amerykańską powieść, ale jestem za głupia i za leniwa.

Mason podniósł pokrywę maszyny i zapytał:

- Czy mogę coś na niej napisać? Niepokoi mnie pewna sprawa, a właśnie przypomniałem sobie o czymś, co wyleciało mi z pamięci. Chciałbym to zapisać, jeśli pani pozwoli...

- Ależ proszę bardzo - odpowiedziała - niech pan pisze. Papier do pisania znajdzie pan w szufladzie stołu. Zaraz przyjdę, zrobię tylko toast i ugotuję sobie jajko. A może pan coś zje?

- Nie, dziękuję. Jadłem śniadanie. Napiję się tylko kawy.

Mason otworzył szufladę i zobaczył w niej dwa rodzaje papieru listowego - jeden konwencjonalny, taki, jakiego używa się przy maszynopisanu, drugi różowy. List, który przyszedł do Agencji Detektywistycznej Drake'a, był napisany właśnie na takim różowym papierze.

Mason włożył kartkę tegoż papieru do maszyny i szybko napisał notatkę o fikcyjnej sprawie, dotyczącej ważności testamentu i przesłuchania nie istniejącego świadka według nie istniejącej linii obrony. Kiedy skończył pisać, przykrył maszynę z powrotem.

Z kuchni doleciał zapach kawy i po chwili do salonu weszła Lucille Barton niosąc tacę z dwoma filiżankami, toastem na talerzu, buteleczką śmietanki i jajkiem ugotowanym na miękko.

- Na pewno nie chce pan nic zjeść?

- Dziękuję, napiję się tylko kawy.

Postawiła tacę na stole i powiedziała:

- Niech się pan rozgości, panie Mason. Jestem zaszczycona pana wizytą, a jednocześnie boję się trochę.

- Dlaczego pani się boi?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Kiedy przychodzi prawnik, a szczególnie tak sławny jak pan, można przypuszczać... - Ale co tam, po co mam się bawić w

przypuszczenia. Napiję się kawy, a potem porozmawiamy o tym, co pana do mnie sprowadza.

Wypiła łyk kawy, dodała śmietanki i cukru, nalała śmietanki do filiżanki Masona i podała mu cukier. Po chwili odezwała się:

- Mam nadzieję, że to nic poważnego. Co ja takiego zrobiłam, panie Mason?

- Nic, o ile mi wiadomo - odparł Mason. - Wspaniała kawa.

- Dziękuję.

- Mogę zapalić?

- Proszę bardzo.

Mason wyjął papierosa z kieszeni i zapalił papierosa.

Lucille Barton jadła toast przyglądając mu się uważnie i uśmiechając się do niego za każdym razem, kiedy spostrzegła, że patrzy na nią.

Mason ocenił, że ma około trzydziestu lat i pomyślał, że jest kobietą dobrze znającą życie i umiejącą sobie dać radę, choć nie było w niej nic, co by świadczyło o bezwzględności. Wydawała się tak naturalnie naiwna i spontaniczna w zawieraniu znajomości jak szczenię, które w swoim własnym beztroskim świecie łąsi się do każdego.

- Kiedy zaczniemy? - spytała.

- Możemy zaraz - odpowiedział Mason. - Gdzie pani była trzeciego, to jest przedwczoraj, po południu?

- O mój Boże - powiedziała i wybuchnęła śmiechem.

- Gdzie pani była?

- Czy to jakiś żart? - spytała unosząc pytająco brwi.

- Pan naprawdę chce to wiedzieć?

- Tak.

- Trzeciego... Chwileczkę, niech pomyślę... O nie, panie Mason, nie mogę panu powiedzieć.

- Pisze pani pamiętnik?

- Ależ proszę pana, nie uważa pan chyba, że jestem aż tak głupia.

Mason poprawił się.

- Powiem to inaczej. Czy była pani koło skrzyżowania Hickman Avenue i Vermesillo Drive?

Starła się przypomnieć sobie, pocierając czoło.

- Trzeciego?

- Trzeciego.

Potrząsnęła powoli głową.

- Nie, nie sądzę, żebym tam była.

- Spróbujmy jeszcze inaczej - powiedział Mason. - Mam powody przypuszczać, że była tam pani w jasnym samochodzie, z jakimś mężczyzną. Samochód złapał gumę i podjechała pani do krawężnika, żeby zmienić koło. Akurat gdy miała pani odjechać, na skrzyżowaniu wydarzył się wypadek i zwróciła pani uwagę na samochody, które się zderzyły. Jeden z nich to czarny...

Tym razem potrząsnęła energicznie głową.

- Panie Mason - przerwała. - Jestem pewna, że to jakieś nieporozumienie. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, gdzie byłam, ale na pewno nie widziałam żadnego wypadku w ciągu ostatnich paru tygodni i nie jechałam żadnym samochodem, który miał przedziurawioną oponę. Nie sądzi pan, że takich rzeczy szybko się nie zapomina?

- Chyba nie.

- Jestem pewna, że tego bym nie zapomniała... Ale dlaczego pan się tym interesuje?

- Reprezentuję interesy kogoś, kto był w potrąconym samochodzie. Jedną z tych osób jest młody, dwudziestodwuletni człowiek, Bob Finchley, który w wypadku złamał biodro. Mam nadzieję, że mu się to zrośnie i nie będzie kaleką, ale jego stan jest poważny i w najlepszym razie minie sporo czasu, zanim...

- O, jaka szkoda! - przerwała. - To straszne, kiedy młody człowiek jest ranny w wypadku. Mam naprawdę nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Tak, miejmy nadzieję - przytaknął Mason.

Skończyła jeść jajko i toast, sięgnęła po papierosa.

Mason podał jej ogień, a ona wzięła jego rękę w swoje dłonie i skierowała podaną zapalną do papierosa. Jej dłonie były ciepłe, pulsujące życiem, a ich dotyk - ani za mocny, ani zbyt delikatny - pozwalał Masonowi poczuć miękkość jej palców. Kiedy cofała rękę, przesunęła palcami po dłoni adwokata.

- Dziękuję - powiedziała spoglądając na niego. Oczywiście jej nagle spoważniały. - Domyśla się pan, że bardzo pana podziwiam.

- Naprawdę?

- Tak. Śledziłam wszystkie sprawy prowadzone przez pana. Uważam, że jest pan błyskotliwy, wspaniały, pociągający, pełen siły, że chce pan walczyć po stronie słabszego. Podoba mi się to.

- To bardzo miłe, co pani mówi - odrzekł Mason. - Kiedy pracuję nad jakąś sprawą, rzeczywiście robię wszystko, co w mojej mocy, żeby wygrać. Czy może pani przypomnieć sobie, co pani robiła trzeciego?

- Ależ tak, panie Mason. Jestem prawie pewna, że mogę przypomnieć sobie wszystko, co robiłam tego dnia, ale nie w tej chwili. Gościć u siebie tak sławnego człowieka, pić z nim kawę - to zbyt dużo dla mnie. Oczywiście pan o tym nie wie, ale jestem bardzo nerwowa. Długo będę pamiętała pańską wizytę.

- Kiedy będzie pani mogła dać mi znać, gdzie pani była przedwczoraj po południu?

- Nie wiem. Mogę... och, mogę to sobie przypomnieć za godzinę lub dwie. Chce pan, żebym zatelefonowała do pana?

- Bardzo proszę.
- Postaram się przypomnieć sobie, chociaż nie będzie to łatwe... nigdy nie pamiętam, gdzie i kiedy byłam. Jeśli się dobrze pogłowię, na pewno przypomnę sobie to i owo i w ten sposób można będzie odtworzyć ten dzień. Chwileczkę... przedwczoraj...

- Przypuszczam, że pani nie pracuje.

- Mam dochody - uśmiechnęła się.

Mason spojrzał jej prosto w oczy.

- Alimenty?

Odwróciła szybko głowę, ale po chwili spojrzała na niego wyzywająco.

- Czy jest w tym coś złego? - spytała.

- Nie - odpowiedział Mason.

- Czy ma to jakiś związek ze sprawą, którą pan obecnie prowadzi?

Mason roześmiał się.

- Innymi słowy, chce pani powiedzieć, że to nie mój interes.

- Zastanawiam się, do czego prowadzi to wypytywanie, gdzie byłam i to mówienie o wypadku samochodowym. Co się za tym kryje?

- Nic - odparł Mason. - Mówię pani zupełnie szczerze, że poszukuję świadka tego wypadku.

- Cóż, jestem prawie pewna, że nie widziałam żadnego wypadku i prawie pewna, że gdziekolwiek byłam trzeciego po południu, nie było to skrzyżowanie Hickman Avenue i... jak się nazywa ta druga ulica?

- Vermesillo Drive.

- Wiem, gdzie jest Hickman Avenue, ale nie mam pojęcia, gdzie jest Vermesillo Drive, panie Mason

- Czy pani ma samochód?

- Tak, jest mi potrzebny. Z zewnątrz wygląda bardzo dobrze, ale silnik jest słaby i w nie najlepszym stanie.

- Jakiego koloru jest pani wóz?
- Jasnobrażowy.
- To mnie interesuje przede wszystkim, ale chciałbym także wiedzieć, co pani robiła w tym czasie.
- Jak to się stało, że pan przyszedł do mnie, panie Mason?

Mason uśmiechnął się.

- Nie mogę ujawnić źródła moich informacji, ale miałem powody uważać, że pani jest osobą, której poszukuję. Odpowiada pani dokładnie opisowi, jaki dostałem.

- Czy może pan mi powiedzieć, w jaki sposób dostał pan ten opis? Kto go panu dał?

- Nie.

- Myślę sobie, panie Mason, czy pan wierzy w przeznaczenie?

- Czasami - odparł Mason spoglądając na nią wyczekująco.

- Tak się składa, panie Mason, że potrzebuję porady. Porady prawnika - powiedziała Lucille.

Mason natychmiast stał się podejrzliwy.

- Nie mogę przyjąć żadnej nowej sprawy. Jestem zapracowany, stos listów czeka na odpowiedź i...

- Ale przyjął pan sprawę związaną z wypadkiem, który wydarzył się dopiero przedwczoraj.

- To co innego. To była sprawa nagląca, no i - będę szczery - przemawia do mnie.

- Panie Mason, proszę mnie wysłuchać. Jestem pewna, że moja sprawa również do pana... przemówi - powiedziała Lucille z lekką kpina w głosie.

- Ostrzegam, że nie będę mógł jej przyjąć.

- Wszystko jedno, opowiem panu. Byłam dwukrotnie zamężna. Moje pierwsze małżeństwo było po prostu tragiczne. Kiedy wychodziłam za mąż po raz drugi, byłam... no, byłam ostrożniejsza.

- I tym razem poszło dobrze? - spytał Mason.
- Wcale nie. Mój drugi mąż był bogaty. Dlatego za niego wyszłam. Postanowiłam już nigdy nie wychodzić za mąż, ale kiedy go spotkałam i dowiedziałam się, że ma pieniądze... No cóż, wyszłam za niego.

- I rozwiodła się pani?
- Tak, ale dostaję alimenty.
- Ile?
- Dwieście dolarów tygodniowo.

Mason gwizdnął.

- Myśli pan, że to za dużo? - spytała wyzywająco. - Nie wie pan, ile on zarabia!

- Małżeństwo nie trwało długo, o ile dobrze zrozumiałem.

- Pięć lat. I właśnie w tym czasie zrobił majątek.
- To oczywiście wszystko zmienia - przyznał Mason.

- A teraz on chce wnieść sprawę do sądu o zmniejszenie alimentów.

- Nie można go za to winić.
- Myślałam, że pan z nim porozmawia i...

Mason potrząsnął energicznie głową.

- Nie, to byłoby nieetyczne. Pani mąż z pewnością ma jakiegoś adwokata, który reprezentuje jego interesy i...

- Nie, nie ma adwokata, panie Mason.
- Chce pani powiedzieć, że sam wnosi sprawę do sądu?

- Nie... Wytłumaczę to panu. Jego adwokat wystąpił do sądu o zmniejszenie alimentów sześć miesięcy temu, ale sąd oddalił pozew. Sędzia dał do zrozumienia, że uważa sytuację majątkową mego męża za lepszą od mojej i że osiągnął on większą korzyść z podziału. Widzi pan, pracowałam razem z mężem w jego przedsiębiorstwie i zarobiłam dla niego dużo pieniędzy. Mój mąż wściekł się na adwokata i przysięga, że tym razem sam wniesie sprawę do sądu.

- Ale prawdopodobnie skończy się na tym, że znajdzie sobie jakiegoś adwokata, który go będzie reprezentował - powiedział Mason.

- Nie sędzę. Willard Allison Barton jest bardzo stanowczym i pomysłowym człowiekiem. Prawdę mówiąc, bardziej bym się bała w sądzie jego, niż jakiegokolwiek adwokata. Z wyjątkiem pana, panie Mason.

- Nie zajmuję się takimi sprawami, proszę pani.

- Panie Mason, proszę mnie wysłuchać do końca.

- Dobrze - powiedział Mason, sadowiąc się wygodnie na krześle.

- Mam zamiar wyjść powtórnie za mąż i tym razem na pewno wiem, że to dobry wybór. Mój przyszły mąż jest człowiekiem starszym i mądrzejszym. Jest bardzo wyrozumiały. Poza tym moje uczucia do niego są zupełnie inne niż do tamtych dwóch.

- W ten sposób sprawa alimentów zostanie rozwiązana. W momencie gdy wyjdzie pani za mąż, były mąż przestanie płacić.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć, panie Mason. Nie chcę palić mostów za sobą. Mam prawo do tych pieniędzy. Gdyby dał pan do zrozumienia Willardowi Bartonowi, że zażąda pan podwyższenia alimentów, jeżeli on zaciągnie mnie znowu do sądu, to by go powstrzymało.

- I tak, i tak utraci pani prawo do alimentów, i to już za parę miesięcy.

Lucille odpowiedziała mu z goryczą.

- Nie mam zamiaru niczego mu darować. Pójdę do niego z propozycją załatwienia całej sprawy za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Powinien skakać z radości.

- Pewnie pani chce, żebyśmy wywalczył to dla pani - powiedział Mason zimnym głosem.

Zaczęła bawić się łyżeczką, przesuwając ją po brzeżku filiżanki.

- Mam rację? - spytał Mason.
- Myśli pan pewnie, że jestem okropnie wyrachowana i podstępna, a ja jestem tylko przezorna. Umiem dbać o swoje interesy.
- Wszystko na to wskazuje.
- Panie Mason, proszę spojrzeć na to z praktycznego punktu widzenia. Byłabym głupia, gdybym zrezygnowała z dwustu dolarów tygodniowo dla jakiegokolwiek mężczyzny, jakiegokolwiek.
- Zwłaszcza gdyby była pani pewna, że będzie nadal otrzymywać alimenty - podsumował Mason.
- Pan Hollister chce załatwić sprawę w ten sposób, żeby małżeństwo z nim nie pociągnęło za sobą żadnych ofiar finansowych z mojej strony. Uważa pan, że jestem naciągaczką?
- Uważam, że nie jest pani bardzo zakochana.
- Nie jest tak źle, panie Mason. Obawiam się, że przedstawiłam siebie w złym świetle. Prawdę mówiąc, to był pomysł Rossa Hollistera. Powiedziałam mu, że nie mam zamiaru wychodzić za mąż, ponieważ nie chcę podejmować ryzyka raz jeszcze. Wtedy zaczął mnie wypytywać i badać dlaczego. Trzeba go znać, żeby wiedzieć, jakim jest człowiekiem. Rozumie innych i jest życzliwy, ale i bardzo dociekliwy. Potrafi przejrzeć na wylot i odgadnąć myśli, z których istnienia człowiek nie zdaje sobie sprawy.
- A więc dowiedział się, że nie ma pani ochoty zrezygnować z dwustu dolarów tygodniowo dla męża. Tak było?
- Tak. I powiem panu, co postanowił zrobić. Kiedy zdecyduję się wyjść za niego, zostanę prawną właścicielką pewnej nieruchomości, którą na mnie przepisał. Dał mi też polisę ubezpieczeniową na życie opiewającą na dwadzieścia tysięcy i obiecał dawać mi siedemset pięćdziesiąt

dolarów miesięcznie na osobiste wydatki i stroje - niezależnie od pieniędzy, które będzie dawał na prowadzenie domu. Poza tym w prezencie ślubnym mam dostać wspinały wóz sportowy.

- No, to czego jeszcze pani chce? - spytał sucho Mason.

- Chcę, żeby mnie kochał i szanował - wybuchnęła.
- Wszystko już jest przygotowane. Podpisał nawet dokumenty, załatwił ubezpieczenie i jeżeli mój mąż wystąpi teraz do sądu o zmniejszenie alimentów, Ross Hollister nie powie ani słowa, ale do końca życia będzie myślał, że wiedziałam o tym, zanim się zdecydowałam wyjść za niego, i że zrobiłam to z wyrachowania, żeby ratować swoją sytuację materialną. Niech pan się postara spojrzeć na to z mojego punktu widzenia.

- A więc chodzi pani o to, że jeśli pani były mąż wystąpi o zmniejszenie alimentów, pan Hollister będzie przekonany, iż miała pani podstawy obawiać się przegrania sprawy w sądzie i pokierowała pani wszystkim w ten sposób...

- Właśnie o to mi chodzi - przerwała.

- Kiedy będzie ślub? - spytał Mason. - Nie mogłaby pani trochę przyspieszyć terminu?

- To nie jest takie proste - odpowiedziała. - Widzi pan, Ross Hollister był żonaty i są jakieś formalne przeszkody w przeprowadzeniu rozwodu, co w tej chwili wstrzymuje nasze sprawy.

- Rozumiem - powiedział Mason.

- Panie Mason, niech pan z nim porozmawia, dobrze? On jest w Klubie Broadway Athletic. Mieszka tam... Ale musi pan być bardzo ostrożny. Nie chcę, żeby się domyślił, kto ma być moim mężem.

- Czy pani były mąż zna pana Hollistera?

- Ależ oczywiście. Należą do tego samego klubu, mimo że pan Hollister mieszka w Santa del Barra. Grywali

nawet razem w pokera. Willard umarłby, naprawdę by umarł, gdyby się dowiedział, o kogo chodzi. Będzie pan musiał okazać dużo taktu, rozmawiając z nim. Potrafi być o mnie chorobliwie zazdrosny. Przypuszczam, że między innymi dlatego właśnie nasze małżeństwo było tak niedobre. W rozmowach zawsze zaczynał mówić o moim pierwszym mężu, dopytywał się, czy jeszcze o nim myślę, i...

- Czy pani pierwszy mąż żyje? - spytał Mason.

Zaczęła znowu bawić się łyżeczką.

- Tak.

- Widziała go pani niedawno?

- Panie Mason, dlaczego pan o to pyta?

- Nie wiem. Po prostu chcę wiedzieć.

- Ale nie rozumiem, dlaczego pan...

Nagle Mason odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Jest pani bardzo sprytną młodą kobietą, Lucille.

Powinna pani dostać medal za przebiegłość, ale nie interesuje mnie pani sprawa, chociaż muszę przyznać, że intryguje mnie niekonwencjonalne podejście.

- Co pan rozumie przez to „niekonwencjonalne podejście”?

- Zobaczyła pani ogłoszenie w gazetach - wyjaśnił Mason - i najwidoczniej dowiedziała się pani, że prowadzę sprawę Finchleyów. Pomyślała pani sobie, że gdyby udało się pani ściągnąć mnie tutaj i postawić w bardzo niezręcznej sytuacji, mogłaby pani...

Odsunęła gwałtownie krzesło i spojrzała na Masona oczyma płonąącymi gniewem.

- Panie Mason, nie zasłużyłam na to! To nieprawda. Nie wiem nawet, o jakim ogłoszeniu pan mówi! I mogę pana zapewnić, że nie próbowałam pana wciągnąć w - jak pan to był uprzejmy nazwać - „niezręczną sytuację”! Co pan sobie myśli, że kim ja jestem?

- Właśnie, kim pani jest? - spytał Mason.
- Kobieta, która doznała wielu rozczarowań w miłości. I nie chcę, żeby zmniejszono mi alimenty. Wiem, że może pan śmiertelnie przestraszyć mojego byłego męża. Gdyby się tylko dowiedział, że znam pana i że pan się mną interesuje... to znaczy - moją sprawą...

Mason odsunął krzesło, wstał i uklonił się.

- Przykro mi, ale nie wierzę pani i nie mogę tracić więcej czasu. Dobrze pani to zaplanowała, ale nie dam się na to złapać. Przykro mi. Gdyby przyłapała mnie pani tutaj, w mieszkaniu, między drugą a piątą, musiałbym przyjąć pani sprawę. Dziękuję za kawę.

Mason wziął kapelusz i poszedł w kierunku drzwi.

- A udawanie, że nie może pani sobie przypomnieć, gdzie pani była przedwczoraj po południu, jest trochę naiwne. Proszę spróbować schwytać na tę przynętę innego adwokata, pani Barton.

Z tymi słowami Mason zamknął drzwi za sobą, pozostawiając ją pełną gniewu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Jak poszło? - spytała Della Street.
- Mason uśmiechnął się.
- To bardzo miła dziewczyna, z blond włosami, o śmiejących się niebieskich oczach, ustach jak malina i białych ząbkach.
 - O mój Boże - powiedziała Della. - Zakochał się.
 - Ile ona może mieć lat, Perry? - spytał Paul Drake.
 - Myślę, że tak między dwudziestoma pięcioma a trzydziestoma.

Della Street przyniosła słownik i położyła go na biurku przed Masonem.

- Dziękuję, Della - powiedział Mason. - A więc poszukajmy innych przymiotników, które by do niej pasowały - mówił Mason przewracając kartki. - A więc Paul, ona jest cnotliwa, dziewczęca, dziewicza, czysta, uczciwa, moralna, wartościowa, godna szacunku...

- Z czego ona żyje? - przerwał Masonowi Paul.

- Chciałbyś wiedzieć - powiedział Mason.

- No, szefie - nalegała śmiejąc się Della - opowiedz nam wszystko.

Mason przeszedł się po pokoju, potem usiadł na brzegu biurka, oparł jedną stopę o podłogę, a drugą kręcił, udając zakłopotanie z powodu ich żartów.

- Boi się powiedzieć - stwierdził Drake.

- Zdaje się, że się rumieni- atakowała Della.

- Jeżeli chcecie znać prawdę, to była pułapka - powiedział Mason.

- Chciała cię uwieść? - spytał Drake.

- Nie wygłupiaj się, Paul - odparł Mason. - Ta dziewczyna przeczytała ogłoszenie Agencji Detektywistycznej w „Blade” i pomyślała sobie, że za tą sprawą musi stać адвокат.

- Dalej - ponaglił Drake. - Opowiedz, co się stało, kiedy otworzyłeś drzwi?

- Była w wannie.

- Ho, ho - mruknął Drake.

- A więc - ciągnął skromnie Mason - wycofałem się po cichu i przeczekałem parę minut w korytarzu, a potem zadzwoniłem. Wpuściła mnie do środka. Wyobrażam sobie, jaką zrobiłbyś minę, gdybyś zobaczył jej mieszkanie. Mieszkanina wspaniałych drogich mebli pochodzących zapewne z jej domu i zabranych po rozwodzie i straszliwa tandeta, którą prawdopodobnie było umeblowane mieszkanie,

zanim się tam wprowadziła. Widziałem tam śliczny wschodni dywanik, który musiał kosztować kupę forsy i piękny stary sekretarzyk w doskonałym stanie. Wczoraj wieczorem na pewno przyjmowała u siebie jakiegoś mężczyznę, bo w kuchni znalazłem dwie szklanki i pustą butelkę po whisky, a w popielniczce było pełno niedopałków, których nie wyrzuciła zanim poszła spać.

Jest sprytna. Jej przesadne okazywanie przyjacielskich uczuć może wydawać się trochę naiwne, ale w rzeczywistości jest wyrachowaną, ostrożną naciągaczką. Była bardzo przyjacielska. Zwabiwszy mnie do siebie oceniła moje możliwości przed zaplanowaniem uderzenia.

- Co chciała zyskać? - spytał Drake.

- Adwokata - odpowiedział Mason. - Potrzebuje adwokata do prowadzenia sprawy alimentacyjnej z byłym mężem. Użyła przynęty, żeby zwabić mnie do swego mieszkania, a kiedy tam przyszedłem, robiła wszystko, aby pozyskać moją niepodzielną uwagę. Trzeba było widzieć jej spojrzenia, uśmiechy, minki i pozy, kiedy próbowała mnie namówić, żebym wyperswadował jej byłemu mężowi, niejakiemu Willardowi Bartonowi, wniesienie sprawy do sądu o zmniejszenie alimentów. Zdaje się, że ten jej były mąż to praktyczny, twardy i piekielnie sprytny typ, któremu już sprzykrzyło się płacić jej na utrzymanie dwieście dolarów tygodniowo.

- Czy wspominała coś o honorarium? - spytała Della.

- Ani słowa - powiedział Mason z uśmiechem.

- Jesteś pewien, że uknuła to sobie? - zapytał Drake.

- Sam osądź - odpowiedział Mason, wyjmując z kieszeni kartkę różowego papieru listowego. - Zwędziłem ten papier z szuflady w stole. Della, możesz go porównać z papierem, na którym ktoś napisał do nas list? Napisałem

też parę linijek na jej maszynie do pisania i możemy teraz sprawdzić, czy oba listy są napisane na tej samej maszynie.

Della Street podeszła szybko do sejfu, wyjęła oryginał listu i porównała obie kartki.

- Papier jest ten sam - stwierdziła.
- A maszyna do pisania? - spytał Drake.

Pochylili się nad biurkiem przyglądając się uważnie literom.

- Też jest ta sama - zawyrokował Mason. - Zwróćcie uwagę, że „g” wystaje trochę ponad linię, a „i” odbija się trochę poniżej i jest nachylone w prawo.

- No, to sprawa jest jasna - powiedział Drake. - Niech to diabli, już myślałem, że mamy jakiś ślad. Ta studencka nagroda powinna coś dać.

- Poczekać trochę - zaproponował Mason. - Pamiętaj o tym, że wpadła na ten pomysł, zanim na gazecie wyszła farba drukarska.

- Ponieważ ranek spędziłeś romantycznie, może poświęcisz teraz trochę uwagi tym papierom. - Della wskazała na stos „ważnych” listów.

Mason odprawił Drake'a ruchem ręki. - Zapędzają mnie do roboty. Daj mi znać, jeśli ktoś odpowie na ogłoszenie.

Drake skinął głową.

Po jego wyjściu Della i Mason zabrali się do pracy. W południe przyniesiono im kanapki i kawę, a kwadrans po pierwszej Mason załatwił prawie całą korespondencję.

Gertie, recepcjonistka, weszła do jego pokoju trzymając w ręce jeszcze jeden list.

- To do pana - powiedziała. - Przyniósł go posłaniec. Pomyślałam sobie, że pewnie pan zechce przeczytać go od razu.

- Oto nagroda za cnotę, Della - jęknął Mason. - Pociągnij się nad zmniejszeniem stosu tych listów, a tu nowe napływają.

Della Street wzięła nóż do rozcinania kopert i przecięła bok koperty, mówiąc:

- Zwyczajna koperta, ale... jest w niej coś ciężkiego.

- Pewnie drugi klucz - wyraził przypuszczenie Mason.

W głosie Delli było zdumienie, kiedy stwierdziła:

- Papier... papier listowy, szefie, jest taki sam, różowy, i j e s t drugi klucz.

Odwrociła kopertę do góry i na bibularz wypadł klucz. Był ozdobny, długi na około siedmiu centymetrów, wydrążony na końcu uchwytu. Piórko klucza miało skomplikowany wzór, złożony z kwadratowych rowków.

- Wygląda na klucz do jakiegoś mebla - powiedziała Della.

Mason rozłożył list uśmiechając się do siebie. Della Street podeszła do niego i patrzyła mu przez ramię, kiedy czytał.

Drogi Panie Mason.

Przepraszam, że biurko było zamknięte i że nie mogłem pan rano zdobyć informacji, która jest panu potrzebna. Załączam klucz do biurka. W górnym schowku po prawej stronie znajdzie pan mały, oprawiony w skórę notesik, a w nim, na przedostatniej stronie, zapisany numer rejestracyjny samochodu, który zderzył się z samochodem Finchleyów.

Kiedy przekona się pan, że jest to numer rejestracyjny samochodu, którego pan poszukuje, skontaktuję się z panem, aby odebrać sto dolarów nagrody.

Pański oddany „Przyjaciel”

Mason otworzył szufladę biurka, wyjął szkło powiększające i powiedział:

- Sprawdzimy, czy to było napisane na tej samej maszynie.

Della Street rzuciła okiem na linijki listu.

- To jest ta sama maszyna, szefie - powiedziała - i ten sam papier listowy.

Mason skinął głową potakująco. Della Street zmarszczyła brwi.

- Co to wszystko ma znaczyć, szefie? - spytała.

- Niech mnie licho porwie, jeśli wiem, Della. - odpowiedział Mason. - Zdaje mi się, że ktoś chce mnie wystrychnąć na dudka.

- Ależ szefie, ona jest dość sprytna, aby zrozumieć, że nie dasz się po raz drugi nabrać. I nie jest chyba aż tak głupia, żeby pisać drugi list na maszynie, którą u niej widziałeś i na której pisałeś.

- Ależ tak - dowodził Mason niepewnie. - Wiele ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że pismo maszynowe ma swoje indywidualne cechy, tak samo jak i odręczne. Tak jak wygląd zewnętrzny maszyny wskazuje producenta i model, tak i czcionki mogą świadczyć o tym, czy jakiś list był lub nie był napisany na jakiejś maszynie. Nawiasem mówiąc, to zdumiewające, jak mało osób zdaje sobie z tego sprawę.

- Przypuśćmy, że tak jest - zareplikowała Della - ale przecież musiała wiedzieć, że widziałeś ten różowy papier listowy u niej w domu, a nawet wzięłaś kartkę, kiedy pisałeś,

- Tego właśnie nie mogę pojąć - przyznał Mason, studiując list.

Ktoś zapukał niedbale i w drzwiach ukazała się głowa Gertie.

- Panna Lucille Barton do pana. Mówi, że nie zajmie wiele czasu i że na pewno pan ją przyjmie.

Della Street uśmiechnęła się.

- Muszę zajrzeć do tego słownika, szefie. Jak tam było? Dziewicza, dziewczęca, słodka, pociągająca, naiwna, czarująca...

Mason wrzucił szybko do szuflady list i kopertę, a ozdobny kluczyk włożył do bocznej kieszonki kamizelki, w której tkwił już klucz do mieszkania.

- Poproś ją, Gertie - powiedział.

- Jest z nią jakiś mężczyzna.

- Jak się nazywa?

- Pan Artur Colson.

- Wprowadź ich razem, Gertie - powiedział Mason.

Kiedy Gertie zamknęła za sobą drzwi, Mason zwrócił się szybko do Delli Street.

- Della, jeśli poproszę cię, żebyś napisała jakieś pismo i dała im do podpisania, zanim wyjdą, zatrzymaj ich pod jakimkolwiek pretekstem. Przypilnuj, żeby nie wyszli za wcześniej.

- Nie rozumiem - odparła Della.

- Odciągasz uwagę okradanego, Della. Chcę pójść do jej mieszkania i zajrzeć do biurka. Zatrzymaj ich tutaj, żebym zdążył to zrobić.

- Ależ szefie, czy to nie jest...

- Nic nie mogę na to poradzić - przerwał jej Mason.

- Moja ciekawość została rozbudzona. Muszę się dowiedzieć co to za gra.

- A jeśli ona...

Drzwi otworzyły się i Gertie zaanonsowała:

- Panna Lucille Barton i pan Artur Colson.

Lucille Barton weszła do biura lekkim krokiem. Obcisła sukienka, którą miała na sobie, podkreślała zmysłowość jej kształtów, ale roześmiane oczy, świeżość twarzy i naturalny uśmiech przydawały jej wyrazu szczerości.

- Panie Mason, nie mogłam zrozumieć pana insynuacji dziś rano. Uważał pan, że kłamałam mówiąc, że nie

pamiętam, co robiłam przedwczoraj po południu i że chciałam pana zatrzymać. Wspomniał pan coś o ogłoszeniu w gazetach, więc przejrzałam je wszystkie i znalazłam to, które miał pan pewnie na myśli. Postanowiłam więc przyjść i udowodnić panu, że się myli. Pozwoli pan, że mu przedstawię pana Colsona.

Artur Colson, smukły, lekko przygarbiony, wyciągnął do Masona szczupłą, muskularną rękę, patrząc przy tym uważnie spod brwi z wyrazem zatroskania na twarzy.

- Dzień dobry, panie Mason - odezwał się głosem, który brzmiał sztucznie i afektownie. - Jest pan pewnie tak samo zdziwiony moim przyjściem tutaj jak ja sam, ale Lucille się uparła. Zawszę ta impulsywność we wszystkim! Zdaje się, że mam być świadkiem.

- Panna Street, moja sekretarka - powiedział Mason dokonując prezentacji.

Wymienili ukłony.

- Zechcecie państwo usiąść - zaprosił ich Mason.

Della Street usiadła przy swoim biurku trzymając w pogotowiu ołówek i notes.

Lucille Barton zaczęła szybko mówić.

- Panie Mason, winna jestem panu i sobie wyjaśnienie. Bujałam trochę, kiedy powiedziałam panu, że nigdy nie pamiętam, co robiłam tego czy innego dnia. Byłam wtedy z Arturem, ale nie wiedziałam, czy on by sobie życzył, żeby wymieniano jego nazwisko. Chciałam więc najpierw się z nim spotkać i spytać go, czy mogę to zrobić... Widzi pan, pracuję z Arturem. Mam pół etatu, jestem zajęta codziennie od drugiej do piątej. Trzeciego Artur miał wolny dzień, więc poszliśmy na „Wesołego Księcia”.

- Co to jest? Sztuka? - spytał Mason.

- Film. Jest naprawdę świetny, panie Mason. Jeden z tych filmów, które się długo pamięta.

Artur Colson skinął potakująco głową.

- Gdzie wyświetlali ten film? - spytał Mason.

- W „Alhambrze”. Idzie tam jako drugi film, ale oboje nie zdążyliśmy go zobaczyć, kiedy pokazywali go po raz pierwszy. Artur jest bardzo, bardzo zajęty, ale ja od tak dawna chciałam zobaczyć ten film, że namówiłam go, aby wziął sobie wolny dzień. Powiedziałam mu: „praca, praca i tylko...”

- Czy po kinie - przerwał Mason - pojechaliście państwo w kierunku Hickman Avenue i Vermesillo Drive?

Colson potrząsnął głową przecząco.

- Ale skądże - zaśmiała się Lucille - „Alhambra” jest na drugim końcu miasta, panie Mason. Film skończył się o piątej i po wyjściu poszliśmy...

- Na cocktail do hotelu koło kina - dopowiedział Colson.

Twarz tego człowieka miała wyraz sennego roztargnienia, jak gdyby jego pogrążony w książkach umysł został na zawsze uwięziony między okładkami jakiegoś naukowego dzieła. Życie było dla niego serią niejasnych doznań, przeżywanych na wpół świadomie, na pograniczu jawy i snu.

Lucille najwidoczniej wyczuła ocenę Masona.

- Artur jest chemikiem - wtrąciła szybko i entuzjastycznie. - Pracuje teraz nad wynalezieniem nowego typu filmu, mającego reagować na promienie podczerwone tak, żeby...

Colson ożywił się nagle.. Wyraz roztargnionego zatroskania znikł z jego rysów. Powiedział ostro:

- Nie będziemy teraz o tym mówić, Lucille.

- Ach, chciałam tylko wyjaśnić panu Masonowi, czym się zajmujesz, jakie masz osiągnięcia w pracy nad wynalazkami i co nas łączy. Zainwestowałam pewną sumę w pomysły Artura i pracuję dla niego codziennie od drugiej

do piątej. Piszę na maszynie i załatwiam różne sprawy. Nie można powiedzieć, że jestem dobrą maszynistką, ale daję sobie radę, a Artur musi mieć kogoś zaufanego przy swojej pracy. On jest tak łatwowierny! Jego najnowszy wynalazek to...

- Jeszcze go nie sprzedaliśmy - ostrzegł Colson. - Lepiej o tym nie mówmy.

Mason odezwał się.

- Nie interesują mnie pańskie wynalazki, ale chciałbym wiedzieć, co się zdarzyło przedwczoraj popołudniu. O ile dobrze zrozumiałem, poszli państwo na cocktail do baru.

- Tak.

- Jak długo tam byliście?

- Och, może godzinę, może trochę więcej. Siedzieliśmy, piliśmy i rozmawialiśmy o filmie.

- A potem poszliśmy na obiad do Murphy'ego - dodała Lucille.

- A potem? - spytał Mason.

- A potem poszliśmy do domu na drinka i dalej rozmawialiśmy.

- Do której godziny?

Wymienili spojrzenia. Żadne z nich nie odpowiedziało na pytanie. Mason uniósł brwi pytająco. Odpowiedzieli jednocześnie:

- Do jedenastej - stwierdziła stanowczo Lucille.

- Do wpół do pierwszej - skonstatował Colson w tym samym czasie.

Lucille pierwsza przyszła do siebie.

- Co ja mówię? To w zeszłym tygodniu musiałeś wyjść tak wcześnie. Było koło wpół do pierwszej.. Widzi pan, Artur ma raz w tygodniu wolny dzień. W pozostałe dni pracuje według ściśle określonego planu...

- Bardzo mi przykro, że tak niepokoję państwa, ale to naprawdę ważna sprawa - powiedział Mason. - Czy nie mogliby państwo podyktować mojej sekretarce czegoś w rodzaju oświadczenia dotyczącego tego, co właśnie mi powiedzieliście, poczekać, aż ona to napisze i złożyć podpisy?

- Ależ, panie Mason - zaprotestowała Lucille - jakie to ma znaczenie, jeśli nas tam nie było?

- Tak się zwykle załatwia te rzeczy - przerwał Mason. - Oczywiście nie musicie państwo tego robić i jeśli macie jakieś obiekcje...

- Nie mamy żadnych obiekcji - powiedział Artur Colson. - Zrobimy to z przyjemnością. Poza tym, panie Mason, szukam pewnej książki, którą pan prawdopodobnie ma w swojej prawniczej bibliotece. Mógłbym ją przeczytać czekając, aż pana sekretarka skończy.

- Co to za książka? - spytał Mason.

- Wellmana. O sztuce przesłuchiwania.

- Mam ją istotnie. Może pan poczeka w mojej bibliotece? A pani, panno Barton?

Zgodziła się z ociąganiem.

- Jeżeli Artur chce czekać, to i ja też. Może mi pan da do przejrzienia parę pism, które są w drugim pokoju na stole? Jak długo to wszystko potrwa?

- Przypuszczam, że około pół godziny. Będziecie państwo dyktowali około dziesięciu minut, a potem panna Della Street powinna to przepisać i dać do podpisania w ciągu dwudziestu minut. Proszę mi wybaczyć, ale mam teraz spotkanie, na które muszę pójść. Miło mi było poznać państwa i przepraszam, jeżeli sprawiam kłopot.

- Nic nie szkodzi - powiedział Colson. - Chciałbym coś znaleźć w tej książce. Proszę się mną nie przejmować. Kiedy podyktujemy oświadczenie pana sekretarce, możemy poczekać w...

- W bibliotece - przerwał Mason. - Della, pośpiesz się z tym, dobrze?

Spojrzała mu w oczy z lękiem.

- Dobrze - odpowiedziała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mason zatrzymał samochód przed blokiem na South Gondola Avenue. W pobliskim kiosku z papierosami znalazł telefon. Wrzucił dziesięć centów i nakręcił numer swego biura. Usłyszał głos Gertie.

- Hallo, tu biuro Masona.

- Mówi Mason - powiedział. - Wejdz do mojego gabinetu i powiedz Delli, żeby podeszła do telefonu. Połącz ją tak, żeby nikt nie słyszał rozmowy. Zrozumiałas?

- Chwileczkę, zaraz pana połączę.

Po paru sekundach odezwała się Della.

- Słucham - powiedziała przyciszonym głosem.

- Wszystko w porządku? - spytał Mason.

- W porządku.

- Bardzo się niecierpliwią?

- Nie bardzo. Ile jeszcze czasu potrzebujesz?

- Dziesięć minut.

- Mogę zatrzymać ich piętnaście minut licząc od tej chwili.

- Dobrze - odpowiedział Mason. - Chciałem się tylko upewnić, czy nic nie zaszło.

- Bądź ostrożny - ostrzegła go.

- Nie mogę. Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.

Odwiesił słuchawkę, przeszedł na drugą stronę ulicy

i wszedł do bloku otwierając drzwi kluczem, tak jak to zrobił rano. Tym razem nie pojechał windą, ale wszedł na górę po schodach.

Kiedy znalazł się przed drzwiami oznaczonymi numerem „208”, nacisnął parę razy dzwonek, aby się upewnić, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Potem otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka, zamykając drzwi za sobą.

Popielniczki stały wypróżnione i wyczyszczone. Łóżko posłane. Naczynia w kuchni były pomyte, a zlew aż błyszczał.

Mason zawołał:

- Hallo, czy jest ktoś w domu?

Jego głos odbił się echem w pustym mieszkaniu.

Adwokat wyjął klucz z kieszeni, włożył go do zamka sekretarzyka, przekręcił i otworzył klapę. W środku panował przedziwny bałagan. Listy leżały w dolnych przegródkach, a górne schowki pełne były unieważnionych czeków, bankowych wyciągów o stanie konta, listów i notatek.

W górnym schowku po prawej stronie leżał mały, oprawiony w skórę notesik i rewolwer.

Mason przewertował kartki notesu. Na przedostatniej stronie znalazł numer rejestracyjny, którego szukał, zapisany ołówkiem w wyraźnym pośpiechu.

Inne notatki były wzorem porządku - nazwiska, daty, numery telefonów i tajemnicze cyfry, odnoszące się prawdopodobnie do rachunków pieniężnych i zapisane szyfrem, którego Mason nie miał ani czasu, ani ochoty odczytywać.

Przepisał szybko numer i odkładając notes na miejsce rzucił okiem na rewolwer. Nagle ogarnęła go chęć przyjrzenia się mu dokładniej. Ostrożnie wyjął broń z futerału, trzymając ją przez chusteczkę do nosa, żeby nie zostawić odcisków palców. Był to rewolwer typu Smith i Wesson,

kaliber 38. Na rękojeści widniał numer „S65088”.

Mason zapisał i ten numer, odłożył rewolwer na swoje miejsce, zamknął cicho sekretarzyk i włożył klucz do kieszeni. Potem nacisnął przez chusteczkę klamkę drzwi wejściowych.

Adwokat zbiegł po schodach przeskakując po dwa stopnie na raz, przeszedł szybko na drugą stronę ulicy, wsiadł do samochodu i odjechał.

Po przejechaniu sześciu przecznic zatrzymał się przed apteką, wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do swojego biura.

- Halo, Gertie - powiedział, kiedy usłyszał jej głos. - Poproś Dellę do telefonu. Nie łącz z nią, tylko ją poproś.

- Rozumiem - odpowiedziała Gertie. - Minutkę.

Po paru sekundach Mason usłyszał niespokojny głos Delli Street.

- Słucham, szefie.

- Udało się.

- Znalazłeś?

- Tak. A co u ciebie?

- Potrwa to jeszcze z pięć minut.

- Dobra. Pozbądź się ich, kiedy skończysz.

- Dobrze.

- Nie wdawaj się w żadne rozmowy. Odpowiadaj wymijająco, gdyby o coś pytali.

- Nie miałeś żadnych kłopotów?

- Nie jestem pewien, Della. Być może będę musiał zrewidować moją ocenę sytuacji. Może ona rzeczywiście ma ochotę zarobić sto dolarów, ale chce żeby facet myślał, że jest w porządku w stosunku do niego.

- Myślisz, że to właśnie on...

- Nie wiem - odpowiedział Mason. - W każdym razie mam ten numer rejestracyjny. To może być przynęta,

żebym wpadł w pułapkę. Jeśli tak, to pułapka jest bardziej skomplikowana, niż myślałem. A jeśli nic się za tym nie kryje, ona zgłosi się za dzień lub dwa po swoje sto dolarów. Nie martw się, Della, wszystko w porządku. Mason odłożył słuchawkę i zatelefonował do Paula.

- Paul - powiedział - mam ten numer rejestracyjny.

Chcę wiedzieć, kto jest właścicielem samochodu. Dowiedz się, dobrze?

- Jaki to numer? - spytał Drake. Mason przeczytał mu numer przez telefon:

- 9Y6370

- Gdzie jesteś teraz?

- Hillcrest 67492 - odpowiedział Mason. - Będę tu czekał na twój telefon. Pospiesz się i zadzwoń.

Mason usiadł przy kontuarze, zamówił coca-colę i zapalił papierosa. Po chwili telefon zadzwonił. Mason podszedł do budki i podniósł słuchawkę.

- Właściciel nazywa się Stephen Argyle - mówił Drake - mieszka przy West Casino Boulevard 938. To zamożna dzielnica, Perry.

- Dobrze - odpowiedział Mason. - Stracę na to godzinę.

- Ten samochód to buick - ciągnął Drake - ale nie ma wzmianki o kolorze. W jaki sposób zdobyłeś ten numer, Perry?

- Wykorzystałem informację, którą mi dałeś. Nie mogę teraz mówić. Della opowie ci o tym za dziesięć lub piętnaście minut, nie wcześniej, bo ci ludzie są w tej chwili u mnie w biurze.

- Dobrze - odpowiedział Drake. - Będę u siebie. Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwoń. Zapisales ten adres?

- Tak.

Adwokat wyszedł z apteki, wszedł do samochodu i pojechał na West Casino Boulevard.

Zatrzymał się przed dużym białym budynkiem, ozdobionym sztukaterią i krytym czerwoną dachówką. Dom wyglądał pretensjonalnie dzięki portykom i markizom, dobrze utrzymanemu trawnikowi i przyszczyżonemu żywopłotowi. Z tyłu podjazd prowadził do obszernego garażu. Przed nim stał czarny buick. Mason zatrzymał się przy krawężniku, podszedł do buicka i zaczął go lustrować.

Tylny błotnik był świeżo wyklepany. Tył samochodu starannie pomalowano i wypolerowano w kilku miejscach. Opona na prawym tylnym kole była zupełnie nowa.

Mason oglądał właśnie tylny zderzak, kiedy drzwi domu się otworzyły i ukazał się w nich barczysty mężczyzna o kwadratowej twarzy i agresywnym wyglądzie.

- O co chodzi? - spytał.

Mason podniósł głowę, spojrzał na niego i zapytał:

- Czy pan Argyle?

- Nie.

- A jest w domu?

- Ja się pana pytam, co pan tu majstruje koło wozu. To nie ma nic do rzeczy, czy on jest, czy nie.

- Nie majstruję. Oglądam. Jest pan krewnym pana Argyle'a?

- Nie. Pracuję u niego.

- Naprawdę? Co pan robi?

- Jestem jego szoferem i lokajem.

- Wobec tego - powiedział Mason wyjmując wizytówkę - proszę się zachowywać bardziej uprzejmie. Niech pan to zanieśe panu Argyle'owi i powie mu, że chcę się z nim zobaczyć w ważnej dla niego sprawie.

Szofer wziął wizytówkę, spojrzał na nią i powiedział wchodząc po schodach:

- Dobrze.

Mason ruszył za nim.

- Chwileczkę - powiedział szofer. - Niech pan tu zaczeka.

Wszedł do środka zamykając za sobą drzwi, a po paru minutach ukazał się znowu, mówiąc:

- Proszę wejść, proszę pana.

Dom był urządzonej luksusowo i z poczuciem dobrego smaku. Z pokoju położonego po prawej stronie dochodził zapach drogich cygar. Szofer wskazał na drzwi tegoż pokoju i powiedział:

- Tutaj proszę. Pan Argyle przyjmie pana.

Pokój, do którego wszedł Mason, był po trosze pokojem mieszkalnym, po trosze biblioteką. Znajdowały się w nim książki i strzelby, wygodne fotele kryte skórą, ryciny przedstawiające sceny z polowań, fotografie. Sprawiał wrażenie przytulności i zadomowienia. Przenośny barek stojący w rogu był otwarty i ukazywał rząd butelek. W jednym z foteli siedział pięćdziesięcioparoletni mężczyzna. Obok stał mały stolik, a na nim szklanka napełniona whisky i wodą sodową.

Na widok wchodzącego Masona, mężczyzna wstał i zapytał:

- Pan jest tym sławnym adwokatem, panie Mason?

- Tak.

Gospodarz wyciągnął rękę.

- Jestem Stephen Argyle. Miło mi pana poznać. Dużo o panu słyszałem. Może pan usiądzie i napije się czegoś?

Był bardzo chudy, niemalże kościsty, miał długie palce, wystające kości policzkowe, wyblakłe oczy i rzadkie siwiejące włosy. Nosił okulary na wysokim, garbatym nosie; zwisała z nich czarna wstążka, przydając mu surowości i siły.

- Dziękuję panu - odpowiedział Mason. - Napiję się whisky z wodą sodową.

Argyle skinął na lokaja, który podszedł do barku, wrzucił do szklanki parę kawałków lodu, nalał whisky i wodę i bez słowa podał trunek Masonowi.

- Ładny pokój - stwierdził Mason. - Wygodny i przytulny.

- Spędzam w nim dużo czasu. Zapali pan cygaro?

- Jeżeli pan pozwoli, wolałbym swojego papierosa.

Mason otworzył papierośnicę. Kiedy postukiwał o jej wierzch wyjętym papierosem, zauważył, że szofer i lokaj w jednej osobie wcale nie ma zamiaru wyjść.

- Proszę mi wybaczyć, że przejdę od razu do sprawy - powiedział zapalając zapalniczkę.

- Niech pan mówi - zachęcił go Argyle.

Mason rzucił okiem na szofera stojącego obok barku. Argyle jakby tego nie zauważył; nie zrobił żadnego gestu, aby odprawić służącego.

- Trzeciego tego miesiąca - zaczął Mason z wielką pewnością siebie - około piątej po południu, pana buick miał wypadek na skrzyżowaniu Hickman Avenue i Vermesillo Drive. Kto wtedy prowadził, pan czy szofer?

- To ma być pytanie? - spytał Argyle unosząc brwi.

- Pytałem, kto prowadził, a nie o wypadek, bo o tym, że miał pan wypadek, wiem na pewno.

- Doprawdy, panie Mason, jestem zaskoczony! Tak zaskoczony, że nie mogę znaleźć słów, aby to wyrazić.

- Czy mam rozumieć, że to pan prowadził?

Argyle wahał się przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Nie.

Mason spojrział na szofera, którego oczy nabrały wyrazu oczu kota skradającego się do ptaka.

- Prawdę mówiąc - odezwał się Argyle ważąc starannie słowa - przynosi pan wiadomość potwierdzającą moje najgorsze obawy. Mam nadzieję, że to nie było nic poważnego.

- Właśnie było - odpowiedział Mason. - A czego pan się obawiał?

- Trzeciego po południu ktoś ukradł mój samochód. Policja odnalazła go tego samego dnia wieczorem. Zaparkowano go w innej dzielnicy pod hydrantem. Bak był do połowy opróżniony, a licznik wskazywał, że ktoś przejechał nim sto mil.

- Szybka robota - powiedział Mason.

- Ma pan na myśli policję? - spytał Argyle.

Mason uśmiechnął się.

- Reprezentuję interesy Boba Finchleya - powiedział. - Jego matka prowadziła wóz. Doznała szoku. Wóz jest rozbity, a Bob Finchley ma złamane biodro. Nie mamy pewności, czy nie wynikną jakieś komplikacje. Jest jeszcze za wcześnie, żeby można było o tym wyrokować.

- Tak, to rzeczywiście bardzo źle - stwierdził Argyle. - Będę musiał porozumieć się z moim adwokatem. O ile wiem, panie Mason, jestem odpowiedzialny za wyrządzone szkody tylko wtedy, jeśli pozwałam komuś korzystać z mego wozu, natomiast w przypadku kradzieży...

Argyle wzruszył ramionami i strącił popiół z cygara do popielniczki.

- Przestańmy się bawić w ciuciubabkę - powiedział Mason. - Historyjka o skradzionym samochodzie ma taką brodę. A zresztą czuć ją na milę kłamstwem.

Szofer zrobił krok w kierunku Masona. Argyle powstrzymał go ruchem ręki.

- Panie Mason - powiedział - przypuszczam, że znając prawo nie chciałby pan robić żadnych insynuacji.

- Dobrze - odpowiedział Mason. - Dojdziemy do tego okrężną drogą. Kiedy ukradziono samochód?

- Około trzeciej po południu.

Mason uśmiechnął się.

- A kiedy policja się o tym dowiedziała?
- Potrzebowałem wozu dopiero koło siódmej - powiedział Argyle. - Zaparkowałem go przed moim klubem. Po wyjściu z klubu chciałem do niego wsiąść, ale już go nie było.
- I pan natychmiast dał znać o tym policji?
- Tak.
- Zadzwoił pan z klubu?
- Tak.
- A jak daleko go znaleziono od miejsca, w którym go pan zostawił?
- Jakieś osiem lub dziesięć przecznic.
- Chłopiec jest ciężko ranny i dość długo potrwa, zanim przyjdzie do siebie. Jego matka doznała szoku nerwowego. No i jest jeszcze do tego samochód.
- Nie myśli pan chyba, że jestem za to odpowiedzialny?
- A dlaczego by nie?
- Przecież mówię panu, że samochód ukradziono. Mason uśmiechnął się znowu.
- Jak pan słusznie zauważył, jako prawnik jestem zbyt sprytny na to, żeby oskarżać przy świadkach. Ale ubawi się pan, słuchając mnie w sądzie.
- Panie Mason, chyba pan nie wątpi w moje słowa. Mój Boże, jestem szanowanym obywatelem! Mój samochód jest ubezpieczony. Gdybym był za to odpowiedzialny, z przyjemnością zapłaciłbym odszkodowanie. I tak moje towarzystwo ubezpieczeniowe będzie się tym wszystkim zajmować.
- Dobrze - odparł Mason. - Jeżeli panu to odpowiada, załatwię to z pana towarzystwem ubezpieczeniowym.
- Oczywiście. Jeżeli jestem za to odpowiedzialny.
- Och tak, oczywiście. Jak się nazywa ten klub, w którym pan spędził popołudnie?

- The Broadway Athletic Club.

Mason wstał.

- Miło mi było pana poznać - powiedział i skierował się do drzwi.

Argyle podniósł się, zawahał i usiadł z powrotem. Szofer odprowadził Masona do drzwi.

- Do widzenia panu - powiedział.

Po chwili drzwi się zatrzasnęły.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Biuro Agencji Detektywistycznej Drake'a było na tym samym piętrze co biuro Masona. Mason wstąpił tam, aby zamienić parę słów z Paulem Drake'em.

- Do licha, Perry, trafiliśmy w dziesiątkę. Nie wiem, jak to się stało, ale trafiliśmy w dziesiątkę!

- Potrzebuję ludzi, Paul. Natychmiast. Takich, którzy potrafią podejść do roboty inteligentnie. Chcę, żeby sprawdzili, co Argyle robił trzeciego po południu. Prawdopodobnie był w Broadway Athletic Club. Chcę wiedzieć, ile wypił, jak długo tam był i czy ktokolwiek zauważył, że wychodził na jakiś czas. Chcę, żeby porozmawiali z portierem. Przypuszczam, że może być przekupiony. Nie jesteśmy w stanie rywalizować ze Stephenem Argyle'em w przekupywaniu, nie mamy na to pieniędzy, musimy więc postraszyć portiera. Potrzebuję człowieka, który będzie umiał naprawdę go postraszyć.

Chcę też wiedzieć wszystko o samochodzie Argyle'a. On twierdzi, że wóz został ukradziony trzeciego po południu. Niech się dowiedzą, kiedy zawiadomił policję, kiedy go odnaleziono, jednym słowem - wszystkiego. Ale przede

wszystkim chcę wiedzieć, czy Stephen Argyle nie jechał do Broadway Athletic Club taksówką koło piątej lub szóstej. O tej porze ludzie wpadają na drinka i nie będzie chyba trudno znaleźć członka klubu, który by widział, jak Argyle podjeżdżał taksówką. Będziesz musiał wziąć się szybko do roboty.

- Dobra - powiedział Drake. - Już się do tego zabieram. Ile ludzi mam wysłać?

- Ile będzie trzeba - odpowiedział Mason. - Najpierw musimy zdobyć informację, potem wyślemy Stephenowi Argyle'owi rachunek do zapłacenia, czy będzie mu, się to podobało, czy nie.

- Czy to na pewno o niego chodzi?

- Chodzi na pewno o jego samochód - odpowiedział Mason - i myślę, że on prowadził, kiedy się to wszystko wydarzyło. Zdaje mi się, że jego żona nie żyje lub niedawno go rzuciła.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ma szofera i lokaja zarazem, który nie pozostałby nawet pięciu minut w domu, w którym byłaby kobieta. Poza tym dom przy West Casino Boulevard jest bardzo duży, a wygląda na to, że Stephen Argyle większość czasu spędza w jednym pokoju, w którym powietrze jest aż gęste od dymu tytoniowego.

- Dobrze, Perry - powiedział Drake. - Zaraz wysyłam ludzi. A poza tym, Perry, miałeś rację co do tej zalotnej, młodej rozwódki. Przysłała swoją przyjaciółkę po nagrodę.

- Należy jej się... Do licha, nic z tego nie rozumiem. Wystrychnęły mnie na dudka. Kiedy przysłała po nagrodę?

- Jakies pięć minut temu - odpowiedział Drake. - Posłałem ją do twojego biura i powiedziałem, że twoja sekretarka, Della Street, zajmie się tym.

- Co to za dziewczyna?
- Całkiem miłutka, nazywa się Carlotta Boone. Była pełna rezerwy i nie dała po sobie poznać, że wie cokolwiek o Lucille Barton. Powiedziała tylko, że przyszła po nagrodę.

- Pójdę ją zobaczyć - powiedział Mason. - A ty wyślij ludzi, żeby zdobyli informacje o Argyle'u. Mam naprawdę chęć dobrać mu się do skóry. Damy młodemu Finchleyowi środki na ukończenie college'u jako rekompensatę za złamane biodro i związane z tym kłopoty.

- Nie daj się temu Argyle'owi wywinąć zbyt łatwo - przestrzegał go Drake. - Nie znoszę kierowców, którzy uciekają po wypadku i potem wykorzystują swoje powiązania polityczne, gdy sprawy przybierają zły obrót.

- Nie martw się o to - uśmiechnął się Mason. - Nie dam mu się wywinąć. Pójdę teraz dać Lucille sto dolarów. Ciekaw jestem, w jaki sposób ta Carlotta Boone będzie próbowała je wydostać, nie zdradzając przy tym małej gierki Lucille. No, to już idę, Paul.

- Wyślę ludzi w ciągu pięciu minut - obiecał Drake. Mason szedł korytarzem pogwizdując jakąś melodię.

Otworzył drzwi swego prywatnego biura, wszedł, uśmiechnął się do Delli i rzucił kapelusz na półkę w szafie.

- Słyszałem, że Lucille przysłała jakieś popychadło po sto dolarów.

Twarz Delli Street była wzburzona.

- Poczekaj, aż usłyszysz jej opowiadanko.

- Właśnie chcę to zrobić. Musi być bardzo dobra.

- Nie miałam czasu na wysłuchanie wszystkiego.

Ale to coś, od czego ci oko zbieleje.

- Jak się nazywa ta dziewczyna? - spytał Mason.

- Carlotta Boone.

- Jak się prezentuje?

- Brunetka, szczupła, wyrachowana, prawdopodobnie

naciągaczka, powściągliwa. Nie odpowiadam jej, chce rozmawiać tylko z tobą, mówi, że przyszła dać informację w zamian za sto dolarów i nie życzy sobie tracić czasu. Mason uśmiechnął się.

- Poproś ją tu, Della. Wysłuchamy, co ma do powiedzenia, damy sto dolarów i odeślemy klucze Lucille. Może ta dziewczyna mieszka z nią razem. Wprowadź ją.

- Nie wyciągaj tak szybko wniosków, szefie - powiedziała Della. - Rozmawiając z nią pomyślałam, że to coś zupełnie innego.

- No to przyprowadź ją tutaj - odrzekł Mason. - Dowiemy się, o co chodzi.

Della podniosła słuchawkę telefonu i poleciła:

- Poproś Carlottę Boone, Gertie.

Potem podeszła do drzwi prywatnego biura, aby wpuścić gościa do pokoju.

Dziewczyna, która weszła, miała czarne, błyszczące oczy, prawie zupełnie bez wyrazu, nie pozbawione jednak błysku czujności. Jej włosy były czarne i lśniące. Była o pięć centymetrów wyższa i o pięć kilogramów lżejsza od większości kobiet. Jej zachowanie było ostrożne, pełne napięcia.

- Dzień dobry, panno Boone - przywitał ją Mason. - Przyszła pani po sto dolarów.

- Tak.

- Skąd pani dostała informację? Jak się pani dowiedziała, gdzie był zapisany ten numer? - pytał Mason mrugając jednocześnie do Delli.

- Mówi pan o numerze rejestracyjnym?

- Tak.

- Ja sama go zapisałam.

- Rozumiem - powiedział Mason. - A potem schowała pani notes do skrytki w sekretarzyku?

- Nie, do mojej torebki - odpowiedziała. - Kiedy pan mi wypłaci te sto dolarów? Wiem oczywiście, że nie może pan z miejsca wybulić stu dolarów każdej dziewczynie, która przyjdzie tu z numerem rejestracyjnym i opowie wiarygodną historię.

- Oczywiście, że nie - odparł Mason, uśmiechając się mile. - Sądzę jednak, że określiłem dość jasno swoje stanowisko w tej sprawie.

Della kaszlnęła ostrzegawczo.

Mason spojrzął na nią, zmarszczył czoło i zaczął mieć się na baczności.

Carlotta Boone poprawiła się na krześle i założyła nogę na nogę w taki sposób, żeby pokazać szczupłe, zgrabne nogi.

- Sądzę, że mogę panu zaufać - odezwała się.

- Nawet pani musi.

Sięgnęła do torebki. Nagle spojrzała na Masona bacznie i podejrzliwie.

- Skąd mam wiedzieć, że pan mnie nie wykiwa?

- Proszę pani, prowadzę to biuro od lat. I zanim pani zapłacie, chcę znać szczegóły całej historii.

- Dobrze - powiedziała zmęczonym głosem. - To jest ten numer.

Wyciągnęła kawałek papieru z torebki i podała go Masonowi.

Mason rzucił okiem na papier, zmarszczył brwi, jeszcze raz spojrzął i powiedział:

- Przykro mi, panno Boone, ale uważam, że powinienem pani od razu powiedzieć, że to nie ten numer.

- Skąd pan wie?

- Ponieważ już uzyskałem tę informację. Mam nie tylko numer samochodu, ale nawet go obejrzałem i rozmawiałem z jego właścicielem. Ten numer jest zły.

- To nie jest zły numer - zaprzeczyła stanowczo. - Do czego pan zmierza? Chce pan zachować dla siebie te

sto dolarów? Niech pan nie myśli, że to panu łatwo pójdzie.

Mason zmarszczył czoło.

Mówiła dalej ze złością i wyzywająco.

- Byłam z moim przyjacielem. Umówiliśmy się w barze cocktailowym. Trochę tańczyliśmy, potem odwoził mnie do domu i po drodze nawaliła opona. Wsiadłam i stałam koło samochodu rozglądając się i próbując trochę pomóc. Kiedy kończyliśmy zmieniać koło, na skrzyżowaniu zdarzył się wypadek. Widziałam, jak duży czarny samochód nawet się nie zatrzymał i pojechał z dużą szybkością Vermesillo Drive. Na skrzyżowaniu został ford, który tańczył po całej jezdni i na moich oczach walnął w słup latarni. W samochodzie byli kobieta i mężczyzna. Mężczyzna wypadł z samochodu i został zgnieciony między drzwiami samochodu a słupem. Kobieta siedząca za kierownicą uderzyła się w głowę. Pomyślałam sobie, panie Mason, że trafia mi się okazja... Szczerze mówiąc pomyślałam sobie, że mogę coś na tym zarobić. Wiedziałam, na pewno, że to czarny samochód spowodował wypadek, wyciągnęłam więc notes i zapisałam numer rejestracyjny. Nic nie powiedziałam policji.

Czekałam na jakieś ogłoszenie obiecujące nagrodę. Cały czas przeglądałam gazety.

Mason popatrywał na nią unosząc brwi.

- Dlaczego nie? - zapytała wyzywająco. - Pan dobrze zarobi na tej sprawie. Nie pracuje pan za darmo. A mnie są bardziej potrzebne pieniądze niż panu, panie Mason!

Mason zwrócił się do Delli.

- Zadzwoń do Drake'a.

A kiedy Paul Drake odebrał telefon, powiedział zmęczonym głosem:

- Paul, masz tu jeszcze jeden numer rejestracyjny - 49X176.

- A co to za numer? - spytał Paul.
- Dowiedz się, kto jest właścicielem, o adres i jaki to samochód.

Mason odwiesił słuchawkę i zwrócił się do Carlotty Boone.

- Sprawa przybiera nowy i nieoczekiwany dla nas obrót. Myśleliśmy, że już mamy ten numer.

- Doskonale pana rozumiem - odpowiedziała - po ukazaniu się tego ogłoszenia w gazetach musiał pan przeżyć istny najazd dziewcząt, które chciały panu opowiedzieć, jak to było, podać numer samochodu i zarobić przy okazji sto dolarów. Ale ja podaję panu prawdziwe fakty. Chodzi o to, czy interesują pana, czy nie?

- Co pani ma na myśli?

- Niech pan nie udaje. Ten, kto prowadził czarny samochód, znalazł się w opałach. Wpadł na drugi samochód i uciekł nie zatrzymując się. Gdybym chciała, mógłabym pójść do niego i dostać dziesięć razy więcej, niż pan mi daje.

- No to dlaczego pani nie idzie?

- Bo to jest ryzykowne. To przecież szantaż. Pan mógłby to zrobić jako prawnik, ja nie.

- Więc czego pani właściwie chce?

- Oddaję się w pana ręce - odparła. - Niech pan sprawdzi ten numer i kiedy się pan przekona, że to właśnie ten, da mi pan sto dolarów.

- Zgoda - powiedział. Mason. - Jaki jest pani adres? W jaki sposób mogę się z panią skontaktować?

- Nie może się pan ze mną skontaktować i nie robi pan tego - odpowiedziała. - Ja się z panem skontaktuję. I jeszcze jedno. Nie chcę, żeby moje nazwisko zostało wymienione. Człowiek, z którym byłam, jest żonaty. Dostałby ataku nerwowego, gdyby się dowiedział, że przyszedłam do pana. Ale w końcu trzeba z czegoś żyć!

- Kiedy pani się ze mną skontaktuje?
- Jutro przed południem. Do tego czasu powinien już pan wiedzieć. Do widzenia.

Z zupełną pewnością siebie wstała z krzesła, pomaszowała do drzwi, otworzyła je i wyszła.

Mason spojrzął na Dellę Street, podrapał się po głowie i powiedział.

- Jeżeli chcesz znać moje skromne zdanie, Della, to uważam, że sprawa komplikuje się.
- Nie sądzisz, że to jakiś fortel ze strony tego człowieka, mający cię skierować na inny trop?
- Możliwe. Ale to mu nic nie pomoże. Mogę teraz badać fałszywy trop, ale Paul Drake i tak go nie popuści ani na chwilę.

Zadzwoił telefon. W słuchawce rozległ się głos Drake'a.

- Ten drugi gość nazywa się Daniel Caffee. Ma samochód marki „Packard”, mieszka przy Beachnut Street 1017. Co to za typ?

- Czy twoi ludzie rozpracowują Argyle'a? - spytał Mason.

- Czterech ludzi już wyjechało, a dwóch w drodze.

Mason skinął głową do Delli.

- Weź swój kapelusz i notatnik, Della. Zostawimy tu Paula, niech pilnuje interesu, a my wyruszymy tym fałszywym tropem.

- W porządku, Paul - powiedział w słuchawkę. - Zostań tu, a ja pójde się przyjrzeć panu Danielowi Caffee.

- Dobra, Perry, zdobędę wszystkie plotki o tym Argyle'u. Ale on się dowie, że go badamy. Moi ludzie nie mogą wypytywać członków klubu tak, żeby nie znalazł się ktoś, kto mu o tym powie.

- Dobrze - odparł Mason. - Niech się dowie. Niech wie, że go sprawdzamy.

Odłożył słuchawkę i powiedział:

- Chodź już, Della.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy jechali Beachnut Street, Della zapytała:

- Jak myślisz, dlaczego ta dziewczyna to zrobiła?
- Prawdopodobnie chciała zarobić sto dolarów, Della - odpowiedział Mason. - Do licha, w tej dziewczynie jest coś, co robi wrażenie.

- To naciągaczka.

- Wiem, że to naciągaczka. Zapisła numer samochodu, bo miała zamiar szantażować kierowcę. Później, z jakiegoś powodu, zaniechała tego. Zobaczyła ogłoszenie w gazecie obiecujące sto dolarów za informację. Nie mogła oprzeć się pokusie zagarnięcia stu dolarów i to w sposób nie kłóący się z prawem. Ale jest w tej dziewczynie coś, co każe mi jej wierzyć, choć... niech to diabli porwą, Della, widziałem samochód Argyle'a. Ma z tyłu wgniecenia, na pewno miał wypadek, prawe koło z tyłu jest nowiuteńkie i...

- Tak. I oczywiście ta jego historyjka o kradzieży samochodu mogła być prawdziwa - dodała Della.

- To szansa jedna na sto, że tak było, Della. Ale dowiemy się. Tu jest 1017.

Mason zatrzymał samochód przed zamożnie wyglądającym domem.

- Co teraz zrobimy? - spytała Della. - Idziemy prosto do niego?

- Nie - odparł Mason. - Najpierw się rozejrzymy. Tu, na dole, jest prywatny garaż. Musi ktoś tam być.

Zaparkujmy samochód i rozejrzyjmy się.

Mason znalazł miejsce dla samochodu, potem oboje z Della zeszli stromą rampą do garażu. Wewnątrz pracownik parkował samochody.

Mason rozejrzał się wokół i powiedział do swojej sekretarki:

- Szukaj dużego, czarnego packarda, Della. Idź w lewo, a ja pójdę w prawo. No, chodźmy.

Pracownik garażu skończył właśnie ustawiać samochód i zawołał:

- Hej, wy tam!

Mason odwrócił się i machnął uspokajająco ręką.

- Tu, na lewo, stoi packard - powiedziała Della.

Mason spojrział szybko na numer rejestracyjny.

- To ten, Della, obejrzyjmy go dobrze.

Pracownik garażu szedł w ich stronę i wołał:

- Czego tu szukacie?

Mason podszedł do packarda od tyłu, mówiąc:

- Porozmawiaj z nim, Della. Powiedz mu, że dowiedzieliśmy się, że samochód jest na sprzedaż.

Światło wewnątrz garażu było słabe, ale Mason dostrzegł, że tylny błotnik został wymieniony, na kufrze było jeszcze wgniecenie, a lewa strona opon nosiła ślady głębokiego wyżłobienia.

Mason słyszał tłumaczenie Delli, że chcą kupić ten samochód i nalegania pracownika, żeby poszli porozmawiać o tym z panem Caffee. Skończył więc pobieżny przegląd i dał pracownikowi dziesięć dolarów, mówiąc:

- Pan Caffee oferował samochód memu przyjacielowi. Chciałem go obejrzeć.

Mężczyzna zmiękł od razu.

- Tak, proszę pana - odpowiedział.

- Samochód jest, zdaje się, po wypadku.

- O nie, proszę pana, jest w doskonałym stanie. Miał lekkie zderzenie i dlatego trzeba było zmienić błotnik. Właściwie można było naprawić stary, ale pan Caffee bardzo dba o samochód, musi chodzić jak zegarek.

- Rozumiem - powiedział Mason. - A kiedy wydarzył się ten wypadek?

- O, niedawno. Parę dni temu. Dopiero co odesłali mu samochód. Pan Caffee ma jakąś umowę z tutejszym agentem samochodowym, ale nie wydaje mi się, żeby to on mu wszystko załatwił. Wiem tylko, że to dzięki niemu wymieniono błotnik. Ale samochodowi nic się nie stało. To było lekkie zderzenie z boku. Najbardziej zniszczony był tylny zderzak. Został zupełnie wyrwany, ale teraz wszystko jest już zreperowane.

- Rozumiem - odpowiedział Mason. - Bardzo dziękuję. Czy pan Caffee jest teraz w domu?

- O, na pewno. Jeśli gdzieś jest jego samochód, to i on tam jest. Zawsze wyjeżdża samochodem.

- Czy jest żonaty?

- Tak. Jego żona ma swój własny samochód. Nie lubi zresztą dużych samochodów. Pan Caffee natomiast mówi, że uwielbia siłę, wielkość i szybkość - taki już jest.

- Rozumiem - powiedział Mason. - Jaki jest numer jego mieszkania?

- 22-B.

- Mógłby pan go opisać? - poprosił Mason. - Lubię wiedzieć coś o człowieku, z którym mam robić interesy.

- Ależ tak, proszę pana. Ma chyba pięćdziesiąt pięć lat, jest dość szczupły, raczej spokojny, ubiera się elegancko, pali cygara, nosi dwurzędowe szare garnitury... Prawie zawsze ubiera się na szaro. Chyba nie widziałem go inaczej ubranego.

- Dobrze, dziękuję. Pójdziemy do niego. Zdaje się, że warto kupić ten samochód.

- Nie miałem pojęcia, że chce go sprzedać. Ma go dopiero od paru miesięcy i wiem, że go lubi.

- Czy możemy pojechać stąd windą?

- Tak, proszę pana. Proszę zadzwonić i winda zaraz tu zjedzie. Jako goście, powinni państwo podać swoje nazwiska portierowi, żeby mógł zaanonsować.

- Wiem, ale to tylko niepotrzebna formalność w tej sytuacji. Na którym piętrze jest to mieszkanie?

- Na piątym.

Mason zwrócił się do Delli.

- Chodź, Della, złożymy panu Caffee ofertę.

Pracownik garażu nacisnął brzęczyk, winda zjechała. Mason zamknął drzwi i nacisnął guzik piątego piętra.

- No i co teraz? - spytała Della. Mason potrząsnęła głową.

- Kręcę się w kółko. Ta cała sprawa jest bardzo podejrzana.

Winda zatrzymała się.

Mason nacisnął guzik z macicy perłowej, znajdujący się obok drzwi oznaczonych numerem 22-B i po paru sekundach otworzył im pięćdziesięcioletni mężczyzna z rzadkimi siwymi włosami. Ubrany był w dwurzędowy szary garnitur i palił cygaro.

- Czy pan Caffee? - spytał Mason.

- Tak.

Mason podał mu wizytówkę, mówiąc:

- Jestem adwokatem, nazywam się Perry Mason. Chcę porozmawiać z panem o pańskim samochodzie.

- O co panu chodzi?

Mason zrobił krok do przodu. Caffee cofnął się instynktownie. Mason i Della weszli do mieszkania.

- Co z tym moim samochodem? - spytał Caffee.

- Chcę, żeby mi pan opowiedział o wypadku, który miał miejsce trzeciego tego miesiąca.

Przez chwilę Caffee stał nieruchomo, potem warga zaczęła mu drżeć tak bardzo, że cygaro o mało nie wypadło mu z ust. Caffee złapał je szybko, chrząknął i zapytał:

- O czym pan mówi?

- Dobrze pan wie, o czym mówię - atakował Mason z dużą pewnością siebie. - Pana samochód wpadł na forda na skrzyżowaniu Hickman Avenue i Vermesillo Drive. Przypuszczam, że wypił pan trochę, bał się pan zostać i wolał uciec, myśląc, że nikt nie zauważy numeru rejestracyjnego pana samochodu. Patrząc w lusterko, przekonał się pan, że wszyscy obserwują samochód rozbijający się o latarnię. Cały czas jechał pan z dużą szybkością.

- O mój Boże! - wykrzyknął Caffee i opadł na krzesło. Jego twarz wyglądała tak, jakby była zrobiona z ciasta. Wargi mu drżały.

- A więc? - spytał Mason.

- Zwyciężyliście - powiedział Caffee patetycznie. - Dlaczego na miłość boską to zrobiłem?

Della Street usiadła, wyciągnęła notes, rozłożyła go na kolanach i zaczęła notować.

- Czy pan się przyznaje do wszystkiego? - spytał Mason.

- Tak - odpowiedział Caffee. - Przyznaję się. Złapałście mnie. Nie mogę się wywinąć. Wtedy myślałem, że tylko samochód został uszkodzony... Niech pan powie... czy ktoś jest ranny, panie Mason?

- Dwoje ludzi - odparł Mason. - Kobieta, która prowadziła wóz doznała szoku, a jej syn złamał biodro. Siła uderzenia rzuciła nim o słup latarni, kiedy drzwi samochodu się otworzyły. To cud, że nie rozbił sobie czaszki i nie umarł.

Daniel Caffee objął głowę długimi dłońmi i jęczał.

- No cóż - powiedział Mason. - Co pan ma mi do powiedzenia?

- Złapałście mnie - powtarzał Caffee z wielkim żalem. - Muszę wziąć lekarstwo. Panie Mason, daję panu słowo, że nie wiedziałem, że ktoś został ranny. Cały czas miałem nadzieję, że tylko samochód ucierpiał i próbowałem znaleźć sposób, żeby wyrównać straty... Stchórzyłem. Za dużo wypłem. Widzi pan, spotkałem starego przyjaciela i poszliśmy do baru. Zwykle nie piję, kiedy mam usiąść za kierownicą... Jechałem bardzo szybko, spieszyłem się. Żona czekała na mnie, a było już tak późno... Kiedy dojechałem do skrzyżowania, zobaczyłem w ostatniej chwili ten drugi samochód. Myślałem, że go wyminę, jeśli dodam gazu i nacisnąłem pedał do dechy. Mój samochód ma cudowny zryw. Skoczył do przodu i już, już miałem tamtego wyminąć... Czułem, jak wpadł na mnie z tyłu i przypuszczam, że właśnie w tym momencie mój zderzak zaczepił o przednie koła tamtego i rzucił go na latarnię... W pierwszej chwili chciałem się zatrzymać. Potem spojrzałem w lusterko i zobaczyłem, że wszyscy biegną do tamtego samochodu. Ulica przede mną była pusta i wiedziałem, że mogę minąć co najmniej pół tuzina przecznic bez świateł, jechałem więc bez zatrzymania się. Byłem pewien, że nikt mi się nie przyjrzał na tyle, żeby móc rozpoznać mój wóz, który zresztą niewiele ucierpiał w wypadku. Gdybym nie wypił tych paru kieliszków, nigdy bym nawet nie pomyślał o czymś tak szalonym.

- O której godzinie to się zdarzyło? - spytał Mason.

- Przypuszczam, że musiało być już po piątej.

- Gdzie?

- Dokładnie na skrzyżowaniu Hickman Avenue i Vermesillo Drive. Jechałem Vermesillo Drive i, jak już mówiłem, spieszyłem się.

Mason rzucił okiem na piszącą Delle.

- Którego dnia to się stało?

- Trzeciego tego miesiąca. Panie Mason, zdaję sobie sprawę z tego, że nieźle wpadłem, ale zrobię, co tylko można, aby to jakoś wyrównać. Jestem ubezpieczony. Skontaktuję się z towarzystwem ubezpieczeniowym, a oni to na pewno załatwią jak należy. Poza tym dam od siebie pana klientom czek na dziesięć tysięcy dolarów. Wiem, że jestem winien, bo uciekłem z miejsca wypadku i muszę wypić piwo, które nawarzyłem. Mam wielką nadzieję, że załatwimy to tak, aby moja żona nie dowiedziała się o niczym.

- Czy pana żona jest teraz w domu?

- Nie, spodziewam się jej za jakieś pół godziny.

Mason, mrużąc oczy, zastanawiał się chwilę nad sytuacją.

- Proszę opisać w krótkim oświadczeniu to, co mi pan przed chwilą opowiedział. Proszę złożyć swój podpis i przygotować czek na dziesięć tysięcy dolarów dla pana Roberta L. Finchleya. Sprawę ucieczki z miejsca wypadku będzie pan musiał załatwić z policją. Sądzę, że wezmą pod uwagę okoliczności wypadku i wysokość odszkodowania i zawieszą panu karę. Czy mogę zadzwonić, kiedy będzie pan pisał oświadczenie i czek?

- Proszę bardzo, telefon jest na stoliku.

Mason podszedł do aparatu i poprosił o połączenie z biurem Drake'a. Kiedy usłyszał głos detektywa, powiedział:

- Paul, z tym Argyle'em to był fałszywy alarm. Odwołaj swoich ludzi.

- Niech to diabli, Perry! Fałszywy alarm? - powiedział Drake pogardliwie. - Jeden z moich ludzi ma zeznanie podpisane przez portiera z Broadway Athletic Club, który twierdzi, że widział, jak Argyle przyjechał do klubu

taksówką około siódmej wieczorem. Wyglądał na zdenerwowanego i zmartwionego. Powiedział, że musi zgłosić kradzież samochodu i dał portierowi sto dolarów, aby przysiągł, że Argyle był w klubie od południa. Oczywiście nie byłoby tego zeznania, gdyby moi ludzie nie popędzili temu człowiekowi kota i nie powiedzieli, że przymkną go za współudział w zbrodni.

Mason milczał.

- Jesteś tam? - spytał Drake.

- Jestem.

- Żona Argyle'a zostawiła go pół roku temu. On sam spekuluje dzierżawami naftowymi. Ma dwóch wspólników: Dudleya Gatesa i Rossa P. Hollistera. Hollister mieszka w Santa del Barra i to on ma forszę. Argyle mieszka zupełnie sam od czasu, kiedy go żona opuściła. Ma szofera i gosposię, która przychodzi codziennie. Ma dobrą opinię w swoim klubie. Mówi się powszechnie, że jego nowe pole naftowe na północy to kopalnia złota. Portier twierdzi, że Argyle pił, a nawet był jeszcze pod rauszem, kiedy przyszedł do klubu. I czego ci jeszcze trzeba, Perry? To jest facet, którego szukasz.

- Niemożliwe!

- Słuchaj, czy nie możesz stamtąd, gdzie teraz jesteś, mówić swobodnie?

- Tak.

- No, cóż, nie daj mu się oszukać. Obojętne kto by to był - mówił Drake - zwodzi cię. Argyle jest tym, kogo szukasz.

- On mi daje w tej chwili pisemne oświadczenie i czek na dziesięć tysięcy dolarów - powiedział Mason cicho. Zanim odłożył słuchawkę, usłyszał, jak Drake wdycha pełen zdumienia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jadąc szybko Beachnut Street, Mason odezwał się do Delli:

- Posłuchaj, Della. Zawiozę cię teraz do hotelu Ketterling, skąd będziesz mogła wziąć taksówkę. Pojedziesz do Paula Drake'a i wszystko mu opowiesz. Potem idź do biura i czekaj na mój telefon. Jadę porozmawiać z Argyle'em, a potem na South Gondola Avenue.

- Bądź ostrożny. Zdaje się, że to pułapka.

- Wiem - powiedział Mason - ale ktoś się ze mną bawi w ciuciubabkę i chcę się dowiedzieć, kto to jest.

Mason zamilkł i nie odezwał się, dopóki nie dojechali do hotelu.

- A więc mam najpierw pójść do Paula i zreferować mu wszystko, co się zdarzyło, a potem czekać? - upewniła się Della.

- Tak.

- Dobrze - powiedziała wyskakując z samochodu. - Powodzenia.

Uśmiechnął się.

- W tym kłopot, że mamy za dużo powodzenia. Pomyśl, dwóch kierowców przyznaje się do winy, a tu tylko jedno zderzenie.

Pojechał do domu Argyle'a przy West Casino Boulevard 938. Na podjeździe nie było dużego buicka i nikt też nie odpowiedział na dzwonek Masona.

Wrócił więc do samochodu i odjechał w kierunku South Gondola Avenue. Zaparkował samochód parę przecznic przed domem Lucille Barton. Resztę drogi przebył pieszo. Obszedł dom dookoła, szukając garażu Lucille. Rozpoznał go bez trudu po numerze „208” umieszczonym na drzwiach. Drzwi były zamknięte tylko na klamkę. Wnętrze garażu było ciemne i ponure.

Mason uchylił drzwi na tyle, by móc stwierdzić, że w garażu nie ma samochodu. Zaspokoiwszy swoją ciekawość, przeszedł na drugą stronę ulicy i poszedł do sklepu tytoniowego na rogu, w którym był telefon. Wykręcił zastrzeżony numer do swego prywatnego biura i czekał, aż Della odbierze telefon.

- Hallo, Della - powiedział cicho. - Jestem na South Gondola Avenue. Ona gdzieś pojechała samochodem. Spróbuję znaleźć ten notes.

- Bałam się, że ci coś takiego przyjdzie do głowy. Kiedy wrócisz?

- Niedługo.

Zniżyła głos do szeptu i powiedziała:

- W poczekalni siedzi pan Argyle. Ma stracha.

- Co się stało?

- Widocznie sumienie go gryzie.

- Nie sądzisz, że chce zmienić swoje oświadczenie?

- Raczej nie.

- Jak długo czeka?

- Powiedział, że wyszedł z domu natychmiast po twojej wizycie. Naprawdę jest czymś zaniepokojony. Wyznał, że nie mógł rozmawiać swobodnie i bardzo chce się z tobą zobaczyć.

- Czemu nie mógł mówić swobodnie?

- Tego nie powiedział.

- Jest tylko jeden powód. Jego szofer i lokaj był przy tym.

- No, to dlaczego go po prostu nie odprawił?

- Nie wiem. Jest coś dziwnego w ich wzajemnym stosunku.

- Szofer siedział na dole w samochodzie - powiedziała Della - kiedy przyszedłam. Pan Argyle zszedł na dół, żeby go odprawić zaraz potem, jak mu powiedziałam, że cię nie ma i nie wiem, kiedy będziesz w biurze. Argyle

stwierdził, że poczeka na ciebie bez względu na to, jak długo to potrwa.

- Dobrze - powiedział Mason. - Zaraz przyjdę. Spróbuj go zatrzymać.

Mason odwiesił słuchawkę i szybko wrócił do domu Lucille Barton. Otworzył kluczem drzwi na dole, wbiegł po schodach na drugie piętro, upewnił się, że korytarz jest pusty i zapukał do drzwi mieszkania „208”.

Nikt nie odpowiedział.

Jeszcze raz rozejrzał się, czy ktoś nie nadchodzi, potem włożył klucz do zamka i przekręcił. Usłyszał, jak zamek odskoczył, otworzył drzwi i szybko wszedł do mieszkania.

Wszędzie paliło się światło. Sekretarzyk był otwarty, a górny schówek po prawej stronie pusty. Notes i rewolwer zniknęły.

Mason zaklął z niepokojem, zrobił dwa kroki w kierunku sypialni i zatrzymał się.

Z miejsca, w którym stał, mógł zajrzeć przez na wpół uchylone drzwi do sypialni i łazienki. W wannie, za zasłoną, stała dziewczyna. Nie było słychać szumu leżącej wody, musiała ją przed chwilą zakręcić. Obok wanny stał biały kąpielowy taboret, a na nim leżał połyskujący stalą rewolwer - płaski, złowieszczy i brzydki.

Kiedy Mason stał, przyglądając się sylwetce kobiety, zza zasłony wysunęło się nagie, ociekające wodą ramię. Mokra dłoń podniosła rewolwer.

Mason cofnął się szybko. |

- Halo - krzyknął. - Jest ktoś w domu?
- Kto... kto tam jest?
- Halo - powtórzył. - Tu Perry Mason.
- Och... Jest pan sam?
- Tak.
- Właśnie brałam prysznic. Jak pan wszedł?

- Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Pchnąłem je i same się otworzyły.

- Och - odpowiedziała - czasami zasuwka nie zaskakuje. Proszę, niech pan usiądzie. Za parę minut będę gotowa, ale proszę zamknąć drzwi do sypialni, bo jestem rozebrana.

- Muszę się natychmiast z panią zobaczyć.

Zaśmiała się.

- No, natychmiast to nie.

- Nie ma czasu do stracenia - powiedział Mason.

- Ależ pan jest niecierpliwy. Proszę zamknąć drzwi wejściowe, panie Mason, i upewnić się, czy tym razem są naprawdę zamknięte. Proszę także zamknąć drzwi sypialni. Będę gotowa za dwie, trzy sekundy, tylko się wytrę i włożę coś na siebie.

Zamknął drzwi do sypialni, upewnił się, że drzwi wejściowe są również zamknięte, a potem podszedł do sekretarzyka. Może przez dziesięć sekund przeglądał jego zawartość, ale nie znalazł nawet śladu notesu, który widział rano.

Usiadł więc na krześle koło stołu i czekał.

Po paru minutach otworzyły się drzwi od sypialni i weszła Lucille Barton ubrana w ciemny aksamitny szlafrok, uwypuklający okrągłości jej figury.

Mason podniósł się.

Zawahała się, ale w końcu uśmiechnęła się i podała mu rękę.

Mason przyciągnął ją do siebie i objął ramieniem.

- Ależ... Panie Mason! Tego się po panu nie spodziewałam.

Dłonie Masona poruszały się szybko.

- Czego pan szuka?

- W tej chwili rewolweru.

- Och - jej głos wyraźnie się zmienił.

- Gdzie go pani schowała?
 - Widział mnie pan. Prawda, panie Mason? Widział mnie pan przez zasłonę - powiedziała.
 - Widziałem rewolwer na taborecie - odpowiedział Mason. - Gdzie on jest?
 - W sypialni, w mojej torebce.
 - Pójdziemy sprawdzić.
 - Przyniosę go.
 - Przyniesiemy go.
 - O co panu chodzi, panie Mason. Nie ufa mi pan?
 - Nie.
 - Ależ... Panie Mason, co się z panem dzieje?
 - Nic. Po prostu staję się ostrożny.
- Roześmiała się.
- Wie pan, to jest to, co Artur Colson o mnie mówi. Twierdzi, że jestem zbyt ostrożna.
 - A z jakiej okazji to pani zarzucał? - spytał Mason.
- W odpowiedzi roześmiała się. Cicho otworzyła drzwi i weszła pierwsza do sypialni, mówiąc:
- Uczciwie powiedziawszy, to, co pan robi, jest bardzo niekonwencjonalne, panie Mason.
- Podeszła do łóżka i chwyciła torebkę. Kiedy Mason po nią sięgnął, powiedziała ostro:
- Panie Mason, niech pan zostawi ten rewolwer. Niech pan nie próbuje...
 - Po co jest pani potrzebna broń?
 - Do obrony.
- Mason wyciągnął rewolwer z torebki, wyjął naboje i włożył je sobie do kieszeni. Zrobiwszy to, włożył śmiertelne narzędzie z powrotem do torebki.
- Dlaczego pan to zrobił?
 - Porozmawiajmy - powiedział Mason.
 - Przecież cały czas rozmawiamy, tylko pan nie słucha.

- Skąd ma pani ten rewolwer?
 - Dostałam.
 - Od kogo?
 - Pan Hollister... Nie, nie mogę panu powiedzieć.
- Bardzo proszę, niech mnie pan o to nie pyta.
- Od jak dawna pani go ma?
 - Od dwóch lub trzech tygodni.
 - Dlaczego pan Hollister uważał, że go pani potrzebuje?
 - To... To jest coś, czego nie mogę panu powiedzieć.
 - Wyjaśnijmy parę rzeczy, Lucille - powiedział Mason. - Nie lubię, kiedy ktoś chce mnie w coś wrobić.
 - Nie. Domyślam się, że nie.
 - Powiedziała mi pani, iż się pani zaręczyła z panem Hollisterem.
 - Tak. Mam zamiar wyjść za niego.
 - Gdzie on jest teraz?
 - Czy pan myśli w tej chwili?
 - Tak.
 - Nie wiem. Pewnie gdzieś w północnej części stanu.
 - Nie wie pani dokładnie? Nie dzwoni do pani?
 - Nie. Wie pan... nie mam telefonu, panie Mason. Jest to zła strona mieszkania w starym bloku. Nie może do mnie zadzwonić. Ale napisze. Pewnie list od niego jest w dzisiejszej poczcie.
 - Kocha go pani?
 - Panie Mason, dlaczego wtrąca się pan w taki sposób do moich spraw osobistych?
 - Bo chcę się czegoś dowiedzieć o pani i niektórych sprawach.
 - Pan Hollister jest dżentelmenem - odpowiedziała.
 - Jest mi bardzo bliski i cenię go. Spekuluje terenami naftowymi i czasami wyjeżdża na tydzień lub dwa, a potem może zostać w mieście nawet miesiąc.

- A kiedy wyjeżdża, pani spędza mile czas z Arturem Colsonem?
- Panie Mason!
- Tak? - spytał Mason.
- Potrząsnęła głową i powiedziała:
- Nie, myli się pan. Artur jest moim wspólnikiem. Ale dlaczego pana to tak interesuje?
- Bo chcę znaleźć rozwiązanie. Chcę wiedzieć, co się dzieje.
- Dlaczego?
- Ponieważ myślę, że to mnie dotyczy i ponieważ myślę, że są sprawy, o których pani nie wie. Chyba, że chce mnie pani na coś napuścić.
- Panie Mason! Nie wiem, o czym pan mówi. Od pierwszej chwili, kiedy przyszedł pan tutaj, zachowuje się pan b a r d z o dziwnie. Ja... ja chciałabym, żeby omówił pan sprawę alimentów z moim byłym mężem, Willardem Bartonem, ale nie mam zamiaru pozwolić panu na robienie obrzydliwych insynuacji tylko dlatego, że chcę, aby pan to dla mnie zrobił. Oczywiście, rzecz jasna, mam dla pana szacunek...
- W porządku - powiedział Mason. - Wobec tego niech mi pani opowie coś więcej o Arturze Colsonie.
- Co mam o nim powiedzieć?
- Chcę wiedzieć wszystko. Ale nie o sprawach zawodowych, raczej o tych innych.
- Mój Boże, to tylko znajomy. Jest raczej przyjacielem Anity niż moim.
- Kto to jest Anita?
- Dziewczyna, którą znam. Nazywa się Anita Jordan.
- Niech mi ją pani opisz.
- Jest drobna, ma czarne oczy, ładne czarne włosy. Lubi się elegancko ubierać... Lubię ją. Jest bardzo miła.
- Dobrze. Kiedy porozmawialiśmy już o innych

rzeczach, wróćmy do mego pytania i pomówmy o Arturze Colsonie.

- Ale co chce pan wiedzieć?
- Jak długo pani go zna?
- Nie bardzo długo. Jest... jest wynalazcą. To taki rozmiłowany w nauce, marzycielski człowiek. Trudno nam go namówić na odpoczynek i rozrywkę. Lubi czytać. Może czytać w bibliotece całe noce. Potem idzie do domu, rozmyśla, robi plany i wali na maszynie.

- Co on wynalazł?
- Och, mnóstwo rzeczy. Na niektórych zarobił.
- Jakie są te wynalazki?
- No, na przykład teraz pracuje nad czymś, co ma jakiś związek z promieniami podczerwonymi. Przedtem opracował automat otwierający i zamykający drzwi. Robi właśnie urządzenia tego rodzaju.

- To znaczy?
- To działa na zasadzie niewidzialnego światła, зда-je się, że nazywają to czarnym światłem. Wiązka tego światła leci przez pokój i jeśli tylko jakiś przedmiot znaj-dzie się na tej samej linii, zamyka obwód i robi różne czynności - och, na przykład robi połączenie elektryczne, tak że jak pan wchodzi do domu, włącza się elektryczny piecyk i zaczyna gotować, radio zaczyna grać, światło się zapala i... nie wiem dobrze, panie Mason, to jest po prostu takie urządzenie. Wiele jego wynalazków jest na wysokim poziomie naukowym, tyle że są niepraktyczne.

- Dlaczego pani się nim interesuje?
- Już panu powiedziałam. Finansuję jego prace.
- A dlaczego pani to robi?
- Ponieważ sądzę, że to dobry interes.
- Przesiaduje tu czasem do późna w nocy?
- Czasami, kiedy nie ma pana Hollistera, i ja... Artur ma niekiedy napady chandry i czuje się samotny. Widzi

pan, przyjął zasadę, żeby mieć tylko jeden wolny dzień w tygodniu. Próbuję go namówić, aby nie pracował wieczorami. Zdecydowanie nie należy do tych, którzy potrafią się bawić. Jest marzycielski i roztrzepany i czasami może być nudny.

- Ale lubi Anitę Jordan?

- Tak.

- A ona go lubi?

- Przypuszczam, że tak. Anita... no, Anita jest trochę samolubna. Jakby to panu powiedzieć, potrzebuje zabezpieczenia. Myślę, że chciałaby bardzo poślubić kogoś i ustatkować się. Próbowalam ją przekonać, że małżeństwo nie oznacza bezpieczeństwa, ale nie można wytłumaczyć dziewczynie takiej rzeczy.

- Nie - powiedział Mason - nie można. A teraz niech pani przestanie wreszcie kłamać, Lucille, i powie mi, kto kupił pani ten rewolwer.

- Zdaje się, że pan przywiązuje zbyt dużą wagę do tego rewolweru, panie Mason.

- Kiedy kobieta idzie się kąpać i bierze ze sobą do łazienki rewolwer, to chyba ona jest tą osobą, która przywiązuje zbyt dużą wagę do broni.

- Ktoś przysięgł, że mnie zabije. Artur się boi, a i ja też.

- Kto to jest ten „ktoś”?

- Pan go nie zna.

- Niech pani nie będzie taka pewna - powiedział Mason. - Znam bardzo wiele ludzi. Jak on się nazywa?

- Nazywa się Pitkin. Hartwell Pitkin. Jest upartym, nieokrzesanym, prostackim typem. Kiedyś popełniłam błąd i wyszłam za niego za męża. Byłam wtedy głupią kobietą, miałam osiemnaście lat i nic nie wiedziałam o mężczyznach. Kręcił się koło mnie i zdawało mi się, że jest jedynym mężczyzną na świecie, który da mi wszystko, czego

pragnę. Mieszkałam wtedy w małym miasteczku i nie miałam...

- Jak długo byliście razem?
- Dwa, trzy lata.
- A co się stało potem?
- Potem... uciekłam.
- Co to znaczy - uciekłam?
- Właśnie to.
- Dostała pani rozwód?
- W końcu tak. Ale wtedy, kiedy go opuściłam, po prostu uciekłam.
- Z kimś innym? - spytał Mason.
- Jest pan strasznie ciekawy, panie Mason, prawda?
- Czy uciekła pani z kimś innym? – powtórzył Mason.
- Tak - odpowiedziała patrząc mu w oczy.
- Tak... A więc co się stało?
- Hartwell przysiągł, że nas znajdzie i zabije. Nie mógł mnie znaleźć i nigdy nie znalazł. Zmieniłam nazwisko a potem dostałam rozwód w Reno i...
- A co się stało z tym człowiekiem, z którym pani uciekła?
- Został zabity na wojnie. Kochałam go.
- I co było potem?
- Zostawił mi ubezpieczenie na życie i... cóż, wyszłam za Willarda Bartona.
- No, dobrze. Niech mi pani teraz coś powie o Hartwellu Pitkinie.
- Dowiedział się... dowiedział się, że jestem w mieście. Ale jeszcze nie zna adresu.
- Jest tu, w mieście?
- Tak.
- Gdzie? Co robi?
- Pracuje u niejakiego Stephena Argyle'a. Mieszka

przy West Casino Boulevard 938. Nie wie, że się dowiedziałam, gdzie przebywa. Najgorsze jest to, że Ross Hollister i Argyle należą do tego samego klubu, grają razem w karty i tak dalej... Rozumie pan teraz moje położenie. Nawet jeśli poślubię Rossa Hollistera, to naprawdę niczego to nie rozwiąże. Niech pan sobie wyobrazi, co czułby taki człowiek jak Ross, gdyby się dowiedział, że poślubił byłą żonę szofera swego przyjaciela. Byłby upokorzony, a jego przyjaciele śmialiby się z niego... a Hartwell Pitkin jest do szaleństwa zazdrosny... Och, panie Mason, to okropna sytuacja!

- Teraz - powiedział Mason - zaczynam rozumieć.
- Co pan ma na myśli?

Mason popchnął ją lekko, ale stanowczo w kierunku sypialni.

- Niech się pani ubierze, Lucille. Wychodzimy.
- Panie Mason, dlaczego jest pan taki... zawzięty?
- Bo chce mnie pani w coś wciągnąć.
- Wcale nie!
- Czy te wszystkie meble są z podziału majątku po rozwodzie z pani ostatnim mężem?
- Niech się pan nie wygłupia. To jest mieszkanie wynajęte z umeblowaniem.

- Rozumiem. Wynajmują teraz mieszkania z perskimi dywanami, starymi sekretarykami i...

- No dobrze. Jeżeli musi pan wiedzieć, powiem panu. Widziałam, jak się pan rozglądał, kiedy przyszedł pan dzisiaj rano. Ross Hollister lubi ładne i dobre rzeczy. Zamierza zatrzymać po naszym ślubie swoje dotychczasowe mieszkanie w Santa del Barra, ale chce mieć i moje także. Zna się na meblach i dekoracji wnętrz i przynosi tu stopniowo różne rzeczy ze swego mieszkania w Santa del Barra. Ten dywanik, na przykład, dał w niedzielę, a ta jego wścibska stara gospodyni przysłała mi wczoraj rano telegram z pytaniem, czy mi podarował wschodni dywan! Tak

jakby to był jej interes! Przychodzi codziennie rano i jest u niego do wpół do piątej. Ross jada w mieście, ale płaci jej za cały dzień. Mogę panu jedno powiedzieć: kiedy się pobierzemy, ta kobieta będzie musiała odejść! I to szybko!

- Dlaczego zatelegrafowała do pani, a nie zapytała wprost samego Hollistera?

- Ponieważ wyjechał z Santa del Barra w poniedziałek o szóstej, aby po cichu wydzierżawić pola, co do których otrzymał poufne informacje od pewnego geologa. On jest fantastyczny...

- Dobrze - przerwał Mason. - Później mi pani o nim opowie. Teraz niech się pani ubiera. Wychodzimy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mason przepuścił ją w drzwiach i zeszli razem ze schodów.

- Wolałabym, żeby mi pan powiedział, dokąd... - urwała nagle.

- Co się stało? - spytał Mason.

- To mój samochód! - wykrzyknęła.

- Gdzie?

- Ten czterodrzwiowy, tam.

- Jest pani pewna?

- No nie, nie jestem zupełnie pewna. Wygląda jak mój samochód.

- Który to jest?

- Ten po drugiej stronie ulicy, zaparkowany koło alejki. Jasnobrązowy z czerwonymi kołami i białymi bokami.

- Dobrze - powiedział Mason. - Chodźmy sprawdzić, czy to pani wóz, czy nie.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Lucille podeszła do samochodu, otworzyła drzwiczki i zawołała:

- Mój Boże, to jest mój wóz! I kluczyki są w stacyjce!

- Normalnie nie zostawia pani kluczyków?

- W garażu, tak. Zamykam garaż i zostawiam kluczyki w samochodzie, ale kiedy parkuję wóz na ulicy, zawsze je ze sobą zabieram.

- Czy jeździła pani dzisiaj samochodem?

- Nie.

- A czym przyjechała pani do mego biura?

- Samochodem Artura.

- Co chce pani teraz zrobić z samochodem? Wziąć kluczyki i zostawić go tutaj, czy...

- Chcę go wprowadzić tam, gdzie powinien być. Do garażu.

Usiadła za kierownicą, przekręciła ze złością kluczyk w stacyjce i uruchomiła starter. Starter zaskoczył zgrzytliwie, silnik zaczął pracować, po chwili gaźnik strzelił, silnik zawarczał, znowu zaczął pracować i znowu strzelił gaźnik.

- Może wyciągnęła pani za mocno ssanie? - spytał Mason.

- Ssanie nie jest wyciągnięte - odpowiedziała.

- Pójdę do garażu - powiedział Mason - i otworzę drzwi. - Coś z tym silnikiem jest nie w porządku.

- Ja też tak myślę. Nie wiem, co się stało, czy ktoś zrobił mi kawał, czy co, ale... Artur zna się na tym. Miał założyć nowe kable, a co właściwie zrobił - nie wiem. Wszystko było w porządku, tylko kable się trochę zużyły.

- Pewnie są źle podłączone - powiedział Mason. - Może pani pojedzie w stronę alejki i zawróci do garażu,

a ja tymczasem pójde otworzyć drzwi. Myślę, że uda się pani przejechać taki kawałek. Potem zajrzemy do silnika i zobaczymy, co tam jest.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w alejkę. Słyszał za sobą trzaski, huki i strzelanie silnika samochodu Lucille, która starała się zawrócić w stronę garażu. Potem reflektory oświetliły drzwi. Mason otworzył szeroko prawe skrzydło i szukał zasuwki, która przytrzymywała lewe. Nagle znieruchomiał.

Światło reflektorów wydobyło z ciemności nogi leżącej wewnątrz postaci. Reszta ciała ukryta była w cieniu drzwi.

Niespodziewanie silnik przestał pracować.

Lucille Barton szarpnęła drzwiczki samochodu i wysunęła się szybkim ruchem zza kierownicy, pokazując przez moment uda. Podeszła szybko do Masona.

- Co to jest? - zapytała. - Kto tam jest?

- Wygląda to na śpiącego pijaka albo na trupa - odpowiedział Mason. - Chyba sprawdzimy.

Znalazł zasuwkę po wewnętrznej stronie drzwi, odsunął ją, zaczął otwierać lewe skrzydło i zatrzymał się, kiedy reflektory oświetliły czerwoną kałużę krwi, która wypłynęła z otworu po kuli w głowie leżącego mężczyzny.

- On nie żyje - powiedział Mason.

Zrobiła krok do przodu i nagle cofnęła się. Mason usłyszał, jak wciągnęła głęboko powietrze.

- No? - zapytał.

- Co to ma znaczyć? - spytała. - Co to za machinacje? W jakie oszustwo chce mnie pan wciągnąć?

Mason podszedł tak blisko, żeby móc zobaczyć rysy twarzy zabitego mężczyzny i odezwał się:

- Może odwrócimy pani pytanie, Lucille. W jakie oszustwo pani chce mnie wciągnąć?

- Zaczynam teraz - powiedziała - rozumieć tę całą sprawę, to... to wypytywanie o rewolwer, o samochód i garaż i... to... to dlatego chciał pan wejść do garażu!

Mason zmarszczył brwi i milczał. Miał przed sobą ciało Hartwella Pitkina, który - jak mu powiedziała Lucille Barton - był jej pierwszym mężem. A teraz leżał tutaj martwy.

Lucille spojrzała uważnie i nagle rozpoznała, kim był zabity.

- O, mój Boże! - krzyknęła i chwyciła ramię Masona, żeby nie upaść.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Lucille - odezwał się Mason - trzeba zawiadomić policję.

Patrzyła na niego przestraszonymi oczyma, w których czaiło się podejrzenie.

- No, a poza tym - kontynuował Mason - kiedy będzie pani opowiadała im tę swoją historię, niech się pani postara wymyślić coś bardziej przekonującego niż to, co mi pani opowiedziała.

- Co pan ma na myśli?

- Spójrzmy na to oczyma policji - powiedział Mason. - Mężczyzna, który leży tu martwy, był przeszkodą w zdobyciu tego, czego pani oczekiwała od życia. Miała pani szansę wyjść za mąż za Rossa Hollistera. Nie mogła pani tego zrobić, dopóki Pitkin żył. Jego śmierć była potrzebna, aby mogła pani osiągnąć cel i poślubić Hollistera. Po co kluczyć?

- Chce mi pan wmówić, że ja... że ja jestem... jestem za to odpowiedzialna?

- Nie, nie chcę pani niczego wmówić - zaprzeczył Mason. - Ale policja będzie tak myślała.

- Och, panie Mason - chwyciła go kurczowo za ramię - dlaczego musiało się to przydarzyć właśnie mnie?

- Nic się jeszcze pani nie przydarzyło - odpowiedział Mason. - Przydarzyło się Pitkinowi. Proszę zostawić tutaj samochód i pójść zadzwonić na policję. Niech pani lepiej wyłączy światła w wozie i niech pani niczego nie rusza. No, chodźmy zawiadomić policję.

Wziął ją za ramię i odciągnął lekko od ciała, potem poprowadził alejką do bramy domu.

- Ma pani klucz od mieszkania? - zapytał.

- Tak.

Włożyła klucz do zamka, przekręciła i weszła do hallu.

- Czy ma pani dziesięć centów? - spytał Mason. - Tu w hallu jest telefon.

- Nie, zdaje się, że...

- Dam pani. Proszę zadzwonić do komendy policji i powiedzieć, że znalazła pani ciało mężczyzny u siebie w garażu.

- Zostanie pan ze mną?

- Nie, nie mogę.

- Będę musiała im powiedzieć, że był pan ze mną, kiedy znaleźliśmy ciało.

- Tak. Kiedy znaleźliśmy ciało. A teraz proszę zadzwonić.

Zrobiła parę kroków w kierunku budki telefonicznej, zawahała się, odwróciła i zobaczywszy, że Mason patrzy na nią, poszła niechętnie zadzwonić.

Mason obserwował, jak wrzuciła monetę i zaczęła wykręcać numer, potem wyszedł szybko i poszedł do swego wozu.

Pojechał do apteki, zatrzymał się, wszedł do środka i zatelefonował do swojego biura.

- Halo - usłyszał głos Delli.
- Czy Argyle jeszcze czeka? - zapytał.
- Wyszedł zatelefonować i już nie wrócił.
- Jak dawno temu?
- Jakies pięć minut.
- Kiedy przyszedł do biura, widziałaś jego buicka i szofera?

- Tak.
- Kiedy to mogło być?
- Może godzinę temu, tuż po piątej.
- Skąd wiedziałaś, że to samochód Argyle'a?

Roześmiała się.

- Zauważyłam numer rejestracyjny. Ta sprawa uczuliła mnie na numery samochodów. Bez przerwy na nie patrzę.

- I Argyle wyszedł dopiero pięć minut temu?
- Tak. Zszedł na dół odprawić szofera zaraz po moim przyjściu, a potem wrócił na górę.
- Jak długo go nie było?
- Nie więcej niż parę minut. Dlaczego pytasz?
- Nie mogę ci tego powiedzieć przez telefon, Della. Kiedy Argyle wróci, pozbadź się go. Powiedz mu, że nie wrócę dzisiaj do biura.
- Ale chciałeś przecież go zobaczyć.
- Chciałem, ale już nie chcę. Nie mogę ci opowiedzieć szczegółów. Czekaj na mnie w biurze.
- Dobrze. Czy mam coś jeszcze zrobić?
- Nie. To wszystko. Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Della przyjęła Masona słowami:

- Na miłość boską, po co ten pośpiech, szefie? Co...
- Gdzie jest Argyle? Pozbyłaś się go?
- Nie musiałam. Wyszedł zatelefonować i nie wrócił. Dlaczego jesteś taki podniecony, szefie?

Mason zaczął opowiadać:

- Ten szofer nazywa się Hartwell Pitkin i jak się okazuje to pierwszy mąż Lucille Barton. Była jego żoną siedem czy osiem lat temu. Uciekła od niego z jakimś mężczyzną, potem się rozwiodła. Wszystko wskazuje na to, że zaraz potem jak Argyle odprawił Pitkina, w czasie gdy ja szukałem Argyle'a w domu, Pitkin pojechał do Lucille. Znaleźliśmy jego ciało w garażu Lucille. Ktoś go zastrzelił. Dostał kulę prosto w czoło. Przepuszczalnie zginął w miejscu, w którym go znaleźliśmy.

- Czy zamierzasz... czy zamierzasz bronić tej Lucilli Barton?

Mason uśmiechnął się.

- Za nic w świecie, Della.

- To dobrze - w jej głosie słycać było ulgę.

- Po raz pierwszy w życiu, Della, rozmawiając z policją wyłożę wszystkie karty na stół. Lucille Barton nie jest moją klientką. Poradziłem jej, żeby powiedziała policji całą prawdę. Ja na pewno powiem im prawdę.

- O kluczach też? I o twoich poszukiwaniach...?

- O wszystkim - powiedział Mason. - Wyjmij te listy, które dostaliśmy w odpowiedzi na ogłoszenie w gazecie. Masz tu klucze, Della. Możesz je włożyć z listami. Powiemy policji o wizycie dziś po południu, o numerze rejestracyjnym w notesie, o wszystkim. Wiesz, Della, mogłem nieźle wpaść i chcę się teraz trzymać jak najdalej od tego wszystkiego.

- Kiedy policja może się tu zjawić?
- To zależy.
- Od czego?
- Od tego jak długo będą pytać Lucille Barton.

Weźmy wszystkie dowody i chodźmy gdzieś na obiad. Potem wrócimy tu i poczekamy na gliny. Zanim wyjdziemy, powiem Paulowi, żeby coś zrobił.

- Co?
- Zaraz się dowiesz.

Mason wykręcił numer biura Drake'a i kiedy ten się odezwał, powiedział:

- Mam dla ciebie szybką robotę, Paul. Chcę, żebyś się czegoś dowiedział o rewolwerze Smith i Wesson 38, numer S65088. Dowiedz się, kiedy był sprzedany, kto go kupił i wszystkiego, co będziesz mógł. Wypytaj się również o szofera Argyle'a. Nazywa się Hartwell Pitkin.

- Dlaczego interesuje cię ten rewolwer?

Mason uśmiechnął się do telefonu:

- Dlatego, kochasiu, że ktoś próbował uwikłać Perry Masona w tę całą zabawę.

- A ty, Perry, nie chcesz dać się uwikłać?

- Nie tylko nie chcę, ale i nie mam zamiaru. Wolę sam wybierać sprawy, niż być zmuszonym do ich brania. Zbierz informacje i przekaż mi je, jak tylko będziesz mógł. Idziemy teraz z Dellą na obiad. Po powrocie będziemy pewnie mieli rendez-vous z policją.

- Możesz mi o tym opowiedzieć? - zapytał Drake.

- Nie. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli będziesz zupełnie czysty.

Odwiesił słuchawkę i powiedział do Delli:

- Chodź, Della, pójdziemy teraz coś zjeść. Przy najmniej nie będziemy rozmawiać z policją o pustym żołądku.

- A co więcej, przynajmniej raz będziemy mogli stanąć przed nimi ze spokojnym sumieniem - dodała Della.

- O, to na pewno - powiedział Mason. - Zawsze mamy spokojne sumienie. Czasami tylko nasze motywy są niejasne i musimy coś ukrywać.

- Tak. I to nawet całkiem sporo - zauważyła Della. - Dokąd idziemy?

- Gdzieś dalej - odpowiedział Mason. - Pójdziemy do restauracji oddalonej od biura, żeby policja nie wyciągnęła nas w połowie obiadu i żebyśmy nie musieli zostawić na talerzach polędwicy á la mignon.

Przeszli korytarzem obok biura Paula Drake'a, wsiadli do windy i na dole Mason przywołał taksówkę.

- Zostawimy samochód na parkingu - wyjaśnił. - Policja będzie wiedziała, że zamierzamy wrócić. Oszczędzi im to wiele czasu i energii.

Poszli do cichej restauracji odległej o dwanaście przecznic od biura. Panowała tam atmosfera spokojnego odosobnienia. Stoliki stały w zasłoniętych wnękach, jedzenie było dobre.

Godzinę później Mason skończył pić kawę i powiedział do Della Street:

- Jak się teraz czujesz? Masz ochotę stawić czoło policji?

- Mogę stawić czoło każdemu.

- No to chodźmy.

Znaleźli taksówkę i pojechali do biura. W windzie Mason spytał od niechcienia nocnego windziarza:

- Nikt o mnie nie pytał, Sam?

- Nie, proszę pana, nikt - odpowiedział Sam.

Mason i Della wymienili spojrzenia i Mason zaproponował:

- Wstąpmy do biura Paula Drake'a, Della.

Znaleźli Drake'a w małym kąciku, będącym jego prywatnym biurem. Siedział za biurkiem, na którym stało kilka telefonów.

- Czego się dowiedziałeś, Paul? - zapytał Mason.

- Mam informację o tym rewolwerze. Sprzedano go jakiemuś facetowi z miasta, a ten odsprzedał go kupcowi z gór. Sto trzydzieści mil stąd. Jego firma nazywa się „The Rushing Creek Mercantile Company”.

- A komu z kolei sprzedała go „The Mercantile Company”? - zapytał Mason.

- Nie wiem. To mała dziura zabita deskami i nie mogę się dogadać przez telefon.

- Do licha, muszę to wiedzieć - powiedział Mason. - Rushing Creek? Czy to jest ta miejscowość w górach, w której ludzie żyją z wyrębu lasów?

- Tak. Sporo wędkarzy jeździ tam łowić pstrągi. Przejeżdża się tamtędy w drodze do jakiegoś pięknego miejsca piknikowego i do terenów campingowych w górach.

- Szukaj dalej - polecił Mason. - Może się czegoś dowiesz. Nic nie słyszałeś o Argyle'u albo o tym jego szoferze?

- W domu Argyle'a jest ciemno - odpowiedział Drake. Wysłałem tam paru ludzi. Próbuję się czegoś dowiedzieć o szoferze.

- Dobrze, Paul, pilnuj tego dalej i daj mi znać, jeśli się czegoś dowiesz.

Mason poszedł z Dellą Street do swego biura.

- Niech to, Della - stwierdził - policja musi ją dobrze maglować.

- Powie im o tobie?

- Poradziłem jej, żeby wszystko mówiła.

- Myślisz, że cię posłuchała?

- Musiała. Byłem z nią, kiedy znalazła ciało.

Mason otworzył drzwi do biura, zapalił światła, usiadł przy biurku i zaczął bębnić palcami po blacie.

- Wiesz co, Della, poczekaj tutaj i broń twierdzy. Ja pójdę szybko do szpitala i opowiem Bobowi Finchleyowi, jak nam dobrze poszło. Ty zostań tu i jeśli policja przyjdzie, powiedz im, że czekasz na mnie i że zbieram informacje w sprawie o zranienie. Możesz przygotować grunt do wielu bardzo przyjemnych spotkań z policją. Pokaż im ogłoszenie z „The Blade”, opowiedz im o wypadku i daj do przeczytania listy, które otrzymaliśmy. Niech też obejrzą klucze.

- Powiedzieć im o Argyle'u?

- Oczywiście. Wszystko.

- Dobrze - powiedziała. - Poczekam tu na policję i zajmę się nimi. Czy to będą ludzie z Wydziału Zabójstw?

- Tak. Prawdopodobnie będzie porucznik Tragg.

- Lubię go.

- Nie zrób jakiegoś głupstwa - ostrzegł ją Mason. - To spryciarz.

- Co to za różnica, jeśli mamy zamiar powiedzieć mu wszystko?

- Pewnie żadna - uśmiechnął się. - Nie jestem po prostu przyzwyczajony do prawomyślnej szczerości. Będą tak zdumieni jak ja sam. Pomyślą, że coś ukrywamy i staną na głowie, żeby się dowiedzieć co to takiego... No, Della, to ja już sobie pójdę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mason siedł wyłożonym linoleum korytarzem szpitala. Pielęgniarki zaczynały już przygotowywać pacjentów do snu. Wszędzie paliły się przyćmione światła, w salach

panowała cisza i tylko od czasu do czasu słyhać było szelest nakrochmalonych fartuchów personelu, poruszającego się bezgłośnie na gumowych podszewkach.

Mason szedł na palcach, czując się niewybaczalnie zdrowy.

Dyżurna pielęgniarka zmarszczyła brwi na jego widok i zaczęła mówić ostrym tonem:

- Nie wolno odwiedzać chorych po...

Urwała poznawszy go, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Pana klient czuje się dzisiaj bardzo dobrze, panie Mason.

- To znaczy? - spytał Mason.

- Po południu zaczął się już martwić, czym zapłaci rachunek za szpital.

- Powiedziałem mu przecież, że ja się tym zajmę.

- Wiem, ale on nie chce. Był pan dla niego bardzo dobry, poza tym on nie ma najmniejszego pojęcia, kto na niego wpadł. Ci kierowcy, którzy uciekają po wypadku, to coś okropnego.

- A co mu tak poprawiło samopoczucie wieczorem?

- spytał Mason.

Uśmiechnęła się.

- Przyszedł do niego mężczyzna, który go potrącił. Przyznał, że postąpił źle i powiedział, że jest gotów zrobić wszystko, żeby naprawić swój błąd.

- Nazywał się Caffee? - zapytał Mason marszcząc brwi.

- Nie wiem, jak się nazywał.

- Chudy, o szczupłej twarzy, siwych włosach, po pięćdziesiątce, ubrany w dwurzędowy szary garnitur...

Tak, to ten - przytaknęła.

- Hm - chrząknął Mason. - Mam nadzieję, że nie próbował wpłynąć na Boba. Ostrzegałem go, żeby się nie dał... zresztą pójdę do niego.

Adwokat zapomniał o chodzeniu na palcach. W korytarzu rozlegał się wojowniczy stukot jego obcasów, kiedy szedł w kierunku pokoju 309. Otworzył drzwi i zobaczył Boba Finchleya leżącego płasko na łóżku wyposażonym w skomplikowany system wyciągów podtrzymujących nogę i biodro pacjenta w zalecanej pozycji. Bob spojrzął w kierunku drzwi i na widok Masona szeroki uśmiech wypłynął na jego twarz.

- Halo, mecenasie.
- Halo, Bob. Jak się czujesz?
- Dobrze, panie Mason. Czy pan wie, co się stało?

Uparaliśmy się ze wszystkimi trudnościami.

- Co takiego?
- Przyszedł ten człowiek, który spowodował wypadek. To naprawdę równy gość. Przeprowadził ze sobą agenta towarzystwa ubezpieczeniowego. Ten agent był mniej więcej w moim wieku. Młody, prawda? I też bardzo fajny.

- Powinieneś mnie wezwać - powiedział Mason.
- Próbowałem, panie Mason, ale pana biuro było zamknięte.

Mason zmarszczył brwi.

- Dobrze, Bob. No i co się stało?
- Ten pan powiedział, że nie ma potrzeby iść do sądu. Zapytał, ile wyniosą koszta leczenia, szpital, lekarze i wtedy ten agent ubezpieczeniowy zaczął mówić, że bardzo im leży na sercu moja sprawa i... wie pan, co zrobić?

Mason przysunął krzesło.

- Słuchaj, Bob. Podpisałeś coś?
- Tak, oczywiście. Musiałem podpisać, żeby dostać odszkodowanie.

Twarz Masona pociemniała.

- Czy to ma znaczyć, że mnie sprzedałeś, Bob? Załatwiłeś to beze mnie?

- Nie, nie, panie Mason. Tak to załatwiłem, że nie będzie pan pokrzywdzony. Oni naprawdę chcą płacić.

- Powiedz mi, jak to było?

- Agent ubezpieczeniowy zaproponował, że dadzą mi pięć tysięcy dolarów, zapłacą rachunki za szpital, lekarzy i że zgodzą się wypłacić panu rozsądną sumę jako honorarium adwokackie.

- Rozsądną sumę - powtórzył Mason.

- Tak uzgodnili.

- Oczywiście - powiedział Mason. - Ich i moje wyobrażenie o tym co jest rozsądną sumą, może być w tych okolicznościach zupełnie odmienne.

- Niezależnie od tego ile zapłaci towarzystwo ubezpieczeniowe, ten człowiek dał mi od siebie czek na ponad tysiąc dolarów.

- Czy on się nazywał Caffee? - spytał Mason.

Na twarzy Boba odmalowało się zdziwienie.

- Nie, nie Caffee... Stephen Argyle.

- Co? - wykrzyknął Mason.

- Tak się nazywał.

- Opowiedz mi wszystko od początku - poprosił Mason. - Wszystko. Mów szybko, Bob. Powiedz mi, czy dali ci kopię dokumentu, który podpisałeś?

- Tak, proszę pana.

- Pokaż mi ją.

Mason przeczytał dokument i na jego twarzy zagościł znowu uśmiech.

- Dobrze, Bob. Opowiedz mi teraz, jak to się stało.

- A więc przyszli tutaj półtorej godziny temu. Pan Argyle był czymś bardzo, bardzo zmartwiony. Powiedział, że nie może mówić o wypadku, bo towarzystwo ubezpieczeniowe mu na to nie pozwala, ale że jest mu naprawdę przykro. Był bardzo miły.

- Mów dalej - zachęcał go Mason.

- Pan Argyle chce to załatwić przyzwicie, panie Mason. Powiedział mi, że czekał na pana w biurze, bo chciał, żeby pan był przy naszej rozmowie, ale pana pokój był zamknięty, a pana sekretarka powiedziała, że pani jest pewne, czy pan jeszcze przyjdzie. Próbował również dozwonić się do pana ze szpitala, dwa albo trzy razy, ale nikt nie odpowiadał.

Mason zmarszczył czoło.

- Nie odpowiadamy na telefony po godzinach urzędowania. Numer telefonu w moim prywatnym biurze jest zastrzeżony. Nie miałem pojęcia, czego chce Argyle. Wyszedłem coś załatwić w związku z inną sprawą.

- Ojej, panie Mason, nie zrobiłem chyba nic złego.

Mason potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Przeciwnie, Bob. Dobrze zrobiłeś.

- To fajnie, cieszę się! Na początku tak się pan zachowywał... nie byłem pewien.

Mason włożył do kieszeni podpisaną kopię aktu darowizny i powiedział:

- Zwykle, kiedy zdarzy się coś takiego, radzimy naszym klientom nie podpisywać żadnych dokumentów i nie załatwiać niczego na własną rękę, ponieważ adwokat może uzyskać dużo wyższe odszkodowanie. Ale tym razem nie wiedzieliśmy, kto spowodował wypadek i nie mieliśmy wielkiej szansy, że go znajdziemy. Dlatego ci nic nie mówiłem. A jak twoja głowa? Bardzo boli?

- Nie, nic nie boli... Ojej, panie Mason, mam nadzieję, że nie... mam nadzieję, że nie...

- Ani trochę - uśmiechnął się Mason. - Dokument, który podpisałeś, zwalnia Stephena Argyle'a z obowiązku zadośćuczynienia twoim wszystkim pretensjom, jakie mógłbyś mieć do niego w związku z czynami jego i jego agentów do dnia dzisiejszego.

- Czy to nie jest w porządku?

- Nie, wszystko jest w porządku - odpowiedział Mason - ale teraz zapamiętaj sobie, Bob. Nie podpisuj niczego. Obojętnie kto do ciebie przyjdzie i co ci zaproponuje, nie podpisuj. Zrozumiałeś?

- Tak, proszę pana.

- A co z twoją matką?

- Mają zamiar się z nią spotkać. Kazali mi do niej zatelefonować. Pytali mnie, czy czek na tysiąc dolarów będzie zadowalającym zadośćuczynieniem za szok, którego doznała... Wiedziałem, że mama będzie w siódmym niebie, ale udawałem, że się namyślałem i wtedy pan Argyle powiedział: Dodam do tego czek od siebie na pięćset dolarów. Myślę więc, że poszli teraz do mamy.

- Wszystko w porządku, Bob - stwierdził Mason. - A teraz podpisz te чеки i oddaj je mnie. Dopilnuję jutro, żeby przelano pieniądze na twoje konto. Masz konto, prawda?

- Niewielkie. Mam parę dolarów, które zaoszczędziłem na opłacenie następnego roku w college'u w Narodowej Szkole Farmerów i Mechaników.

- Dobrze - powiedział Mason. - Napisz na odwrocie: „Przekazać jako depozyt na moje konto”, potem podpisz się i daj to mnie. Powiem mojej sekretarce, żeby załatwiła wszystko jutro z samego rana.

- Ojej, panie Mason, ale bomba! Niech mi pan uczciwie powie, czy źle zrobiłem podpisując ten dokument?

- W tych okolicznościach zrobiłeś dobrze - odpowiedział Mason - ale nie rób tego więcej. Jeśli ktokolwiek przyjdzie do ciebie i proponuje ci, żebyś coś podpisał, powiedz, że nie podpisujesz. Zrobisz tak?

- Tak, proszę pana. Mason wyjął wieczne pióro.

- No, to podrzyj teraz te чеки i uważaj! Napisz

„do depozytu”, wtedy nie będzie można zrobić nic poza przekazaniem ich na twoje konto.

- Panie Mason, a co będzie z pana honorarium? Czy oni...

- Możesz być zupełnie pewny, że zapłacą - odpowiedział Mason podając mu pióro. - Zdaje im się, że zrobili doskonały interes, kiedy mówią poszkodowanemu, że dadzą jego adwokatowi „rozsądne” honorarium. Potem płacą śmiesznie małą sumę i mówią, że będzie musiał wystąpić do sądu, żeby dostać większą. Do tego czasu robią, co mogą, żeby do tego nie dopuścić...

- Och, panie Mason - wykrzyknął Finchley z przerażeniem - nie zrobią chyba tak z panem?

- Nie - uśmiechnął się Mason. - Nie zrobią. Wiesz, Bob, to towarzystwo ubezpieczeniowe tak się boi, że odpowiedzialność ich klienta zostanie uznana za pewnik, że przygotowali dokument zaprzeczający, jakoby właściciel polisy był winnym spowodowania wypadku, ale mimo to dają odszkodowanie, aby uniknąć sprawy sądowej.

- Czy to niedobrze? - zapytał Finchley.

- Przeciwnie, dobrze - uśmiechnął się Mason. - Tym bardziej, że ich klient nie jest odpowiedzialny za ten wypadek. Jutro przyjdzie tutaj ten, kto naprawdę spowodował zderzenie i z nim załatwi się sprawę odszkodowania. Tymczasem złożę te czekie do depozytu. Towarzystwo ubezpieczeniowe będzie miało nauczkę, żeby nie załatwiać spraw za plecami adwokata. A teraz śpij, Bob.

I Mason cicho zamknął drzwi za sobą.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gwiżdżąc jakąś melodię, z kapeluszem zsuniętym bez troski na tył głowy, Mason otworzył drzwi swego biura i zobaczył Dellę piszącą na maszynie.

- Na miłość boską - wykrzyknął - dość się napracujesz w czasie godzin pracy. Kiedy cię zostawiam w biurze o tej porze po to, żebyś miała oko na różne sprawy, nie musisz rujnować sobie nerwów waleniem na tej maszynie.

- To było coś ważnego i...

- Twoje zdrowie też jest ważne - powiedział Mason.

- Ta praca jest dość denerwująca. Co się stało z policją, Della?

- Nie wiem. Nie pokazali się tutaj.

Mason zmarszczył brwi.

- Nic z tego nie rozumiem. Powinni już dawno tu być.

- Nic nie słyszałeś?

- Nie, byłem w szpitalu.

- Jak się ma Bob Finchley?

Mason z uśmiechem usadowił się na krawędzi biurka.

- Ta sprawa to najjaśniejszy punkt w całej mojej prawniczej karierze.

- Opowiedz mi o tym.

- Poważne towarzystwa ubezpieczeniowe zwykle chcą załatwić sprawę z adwokatem, ale są takie, które wolałyby podciąć mu gardło.

Della potakująco skinęła głową.

- Zdaje im się - ciągnął Mason - że rozmawiając bezpośrednio z klientem załatwią to taniej, niż gdyby skontaktowali się z prawnikiem, a jeśli uda im się sfinalizować sprawę, zapewniają klienta, że zapłacą jego adwokatowi „rozsądne” honorarium. Klient myśli, że wszystko

będzie jak najlepiej. Nie zdaje sobie sprawy, że towarzystwo ubezpieczeniowe zaproponuje potem prawnikowi symboliczną zapłatę i poradzi mu wystąpić na drogę sądową, jeśli zechce dostać więcej. Stawia to adwokata w sytuacji, w której musi albo się procesować, co nie znajduje uznania w oczach sądu, albo zgrzytając zębami wziąć tyle, ile mu dają. A przecież każdy adwokat ma olbrzymie wydatki, musi utrzymywać biuro i dlatego za prowadzenie sprawy o uszkodzenie ciała powinien dostać wysokie honorarium od winnych jako kompensatę za czas, energię i pieniądze stracone w czasie dochodzeń.

- Mnie będziesz opowiadał o finansowych problemach związanych z prowadzeniem prawniczego biura? - spytała Della z pretensją. - A może byś pomyślał o bólu, głowy, o który przyprawiła mnie lista płac...

- Och, nie, Della - uśmiechnął się Mason. - Ale taki jestem zadowolony, że muszę zacząć od początku.

- No, jak tak - powiedziała Della ze śmiechem - to zaczynaj od początku.

Odsunęła włosy z czoła i usiadła na biurku naprzeciw Masona.

- No dobra, co się stało?

- Przypadek przyszedł nam z pomocą.

- W jaki sposób?

- Najprawdopodobniej szofer Argyle'a wziął samochód trzeciego tego miesiąca i zderzył się z kimś. Wrócił do domu i nie wdając się w szczegóły powiedział Argyle'owi, że ma kłopoty. Argyle postanowił być elegancki. Wziął samochód i zaparkował go koło hydrantu. Potem poszedł do klubu i zawiadomił policję o rzekomej kradzieży. Żeby cała historyjka była wiarygodna, przekupił portiera, który miał potwierdzić jego obecność w klubie po południu.

Della odezwała się.

- Czyli to szofer Argyle'a jest odpowiedzialny za wypadek...

Mason uśmiechnął się.

- Nie bądź naiwna, Della. To Daniel Caffee zderzył się z Finchleyami. Ale Argyle myślał, że jego szofer zawinił.

- No, to co się właściwie stało?

Mason powiedział wesoło:

- Po błysku w twoim oku widzę, że już się domyśliłaś, co się stało, Della, ale nie odbieraj mi przyjemności opowiedzenia ci wszystkiego po kolei. Wierz mi, to jest naprawdę wielką przyjemnością.

- Proszę bardzo - powiedziała uśmiechając się. - Opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

- No więc tak. Argyle widocznie skontaktował się ze swoim towarzystwem ubezpieczeniowym, a ono wysłało młodego agenta, rzeźkiego, pełnego wigoru i żywotności, który chciał się czymś wykazać przed kierownictwem. Poddał on Argyle'owi pewną myśl. Sprawdzili raporty o wypadkach drogowych i w ten sposób dowiedzieli się, jakie jest nazwisko poszkodowanego i w jakim szpitalu przebywa, no i poszli tam.

- Kiedy to było?

- Można się tego domyślać - powiedział Mason. - Prawie natychmiast po rozmowie ze mną Argyle wskoczył do samochodu i przyjechał tutaj. Czekał na mnie, kiedy się zjawiłam. Zszedł wtedy na dół, odprawił szofera, który odjechał i został zamordowany i...

- No i co dalej - spytała niecierpliwie Della, kiedy Mason zamyślił się na chwilę.

- Do licha - powiedział Mason - ta historia z ubezpieczeniem tak mnie zajęła, że zapomniałem o morderstwie.

Położyła rękę na jego dłoni i przycisnęła ją.

- Mów dalej, szefie. To morderstwo nie obchodzi nas, tylko tych od ubezpieczeń.

Mason odsunął krzesło.

- To mnie zaczyna niepokoić. Jak ci się wydaje, dlaczego policja nie przysłała do mnie?

- Nie wiem.

- W takim razie - stwierdził Mason wstając - dowiemy się tego. Pojedziemy, niby przypadkiem, na South Gondola Avenue i zobaczymy, co tam się dzieje i ile samochodów policyjnych parkuje w okolicy. Jeżeli jeszcze tam są, to znaczy, że mężką Lucille Barton w jej mieszkaniu. Jeżeli ich już nie ma, to i tak będzie tam tłum gapiów i tak czy owak dowiemy się czegoś z ich rozmów...

- No, to chodźmy - powiedziała Della.

Mason podał jej płaszcz. Kiedy wkładała kapelusz przed lustrem, Mason również założył płaszcz i kapelusz, potem zgasił światło.

Po drodze wstąpili na chwilę do biura Drake'a.

- Wychodzimy teraz, Paul. Dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Tak, Perry.

- Czego?

- Zdaje się, że twój przyjaciel, szofer Hartwell L. Pitkin, jest szantażystą.

- Do diabła!

- Nie jestem tego pewien w stu procentach - ciągnął Drake - ale jeden z moich ludzi odnalazł wspólnika i przyjaciela Pitkina, przyjaciela, który jest zresztą czymś więcej niż tylko przyjacielem i właśnie ten gość dał do zrozumienia, że Pitkin skądś dostaje pieniądze. Nie są to czeki, ale gotówka i to w dużych ilościach. Pitkin oczywiście nie musi pracować jako szofer, a robi to tylko po to, aby odwrócić od siebie podejrzenia.

Mason zagwizdał przeciągle.

- Mój człowiek naprawdę przycisnął tego jegomościa i facet powiedział mu to, co wiedział. Niedużo, ale i

tak wynika z tego, że Pitkin kogoś szantażował.

Mason i Della wymienili spojrzenia.

- Czy to była kobieta? - spytał adwokat.

- Nie wiem - odparł Drake. - Jeżeli to kobieta, to musi mieć dużo forsy, bo Pitkinowi nigdy nie brakowało gotówki. Niby nie było tego dużo, ale zawsze miał przy sobie dwieście lub trzysta dolarów.

- No, to pracuj dalej, Paul - powiedział Mason - ale niech ci to jednak nie spędza snu z powiek. Pogoń raczej swoich ludzi.

- Ja już prawie skończyłem. Wysłanie grupy ludzi, żeby się czegoś dowiedzieli, to też niezła robota. A co z Argyle'em? Mają go mieć dalej na oku?

- Nie - odparł Mason. - Zmieniłem zdanie co do niego. Ściągnij swoich ludzi i niech facet robi, co chce. Wpadnę do niego za dwa, trzy dni i nieprędko przyjdzie do siebie po mojej wizycie.

- Bujasz w obłokach - powiedział Drake.

- Może i bujam, ale obłoki unoszą się nad ziemią - uśmiechnął się Mason. - Może ci się uda wygrzebać jakąś wiadomość o Pitkinie, co tylko będziesz mógł... Do diabła, Paul, w tym coś musi być... ach, mniejsza o to. Powiedzieć ci, co się stało?

Drake powiedział pospiesznie:

- Nie, nie mów. Nie chcę nic wiedzieć.

- Odwołaj ludzi rozpracowujących Argyle'a - polecił Mason. - To nie jest już takie ważne. Chciałbym tylko dowiedzieć się czegoś więcej o Pitkinie. Popytaj się też o ten rewolwer. Szkoda, że nie zdobyłeś jakiejś wiadomości już dzisiaj.

- Myślę, że uda mi się czegoś dowiedzieć - zapewniał Drake. - Mam kogoś, kto mieszka w Santa del Barra i pracuje dla mnie. Rushing Creek jest położone osiemdziesiąt mil od Santa del Barra. Zadzwoń do tego człowieka

i powiedziałem mu, żeby tam pojechał i postarał się spotkać z właścicielem The Rushing Creek Mercantile Company. To jest prawdopodobnie jednoosobowy koncern.

- Dobrze - powiedział Mason - daj mi znać, jeśli coś usłyszysz. Chodź, Della. Zawiozę cię do domu. A ty, Paul, też idź spać. To nie jest takie ważne.

- Fajnie. Zadzwońię do ciebie do biura, gdybym miał coś nowego.

- Za godzinę będziesz mógł mnie jeszcze złapać. Potem idę spać. Dobranoc, Paul.

- Dobranoc.

Mason i Della wyszli z biura i wsiedli do samochodu.

- Pojedźmy i zobaczymy, co tam się dzieje - powiedział Mason.

- Chcesz, żebym prowadziła?

- Nie, ja to zrobię.

Mason usiadł za kierownicą, skinął głową dozorczy parkingu, zapuścił silnik i wyjechał na ulicę. Prowadził samochód z wprawą, zręcznie lawirując w ulicznym ruchu. W końcu skręcił w South Gondola Avenue.

- Rozglądaj się teraz, Della - poprosił. - Będę jechał powoli. Zobacz, ile jest samochodów policyjnych.

- Który to jest dom?

- Ten z numerem 719. Mniej więcej pośrodku, między tymi dwoma przecznicami po lewej stronie i...

- Aha, już wiem.

- Stoi tam kilka samochodów - powiedział Mason.

Pojechał wolno w kierunku skrzyżowania.

- To są prywatne samochody. Nie widzę żadnych wozów policyjnych. Policyjne mają czerwone światła na dachu, nie?

- Owszem. I długie anteny radiowe. Do licha, Della. Nie ma ani jednego.

- Zabrali pewnie Lucille do komendy na przesłuchanie i...

- Ale w sąsiedztwie panowałyby jeszcze poruszenie - zauważył Mason. - Będę jechał bardzo wolno. Kiedy minimy alejkę, zobaczymy, czy nie ma ruchu koło garaży.

Jechali bardzo wolno. Patrzyli w kierunku alejki. Koło garaży było ciemno i cicho, oświetlał je tylko słaby odblask latami ulicznych.

- Poczekaj - powiedział Mason. - Coś mi się tu nie podoba.

- Co? - spytała Della Street.

Mason zahamował gwałtownie.

- Usiądź za kierownicą, Della i podaj mi latarkę z przegródki. Nie, zaczekaj. Wjedziemy tam, rozejrzemy się i potem zawrócimy.

- Szeffie, co o tym myślisz? Coś jest nie w porządku?

- Nie wiem - odpowiedział Mason. - Jest coś podejrzanego w tej sprawie.

- Jeżeli tak uważasz, trzymaj się lepiej z daleka i...

- Muszę się dowiedzieć, co to jest - powiedział Mason.

Odwrócił się i sprawdził, czy nikt nie jedzie. Cofnął się trochę, skręcił w alejkę i jechał powoli w kierunku garaży.

Kiedy podjechali do garażu oznaczonego numerem 208 Mason powiedział do Delli:

- Zostań tu i daj mi latarkę.

Wyskoczył z samochodu i podszedł z latarką w rękę do garażu. Zobaczył, że drzwi były zamknięte tylko na klamkę, uchylił prawe skrzydło parę centymetrów i oświetlił wewnątrz.

Wrócił biegiem do samochodu, wskoczył do środka, rzucił latarkę na tylne siedzenie, szybko wyjechał z alejki i zawrócił.

- Co się stało? - spytała Della.
- Wszystko - odpowiedział Mason ponuro. - Wpadliśmy w pułapkę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Della Street nie powiedziała ani słowa, dopóki Mason nie wyjechał na ulicę skręciwszy ostro w prawo i nie dodał gazu.

- Co się stało? - zapytała, kiedy już oddalili się od garaży.

- Ta diablica - mówił Mason. - Ta dwulicowa mała diablica.

- Więc nie zawiadomiła policji?

- Nie, nie zawiadomiła policji - potwierdził Mason.

- Ciało leży tam tak jak leżało, tylko teraz koło prawej dłoni widać mały błyszczący rewolwer.

- A zatem będzie to wyglądało na samobójstwo?

- A zatem będzie to wyglądało na samobójstwo.

- No i co teraz? - spytała Della.

- Muszę znaleźć jakieś miejsce, w którym moglibyśmy zaparkować wóz i spokojnie pomyśleć.

- Nie możemy po prostu zapomnieć o tej sprawie?

- Właśnie chcę się nad tym zastanowić. Tu jest parking. Zatrzymajmy się na chwilę.

Mason zwolnił, wjechał na parking, wyłączył silnik i światło.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Po dwóch lub trzech minutach Della odezwała się pierwsza.

- W końcu nikt oprócz Lucille Barton nie wie, że

tam byłś, a ona na pewno nie będzie o tym mówić.

- Ktoś nią kieruje i ktoś ją namówił, żeby była cwa-
na - powiedział Mason w zamyśleniu.

- Ty też jej mówiłeś, co ma zrobić!

- To prawda, ale pamiętaj, że i ja powinienem za-
wiadomić policję. Ja również widziałem ciało. Tylko że
wtedy nie było przy nim rewolweru.

Umilkli znowu. Po paru minutach Mason zażądał na-
gle:

- Zadawaj mi pytania, Della.

- O co mam pytać?

- O tę cholerną sprawę. Spróbujmy to wyjaśnić.

- A gdybyś nic nie powiedział policji? Co by się sta-
ło?

- Wtedy policja znajdzie ciało... to znaczy... ktoś
znajdzie ciało i doniesie o tym policji.

- Kto?

- Prawdopodobnie Lucille Barton.

- Nie rozumiem.

- Przyjedzie do domu z jakimś świadkiem. Może to
być jej przyjaciółka, Anita Jordan.

- A dlaczego nie przyjaciel?

- Bo jest zaręczona i jeżeli jej nazwisko dostanie się
do gazet, będzie lepiej, jeśli napiszą, że spędziła wieczór z
przyjaciółką.

- Rozumiem. I co dalej?

- Potem - mówił Mason - Lucille Barton poprosi
Anitę, żeby otworzyła garaż, reflektory samochodu oświe-
tła wnętrze, Anita zacznie krzyczeć, Lucille też zacznie
krzyczeć, dostaną razem ataku hysterii, wezwą policję... i
wizdowie, i policja będą mieli na co popatrzeć.

- Czy to się im uda?

- Nie wiem - odpowiedział Mason. - Wszystko za-
leży od tego, jak dobrze odegrają swoje role.

- Anita i Lucille?

- Nie, Lucille i ten, kto tym kieruje. Prawdopodobnie Artur Colson.

- Chcesz, żebym się o niego pytała?

- Pytaj, o co chcesz. Co ci tylko przyjdzie do głowy.

- Czy policja nie zapyta jej o tego mężczyznę? Na przykład, czy go znała?

Mason pomyślał chwilę i powiedział.

- Tak. I będzie musiała powiedzieć, że go znała i że był jej pierwszym mężem. Wtedy policja zapyta, dlaczego wybrał właśnie jej garaż, a nie jakieś inne miejsce do popełnienia samobójstwa. Nabiorą podejrzeń i będą chcieli zbadać, czy to rzeczywiście samobójstwo i... Potem oczywiście zbadają broń i kulę, która spowodowała śmierć, jeżeli oczywiście w ogóle znajdą tę kulę, no i okaże się, że rewolwer w garażu został podrzucony. Będzie to wyglądało bardzo podejrzanie.

- No, dobrze - kontynuowała Della - a teraz zadam ci inne pytanie. Przypuśćmy, że zawiadomisz o tym policję.

- Wtedy dopiero wpadnę.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie dopilnowałem, żeby Lucille zadzwoniła na policję. Mogłem przecież dłużej zostać i upewnić się, czy robi to, co jej kazałem.

- A co? Jesteś odpowiedzialny za nią i za to, co robi?

- Nie, ale jestem adwokatem i urzędnikiem sądowym. Zawiadomienie policji o znalezieniu ciała było moim obowiązkiem. Zamiast to zrobić, poleciłem Lucille zatelefonować.

- A co powie Lucille?

- To jest właśnie problem - powiedział Mason. - Będzie musiała się upierać przy tym, że nie znaleźliśmy żadnego ciała i że robię z niej kozła ofiarnego, próbując osłonić jakiegoś swojego klienta.

- Czy policja jej uwierzy?

- Jeśli tak - jestem załatwiony; jeśli nie - podniosą krzyk, że nie dopilnowałem zawiadomienia policji o tym, co się stało i że sam się nie zgłosiłem po tym, jak się ze mną nie skontaktowali.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Ponieważ byłem zajęty sprawą ubezpieczenia Finchleya. Tak się ubawiłem wpadką Argyle'a, że nie zwróciłem uwagi na milczenie policji: Do diaska, Della. Gdybym zastanowił się nad tym, domyśliłbym się, co się stało. Logicznie myśląc, jako prawomyślny obywatel i urzędnik sądu, mam tylko jedno wyjście: donieść o wszystkim policji.

- No, to dlaczego tego nie robisz?

- Bo policja tylko czeka na moje spotkanie. Nic ich tak nie ucieszy, jak okazja do podstawienia mi nogi, a czuję, że mam przeciwko sobie kogoś, kto może to zrobić, jeżeli zgłoszę się do policji.

- Zaczyna mi brakować pytań, szefie - powiedziała Della Street.

- A mnie odpowiedzi.

Siedzieli milcząc, potem Mason włączył silnik.

- No i cóż? - spytała Della.

- Wpadłem w pułapkę - powiedział Mason. - To jest chyba właściwa odpowiedź.

- Tak?

- Ten, kto tym wszystkim kieruje, jest bardzo sprytny. Tylko jedna rzecz może mnie uratować.

- A mianowicie?

- Mam klienta.

- Kto nim jest?

- Lucille Barton.

- Nie rozumiem.

- Jako jej adwokat nie muszę niczego mówić policji. Nie mają prawa pytać ani jej, ani mnie - wyjaśnił Mason.

- A to ciało, które widziałeś?
- Jeżeli powie o tym policji, to z powodu mojej rady. Jeżeli nie powie, nie mogą mi udowodnić, że tam byłem.
- Nie podoba mi się to - powiedziała Della.
- Podoba się! - wykrzyknął Mason. - To jest obrzydliwe, ale połknąłem haczyk i mam teraz klienta. Wpisz do księgi spraw, że występuję w sprawie alimentów od jej byłego męża, niejakiego Willarda Bartona... Tak. A teraz odwiozę cię do domu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy Mason przyszedł do biura na drugi dzień rano, Paul Drake już czekał na niego.

Della Street wzięła od adwokata płaszcz i kapelusz rzucając mu przy tym ostrzegawcze spojrzenie..

Paul Drake starał się nie patrzeć Masonowi w oczy.

- Próbowałem się dodzwonić do ciebie, Perry, ale Della mówiła, że przyjdiesz wcześniej rano, więc postanowiłem poczekać - powiedział Drake. - Mam coś o Hartwellu L. Pitkinie.

- Ach, tak - odpowiedział Mason - widziałem dzisiejsze gazety. Wygląda na to, że popełnił samobójstwo w garażu Lucille Barton.

- Tak piszą w gazetach, Perry.

- Dziwny zbieg okoliczności, prawda, Paul?

- Na pewno. Była kiedyś jego żoną.

- Żoną szofera Argyle'a, Paul? Wielkie nieba, myślisz, że...

- Właśnie - przerwał Drake, ciągle unikając wzroku Masona.

- Czy znasz jeszcze jakieś szczegóły, Paul?
- Czasem jesteś tak diabelnie sprytny, Perry, że każesz nam się uganiać w kółko, aż wrócimy do punktu wyjścia.
- Nie rozumiem - powiedział Mason.
- Cała ta sprawa jest głupia. Lucille Barton zawiadomiła policję. Dostała ataku hysterii. Otworzyła garaż, żeby wstawić tam na noc samochód i znalazła ciało. Była z nią przyjaciółka, która miała u niej zostać na noc. Niczego nie ruszały, tylko zostawiły wóz z pracującym silnikiem i pobięły do domu zatelefonować na policję.
- Rozumiem - powiedział Mason.
- Hartwell L. Pitkin został zastrzelony z rewolweru Smith i Wesson 38 - Drake wymawiał słowa z przesadną dokładnością. - Rewolwer znaleziono obok niego. Akurat koło prawej dłoni.
- Czytałem o tym w gazetach, Paul. Niewątpliwie jest to samobójstwo, prawda?
- Policja prowadzi śledztwo.
- Co o tym myślą?
- Nie zwierzają mi się ze swoich myśli.
- No, nie... Sądzę, że nie.
- Mam jeszcze - mówił dalej Drake - inne informacje dla ciebie.
- Jakie?
- O tej broni, o której chciałeś się czegoś dowiedzieć, Smith i Wesson 38 S65088.
- Ach tak. Czego się dowiedziałeś, Paul?
- Jak ci już mówiłem, sprzedano ją komuś, kto odsprzedał ją z kolei The Rushing Creek Mercantile Company. Jej właścicielem jest facet o nazwisku Roscoe R. Hansom. Mniej więcej miesiąc temu sprzedał rewolwer jakiemuś mężczyźnie, który podpisał się w rejestrze broni Ross P. Hollister.
- To ciekawe - wtrącił Mason.

- Nie znasz nawet połowy - kontynuował Drake.
- Nie? - zapytał Mason, sadowiac się wygodnie w fotelu obrotowym. - A jaka jest ta druga połowa, Paul?
- Dostałem w nocy informację - powiedział Drake. - Pamiętasz, spieszyło ci się, więc wysłałem swojego człowieka z Santa del Barra do Rushing Creek. Wyciągnął Hansoma z łóżka i namówił go, żeby zszedł na dół do sklepu i zajrzał do ksiąg. Jak zwykle chciałeś mieć informację jak najszybciej i tak już jest, że kiedy zależy ci na pośpiechu, to robisz ruch.
- Masz rację - uśmiechnął się Mason. - Uważam, że nie ma po co się bawić. No więc dostałeś tę informację. Dziękuję, Paul. Dobra robota.
- Ale pośpiech, z jakim zabraliśmy się do jej zdobycia, zrobił na panu Hansomie niemałe wrażenie.
- Oczywiście - potwierdził Mason. - Nie widzę jednak związku między jego zdziwieniem a sprawą. Jeżeli on życzy sobie mieszkać na wsi i chodzić spać z kurami, powinien zrozumieć, że my nie możemy się dostosować do tego programu.
- No jasne, jasne - potaknął Drake. - Pomyślałem sobie tylko, że powinieneś o tym wiedzieć.
- Dlaczego, Paul?
- Dlatego, że rewolwer znaleziony przy ciele Hartwella L. Pitkina, z którego albo sam się zastrzelił, albo został zastrzelony, miał niezdarnie usunięty numer. Ktoś starł szmerglem wszystkie cyfry numeru na uchwycie i numeru wewnątrz mechanizmu, no i w ogóle wszelkie liczby z różnych ukrytych miejsc.
- No, no - powiedział Mason z ulgą w głosie. - To znaczy, że nie będą mogli sprawdzić, co to za rewolwer?
- Ale typ, który to zrobił, nie wiedział dużo o broni. Ten model Smith i Wessona ma również numer wybity wewnątrz kolby. Wystarczy wziąć śrubokręt, rozkręcić ją

i już można go zobaczyć - mówił Drake, patrząc gdzieś w bok poza Masonem.

- Mów dalej - poprosił Mason.

- Policja właśnie to zrobiła i znalazła numer S65088. Jak już to wiedzieli, zaczęli dowiadywać się, do kogo należał rewolwer. A kiedy wyciągnęli Roscoe Hansoma z łóżka po raz drugi i zaczęli go wypytywać, kto kupił tę pukawkę, zapytał, czy to już weszło w zwyczaj i...

- Do diabła! - zaklął Mason nachylając się do przodu i marszcząc brwi.

- Właśnie - zgodził się Drake. - Ma się rozumieć, Hansom nie znał nazwiska mego człowieka z Santa del Barra, ale potrafił go tak ładnie opisać, że dodając dwa i dwa policja z łatwością otrzyma cztery, a wtedy będziesz się tłumaczył.

- Są jeszcze inne rzeczy, o których powinieśś wiedzieć - mówił Paul, unikając wzroku Masona.

- Dobrze, Paul - powiedział Mason głosem pełnym niepokoju. - Co to za rzeczy? Wal od razu. Może będę musiał zacząć działać.

- Oczywiście policja była zdumiona, że nikt nie słyszał strzału. Wylew krwi wskazuje na to, że Pitkin został zastrzelony w garażu i upadł tam, gdzie go znaleziono.

- Mów dalej, Paul.

- Zaczęli więc pytać w sąsiedztwie i dowiedzieli się, że jakiś samochód robił dużo hałasu podczas manewrowania na ulicy. Silnik zapalał i gasł, gaźnik strzelał. Zirytowało to mieszkańca jednego z domów po drugiej stronie alejki i wyrzwał przez okno. Zaczynało się już ściemniać, ale zobaczył jakiegoś mężczyznę i kobietę stojących przed garażem 208. Mężczyzna był wysoki, wyglądał dystyngowanie. Miał na sobie jasny płaszcz. Kobieta była ubrana w kraciasty płaszcz i ciemny kapelusz. Otwierali drzwi

garażu. Rozmawiali o czymś, potem wyłączyli silnik i odeszli, zostawiając samochód. Policja uważa, że strzał padł wtedy, kiedy samochód hałasował i raz po raz strzelał gaźnik. Jeśli tak - jest oczywiste, że to było morderstwo. Ten człowiek nie mógł popełnić samobójstwa w obecności dwóch świadków; a jeżeli nawet uczynił to i świadkowie nie wezwali policji... możesz się domyślić, jak rozumuje policja.

- Mów dalej - potworzył Mason.

- Kiedy policjanci przyjechali po telefonie Lucille Barton, ta miała płaszcz w kratę i czarny kapelusz. Świadek, który zauważył parę stojącą przed garażem 208, rozpoznał na podstawie ubrania Lucille Barton jako tę kobietę, którą widział. Lucille twierdzi, że nie była w pobliżu garażu o tej porze.

- O jakiej porze?

- Koło szóstej. Świadek jest pewien, że to była ta godzina.

- A co z tym mężczyzną? - zapytał Mason.

- W tej chwili mają tylko ogólny opis jego wyglądu - powiedział Drake - ale kiedy zbadali odciski palców na rewolwerze, znaleźli jeden po wewnętrznej stronie. Prawdopodobnie zostawił go ktoś, kto usuwał numery, albo mogło to się stać przy wrzucaniu naboju. Oni twierdzą, że jest to odcisk prawego wskazującego palca mężczyzny. Bardzo wyraźny.

- Rozumiem - powiedział Mason.

- Dzięki moim powiązaniom z dziennikarzami zdobyłem fotografię tego odcisku.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel, wyjął z niego małą fotografię i podał ją Masonowi mówiąc:

- Trzy razy powiększony, Perry.

- Czy znaleźli jakieś inne odciski?

- Nie, cały rewolwer był starannie wytarty. Prawdopodobnie ten, kto go trzymał, zapomniał wytrzeć po wewnętrznej stronie.

- Rozumiem. Co masz jeszcze?

- Jest jeszcze coś - powiedział Drake. - Ale nie wiem, co to jest. Policji nie podoba się ta cała sprawa. Dla nich Lucille Barton jest osobą bardzo podejrzaną. Wysłała razem z przyjaciółką, która nazywa się Anita Jordan. Anita zna Lucille i znała Hartwella Pitkina. Daje Lucille alibi, ale widać, że nie jest zadowolona z tego powodu. W policji uważają, że ona zmięknie i powie, jak było z tym alibi, i to dość prędko.

- Tyle zamieszania z powodu znalezienia ciała w okolicznościach wskazujących na samobójstwo - powiedział Mason.

- Sęk w tym, że znaleźli w kieszeni tego mężczyzny około pięciu tysięcy dolarów w nowiutkich banknotach. Cała suma była w studolarowych paczkach, które miały jeszcze opaski z banku z inicjałami kasjera. Policjanci poszli tym śladem i dowiedzieli się, że parę dni temu te pieniądze podjął niejaki pan Dudley Gates. Pan Dudley Gates jest współnikiem Stephena Argyle'a, u którego Hartwell Pitkin pracował jako szofer. Jest on również przyjacielem owego Rossa Hollistera, który kupił rewolwer, a potem wyjechał w interesach, nie uważając za stosowne poinformować swoich przyjaciół, gdzie będzie. Prawdopodobnie towarzyszy mu Dudley Gates.

Mason wziął papierosa, zastukał nerwowo o krawędź biurka.

- Nie sądzę, żeby coś się za tym kryło, Paul. Wiem co nieco o Rossie Hollisterze. Jest to wielki cwaniak zajmujący się dzierżawą pól naftowych i inwestycjami tego typu. Wyjechał w interesach i skomunikuje się listownie z przyjaciółmi. Jego narzeczona nie ma telefonu, więc

zwykle pisze do niej, kiedy gdzieś jedzie, albo wysyła telegram, żeby dać znać, gdzie jest.

- Ja też zebrałem trochę informacji o nim - powiedział Drake. - Mieszka w Santa del Barra, rozwiedziony, wyrok uprawomocni się dopiero za parę miesięcy. Ma tam ładny dom i gosposię, która przychodzi codziennie rano i przygotowuje mu śniadanie, a kończy pracę o wpół do piątej. Hollister był w domu w poniedziałek, kiedy wychodziła, i miał gdzieś iść o szóstej. Od tego czasu nie widziała go. Zwykle wyjeżdża na dziesięć dni. Kiedy wyjeżdża, nigdy do niej nie pisze. Dzierżawa pól naftowych to na ogół sprawy poufne.

- I Dudley Gates jest z Hollisterem?

- Tak. Argyle, Gates i Hollister są partnerami. Hollister jest szefem, ci dwaj nie mają wiele do powiedzenia.

- Wszystko się wiąże z tym cholernym mieszkaniem Lucille Barton - powiedział Mason.

- Tak z grubsza wygląda sytuacja - stwierdził Drake. - Ma się rozumieć, znalezienie pieniędzy w kieszeni zabitego musiało zwrócić uwagę i jest zupełnie normalne, że policja interesuje się transakcjami pieniężnymi między Dudleyem Gatesem a Hartwellem Pitkinem.

- Czy policja była u Stephena Argyle'a?

- Tak. Wyciągnęli go z łóżka wcześniej rano i rozmawiali z nim. Argyle mówił, że widział swego szofera po raz ostatni przed twoim biurem. Powiedział im, że pojechał do ciebie do biura i zostawił samochód na dole. Nie zastał cię, a poza tym poinformowano go, że nieprędko wrócisz, więc zszedł na dół i kazał szoferowi wrócić do domu i wstawić wóz do garażu. Potem Pitkin miał wolny wieczór.

- No i co? - zapytał Mason.

- Wydaje się, że Pitkin tak zrobił. Musiał odprowadzić wóz do domu i zostawić go w garażu, bo stał tam,

kiedy policja przyszła do Argyle'a. W policji obliczono, że mógł się znaleźć w garażu Lucille właśnie w tym czasie, kiedy świadek zwrócił uwagę na hałas robiony przez jej samochód. Musiano go zwabić do środka i zabić natychmiast, jak tam wszedł.

Drake podniósł się z krzesła.

- Jak chcesz, zatrzymaj tę fotografię, Perry. Dam ci znać, jeśli się dowiem czegoś nowego.

- Dziękuję, Paul.

- Do widzenia, Della - powiedział Drake.

- Do widzenia, Paul.

Po wyjściu detektywa Mason spojrzał na Dellę i odezwał się:

- Podaj mi poduszeczkę z tuszem, dobrze?

Bez słowa położyła ją przed nim na biurku. Mason przycisnął wskazujący palec prawej ręki do podusieczki, a potem zrobił odcisk na czystej kartce papieru.

Della podeszła do niego i patrzyła mu przez ramię porównując odcisk jego palca z fotografią odcisku znalezionej przez policję na rewolwerze, z którego zastrzelono Hartwella Pitkina.

- O mój Boże, szefie - powiedziała zduszonym głosem, wpijając się palcami w jego ramię.

- Nie przejmuj się, Della - rzekł Mason. Odsunął krzesło, podszedł do umywalki, starannie namydlił ręce i zmył ślady tuszu.

- A ja myślałem, że facet, który tym kieruje, jest prymitywny!

Della Street wzięła kartkę z odciskiem palca Masona, zapaliła zapałkę, spaliła papier i roztarła popiół w popielnicze.

- Dokąd cię to może zaprowadzić, szefie? - zapytała.

- Prosto za kratki - odpowiedział zamyślony. - Ale nie oznacza to, żebym się nie mógł wywinąć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mason skończył właśnie wycierać ręce, kiedy Gertie, recepcjonistka, zaanonsowała Daniela Caffee i Franka P. Ingle'a, przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego. Mason zawahał się, potem powiedział do Delli Street:

- Niech Gertie ich wprowadzi, Della.

Frank P. Ingle, szpakowaty, szarooki, przebiegły mężczyzna, przywitał się z Masonem, po czym zwrócił się do Daniela Caffee ze słowami:

- Pozwoli pan, panie Caffee, że ja będę mówił.

- Proszę bardzo - powiedział Caffee.

- Sądzę, że pan życzy sobie omówić tę sprawę, panie Mason - stwierdził agent siadając i uśmiechając się przyjaźnie.

- Rzeczywiście. Proszę, niech pan mówi.

- Może lepiej będzie, jeśli pan zacznie, panie Mason.

- Największą wymowę mają pieniądze, panowie.

- Wiem, wiem - powiedział Ingle szybko - ale zachodzi pytanie, jak mamy określić, ile...

Mason przerwał mu:

- Chłopak został poważnie zraniony. Domagam się trzech tysięcy dolarów na lekarzy i wydatki związane z leczeniem, pięciu tysięcy odszkodowania, dwóch tysięcy honorarium dla mnie, czyli w sumie dziesięciu tysięcy w sprawie chłopca. Ponadto domagam się dwóch tysięcy dolarów dla matki, tysiąca pięciuset na nowy samochód, tysiąca dolarów honorarium dla mnie. Po dodaniu obu sum wyniesie to czternaście tysięcy pięćset dolarów. Mam czek pana Caffee na dziesięć tysięcy dolarów. Może mi pan dać w imieniu towarzystwa ubezpieczeniowego czek wyrównujący różnicę.

Ingle uśmiechnął się.

- Można zrozumieć, że pan się domaga takiej sumy, ale my mamy obowiązki wobec akcjonariuszy. To przykre, że się zdarzył ten wypadek, ale musimy spojrzeć na to praktycznie, jak ludzie interesu. Jakie są możliwości zarobkowe tego chłopca? Gdyby to pan padł ofiarą wypadku, a pańskie obrażenia nie byłyby poważniejsze od ran odniesionych przez tego chłopca, to nasze zobowiązania byłyby większe, ponieważ pan może zarobić dużo więcej. Jako człowiek praktyczny i adwokat, rozumie pan, panie Mason, że nasza odpowiedzialność finansowa dotyczy pokrycia utraty zarobków w okresie niezdolności do pracy i dodatkowo możemy dać, jako rekompensatę za ból i cierpienia, pewną rozsądną sumę. Uważam, że tysiąc pięćset dolarów będzie odpowiednią sumą dla takiego młodego i pełnego wigoru chłopca za to, co przecierpiał. Statystyki wykazują, że po najwyżej dziewięćdziesięciu dniach wróci on do pracy z nie zmniejszonymi możliwościami zarobkowymi. Jeżeli nawet przyjmiemy, że zarabia trzysta dolarów miesięcznie, a powiedzmy sobie, że z tej sumy musiałby zapłacić za mieszkanie i utrzymanie, czego nie musi robić mając to wszystko w szpitalu, i...

Mason przerwał.

- Już coś takiego przedtem słyszałem.
- Niewątpliwie tak.
- I nie zamierzam słuchać jeszcze raz.
- Nie ma pan chyba zamiaru, panie Mason, być arbitralny.
- Mam zamiar być arbitralny - odpowiedział Mason patrząc w oczy Daniela Caffee.

Caffee odkaslnął i powiedział:

- Panie Ingle, istnieją pewne okoliczności w tej sprawie, które...
- Musimy się dobrze zrozumieć - wtrącił Ingle szybko. - W tej chwili omawiamy sprawę odszkodowania

za uszkodzenie własności. Odpowiedzialność za niezatrzymanie się i nieudzielenie pomocy to inna sprawa.

- Racja - powiedział Mason. - Nie pomagamy w dokonaniu przestępstwa ani nie spiskujemy, aby ukryć zbrodnię.

Przez chwilę panowało pełne skrępowania milczenie.

- W przypadku podjęcia kroków przeciwko panu Caffee zechce on z pewnością prosić sąd o zawieszenie kary, a na decyzję sądu wpłynie niewątpliwie wysokość odszkodowania.

- Tak, oczywiście - zaczął Ingle.

Caffee zapytał żywo:

- Dlaczego mówi pan „w przypadku” podjęcia kroków sądowych?

Mason przeciągnął się i ziewnął.

- Ktoś oczywiście będzie musiał podpisać skargę, żeby wszczęto dochodzenie i postępowanie sądowe. Nie wiem, czy ktoś ma zamiar taką skargę podpisać, ale też nie wiem, czy ktoś nie ma zamiaru takiej skargi podpisać. Dlatego powiedziałem „w przypadku”.

Caffee i Ingle spojrzeli na siebie. Ingle powiedział:

- O ile chodzi o towarzystwo ubezpieczeniowe, nie możemy brać pod uwagę tych spraw ubocznych. Mamy...

- Ale możecie wziąć pod uwagę okoliczności tej sprawy, prawda?

- O co panu chodzi?

- O wpływ, jaki będą miały na sąd.

Caffee zakaształ nerwowo.

- Czy mógłbym porozmawiać z panem Ingle na osobności, panie Mason? Myślę...

- Ależ oczywiście - odpowiedział Mason. - Della, zaprowadź panów do biblioteki prawniczej.

Ingle i Caffee wyszli z biura.

Mason uśmiechnął się do Delli Street. Ta zamknąwszy drzwi wróciła do pokoju i powiedziała:

- Co się stanie, szefie, kiedy się dowiedzą, że już ktoś zapłacił odszkodowanie?

- Niech mnie diabli porwą, jeżeli wiem - odparł Mason. - Nie mieliśmy jeszcze precedensu. Zazwyczaj jest bardzo trudno dostać jedno odszkodowanie, a co dopiero dwa. Zresztą w tej chwili, Della, najważniejsze jest to, żeby załatwić to odszkodowanie, kiedy jesteście wolni i możemy nad tym popracować.

- Dlaczego mówisz „kiedy jesteście wolni”?

- Bo to prawda - powiedział Mason. - Ingle myśli, że jestem zielony w tych sprawach, ale gdyby mógł znać moje myśli i wiedzieć, co się we mnie dzieje, zemdlałby.

- Pewnie tak.

- W tej chwili walczymy o sprawiedliwość ze stoperem w jednej ręce, a bombą zegarową w drugiej. Czuję się tak, jakbym trzymał odbezpieczony ręczny granat.

Mason zaczął spacerować po pokoju.

Della wodziła za nim oczyma pełnymi współczucia, lojalności i zrozumienia.

Drzwi biblioteki prawniczej otworzyły się. Dwaj mężczyźni weszli do pokoju. Tym razem Caffee prowadził rozmowę.

- Zgodzimy się na to odszkodowanie, panie Mason - oznajmił. - Towarzystwo ubezpieczeniowe nie chce ustalać precedensu. Są zli na mnie, że dałem panu ten czek i oświadczenie wczoraj wieczorem. Dam panu czek wyrównujący sumę, a potem załatwię wszystko z towarzyszem ubezpieczeniowym.

- A więc dostaniemy pieniądze - powiedział Mason. Caffee wyjął książeczkę czekową.

- Chciałbym spojrzeć na akty darowizny, panie Ingle - poprosił Mason.

Podczas gdy Caffee wypisywał czek, Mason przeglądał akta.

- Zdaje się, że są w porządku - powiedział. - Podpisał akty darowizny i schował czeki.

- Mam nadzieję, że się rozumiemy, panie Mason - powiedział Caffee.

- Myślę, że tak - potwierdził Mason.

! - Pan...hm, pan Inglemówi, że będzie lepiej, jeżeli nie będzie jasno sprecyzowanego wyjaśnienia.

- Oczywiście - powiedział Mason podając mu rękę.

- Nie mogę panu powiedzieć, panie Mason, jak mi jest przykro z powodu tego, co się stało. Będzie to dla mnie nauczka.

- Wiem. Pewnie nie zmrzążył pan oka ubiegłej nocy.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Człowiek uczy się całe życie - powiedział Mason sentencjonalnie, wtętał i odprowadził ich do drzwi. - Ja też miałem bezsenność noc.

Ingle spojrział przez ramię i powiedział:

- Szybko pan pracuje, panie Mason.

- Nie ma sensu się ślimaczyć - odparował Mason.

- Nie - powiedział Ingle, wychodząc na korytarz. - Pan się nie ślimaczy, ale jest pan z pewnością śliski, panie Mason. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - powiedział Mason zamykając drzwi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Czy mam iść do banku zdeponować te czeki? - zapytała Della Street.

- Nie - odpowiedział Mason. - Sam to zrobię. Będzie to w tej chwili wiarygodnym wytłumaczeniem, dla czego nie jestem w biurze.

- A co potem? - zapytała.

- Potem będę musiał wymyślić inną wymówkę. A jeżeli nie będę mógł wymyślić czegoś wiarygodnego, wymyślę coś niewiarygodnego i podam jako wiarygodne.

- Jest aż tak źle?

- Być może.

Zadzwonił zastrzeżony telefon. Della podniosła słuchawkę, przez chwilę słuchała i wreszcie powiedziała:

- To Paul Drake, szefie. Chce z tobą rozmawiać. Mason podszedł do telefonu.

- Co nowego, Paul? - zapytał.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o Hansomie, właścicielu The Rushing Creek...

- Pamiętam - przerwał Mason.

- No więc policja zdecydowała się odbyć z nim małą rozmowę. Musieli dostać cynk, bo sprowadzili go tutaj, a razem z nim rejestr broni. Nie podobało im się to, co tam znaleźli.

- A co tam znaleźli, Paul?

- Przede wszystkim to, że rzekomy podpis Rossa P. Hollistera, a także jego adres i nazwisko zostały wpisane w rejestr broni przez kogoś innego. To nie jest jego pismo.

- I co jeszcze?

- Policja dowiedziała się między innymi także o znajomości Lucille Barton z mężczyzną o nazwisku Artur Colson. Nie wiedzą wprawdzie dokładnie, jakie stosunki ich łączą, ale za to, kiedy skonfrontowano Hansoma

z Arturem Colsonem, ten go natychmiast rozpoznał i powiedział, że to właśnie Colson kupił rewolwer.

Drake przerwał. Mason również się nie odzywał.

- Słyszysz mnie? - zapytał szybko Drake.

- Słyszę - odpowiedział Mason. - Myślę o tym, co mi powiedziałeś. Czy masz coś jeszcze, Paul?

- Na razie to wszystko.

- A co mówi Artur Colson? - zapytał Mason po chwili.

- Artur Colson twierdzi, że zaszła pomyłka. Gada, jak najęty. Mówi, że jeżeli policja chce kogoś zidentyfikować, to powinna go ustawić w szeregu z innymi i dopiero wtedy kazać temu Hansomowi rozpoznawać. Policja zdaje sobie oczywiście sprawę z tego, że on ma rację. Prowadzili swoje poszukiwania i po prostu natknęli się na niego. Nie podoba im się to, co już wygrzebali i na pewno nie przestaną węszyć.

- Czy to rozpoznanie może być fałszywe, Paul?

- Nie. Z tego, co wiem, ten Hansom to stary wróbel. Zna większość klientów przychodzących do jego sklepu, oczywiście stałych klientów. Kiedy jest sezon na łowienie ryb, przyjeżdża tam wielu gości; kupują karty rybackie i tym podobne rzeczy. Ale to było po sezonie. Hansom doskonale pamięta tę transakcję i jest absolutnie pewien, że to Artur Colson kupił rewolwer. Z pewnością zrobiło to duże wrażenie na policji.

- Słuchaj, Perry - kontynuował Drake. - Dlaczego Colson miałby podpisywać się nazwiskiem Hollistera? Rozumiesz coś z tego?

- Musiał wpisać jakieś nazwisko - powiedział Mason - a ponieważ ona ma wyjść za Hollistera, a przynajmniej tak uważa, nie chciała, żeby figurowało tam nazwisko innego faceta... Z punktu widzenia Colsona nazwisko Hollistera było najlepsze i najbezpieczniejsze w tym wypadku.

- Jeżeli się tak na to patrzy, to wszystko pasuje - przyznał Drake.

- Czy masz jeszcze coś, Paul?

- Zrobili test parafinowy dłoni Pitkina. To nie jest oczywiście tak jednoznaczne jak by się wydawało, niemniej jednak wystarczy, że otrzymali reakcję negatywną w krótkim czasie po użyciu rewolweru.

- Nie było żadnej reakcji?

- Absolutnie żadnej. Policja zrobiła dobrą robotę. Przeprowadzili test jeszcze przed wyniesieniem ciała. Coś w tej sprawie dało im do myślenia i wzbudziło podejrzenia.

- Wiesz, co to było, Paul?

- Tak, Perry. Wiem.

- Co?

- Nie będzie ci się to podobało.

- Niech to wszystko diabli porwą, Paul. Ta cała sprawa mi się nie podoba.

- Tuż pod rewolwerem znaleźli małą plamę krwi na podłodze garażu. Właściwie mogło tak się stać, ale policja jest innego zdania. Pitkin mógł strzelić do siebie, stać jeszcze przez sekundę lub dwie i krwawić, potem upaść, upuszczając rewolwer. Ale wiesz, jaki jest porucznik Tragg. On lubi pracować dobrze i dokładnie.

- Tak - potwierdził Mason - znam go. Czy powiedziałeś mi już wszystko, czy uważasz, że lepiej mi to przekazywać w małych dawkach, Paul?

- W tej chwili to już wszystko.

- Wygląda na to, że mam dosyć - powiedział Mason i odłożył słuchawkę.

- Co on mówi? - spytała Della.

- Ten, kto zaaranżował to wszystko, nie jest nawet w połowie tak inteligentny, jak myślałem. Ale jest już za późno, żeby się martwić, Della. Jeżeli przyjdzie Carlotta

Boone po nagrodę za udzielenie nam informacji o Danielu Caffee, daj jej czek na sto dolarów. Pamiętaj, daj jej czek, nie gotówkę. Powiedz, że musimy mieć skasowany czek w naszych rachunkach.

- Będziemy mogli dowiedzieć się, gdzie podjęła pieniądze i wysledzić ją, jeśli zajdzie potrzeba.

- Tak. Pilnuj twierdzy, Della. Ja wychodzę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Była godzina jedenasta, kiedy Mason wszedł do budynku, w którym mieściło się jego biuro.

Jeden z ludzi Drake'a kręcił się dyskretnie koło kiosku z papierosami. Zobaczywszy Masona ruszył od niechcienia w kierunku windy i wszedł razem z nim.

- Dzień dobry, panie Mason - odezwał się. - Jak się przedstawiają sprawy dzisiaj rano?

Mason spojrzał na niego ostro i powiedział:

- Fajno. Pan pracuje dla Drake'a, tak?

- Tak, właśnie jadę z raportem.

Mason poczuł dłoń ocierającą się o jego rękę i wsuwającą mu między palce kartkę. Włożył ją do kieszeni i po chwili powiedział:

- Do licha, gdzie się podział numer telefonu, pod który miałem zadzwonić? Co z nim zrobiłem?

Zaczął ostentacyjnie przeszukiwać kieszenie, aż w końcu wyciągnął kartkę, którą mu przed chwilą dał człowiek Drake'a.

- A, jest tutaj - mruknął i zaczął ją czytać.

Kartkę napisała Della Street; jej treść brzmiała: C.B, przyszła, dostała czek na sto dolarów. Mamy dużo gości urzędowych - czekają.

- Dobrze - powiedział Mason. - Sądzę, że nie jest za późno. Zadzwoń, jak tylko przyjdę do biura.

Winda zatrzymała się. Detektyw Drake'a wszedł bez słowa do Agencji Detektywistycznej Drake'a, a Mason poszedł dalej korytarzem i otworzył kluczem drzwi do swego prywatnego biura.

- No, Della - zaczął - zdaje się, że mamy... Halo! - zawołał nagle, widząc pokój pełen ludzi.

Porucznik Tragg wyjął cygaro z ust.

- Halo, Mason.

- Halo, poruczniku! Jak się pan ma? Wygląda na to, że mamy tutaj zebranie!

- Tak - odparł Tragg. - Zna pan już Lucille Barton i Artura Colsona. A to jest jeden z moich detektywów. Niech pan siada, Mason. Chcemy z panem porozmawiać.

- Świetnie - powiedział Mason. - Co u ciebie słychać, Tragg?

- Niech pan usiądzie wygodnie - zaproponował Tragg. - To raczej długo potrwa. Ostrzegam, Mason, że może się to panu nie podobać.

Mason uśmiechnął się do Lucille, która wyglądała tak, jakby nie spała całą noc.

- Jak się masz, Lucille? Musiałaś przeżyć szok, sądząc po tym, co piszą gazety.

- Tak - odpowiedziała nie patrząc na Masona.

- A jak pan się ma dzisiaj? - zwrócił się Mason do Artura Colsona.

- Dobrze - powiedział Artur Colson ze wzrokiem utkwionym w dywan.

- Gdzie pan był wczoraj wieczorem około szóstej, Mason? zapytał Tragg.

Mason uśmiechnął się, potrząsnął głową i powiedział:

- Nie mogę sobie tak od razu przypomnieć, Tragg.

- No, to proszę pomyśleć.

- Dobrze.
- I to intensywnie.
- Jak długo mam tak myśleć? - zapytał Mason.
- Tak długo, dopóki sobie pan nie przypomni.

Mason zmarszczył brwi, usiadł za biurkiem, podchwycił pełne obawy spojrzenie Delli.

- No i co? - spytał Tragg po dwóch minutach.
- Jeszcze myślę - uśmiechnął się Mason.

Twarz Tragg wyrażała obawę.

- Niech pan posłucha, Mason, lubię pana. Chcę panu dać wychnąć, ale muszę coś powiedzieć. Tu chodzi o morderstwo i tym razem znalazł się pan w odmiennej sytuacji niż zwykle w takich sprawach.

- Doprawdy - stwierdził Mason. - Zapalę sobie papierosa. Zauważyłem, że pan pali, Tragg. Kto ma ochotę zapalić?

Dwie głowy zrobiły jednocześnie ruch przeczący.

- A ty? - zapytał Mason detektywa.
- Nie, dziękuję.

Mason zapalił papierosa, usadowił się wygodnie na krześle.

- Dobrze - powiedział Tragg - jeżeli ma pan zamiar zwlekać, zobaczę jak długo to będzie trwało. - Wyjął zegarek z kieszeni.

- A więc, Mason, pytam po raz drugi. Gdzie pan był wczoraj wieczorem o szóstej?

Mason obserwował Traggę wpatzonego w tarczę zegarka.

- Nie mogę powiedzieć, Tragg.
- No, to niech pan pomyśli - powiedział Tragg.
- Wiem, gdzie byłem odparł Mason - ale nic mogę powiedzieć.
- Dlaczego?
- Byłoby to pogwałceniem tajemnicy zawodowej.

- O jakich klientów chodzi?
- Mason potrząsnął głową uśmiechając się.
- Są przecież sprawy, o których nie mogę dyskutować z panem, poruczniku. Adwokat ma pewne zobowiązania w stosunku do swego klienta.
- Rozdrażniony Tragg schował zegarek, mówiąc.
- Wczoraj interesował się pan bardzo pewnym rewolwerem. Jest to Smith i Wesson numer S65088.
 - Ja się interesowałem?
 - Dobrze pan wie, że tak. Wysłał pan detektywa z Santa del Barra do Hansoma, właściciela The Rushing Creek Mercantile Company, który wypytywał, kto kupił ten rewolwer.
 - No cóż, poruczniku - powiedział Mason - jeżeli chce pan wygłaszać takie stwierdzenia, nie będę przeczył.
 - Ja sam zacząłem interesować się tym rewolwerem trochę później. Zadzwoiłem w nocy do telefonistki w Rushing Creek i kazałem jej połączyć mnie z Roscoe Hansomem. Kiedy wyciągnęła go z łóżka, okazało się, że pana człowiek już u niego był, dowiedział się, czego chciał, i wyszedł pół godziny temu.
 - Aha.
 - Dlaczego interesuje się pan tym rewolwerem?
 - Chciałem się dowiedzieć, kto go kupił.
 - Dlaczego?
 - Mam różne powody.
 - Popelniono morderstwo. Z tego rewolweru zastrzelono wczoraj około szóstej człowieka. Ciało znaleziono o wpół do jedenastej. Proszę mi wytłumaczyć, panie Mason, jak to się stało, że już o dziewiątej wiedział pan, że ten rewolwer będzie dowodem rzeczowym w sprawie o morderstwo?
 - Wcale tego nie wiedziałem - zaprzeczył ze zdumieniem Mason.

- Pana człowiek musiał wyruszyć z Santa del Barra jeszcze przed dziewiątą.

- O, na pewno dużo wcześniej - zgodził się Mason. - Gdybym interesował się tym rewolwerem, a w tej chwili nie mogę się do tego przyznać, to byłoby to w związku ze sprawą cywilną, w której jest dowodem. Nie miałem pojęcia, że zastrzelono z niego człowieka.

- Ależ oczywiście. Na pewno nie - powiedział Tragg sarkastycznie. - Wobec tego z jakiego powodu pan się nim interesował?

- Przepraszam, nie mogę tego powiedzieć.

Tragg spojrział na Masona z troską.

- Ta sprawa jest dużo poważniejsza, niż pan myśli, Mason. Mam w zanadru karty, których nie wyłożyłem jeszcze na stół. Będzie dużo lepiej dla pana, jeśli pan powie wszystko, co pan wie.

- Dobrze, odpowiem na wszystkie pytania.

- Kiedy poznał pan Lucille Barton?

- Wczoraj - odpowiedział Mason natychmiast.

- Czy to ona zwróciła się do pana, czy pan do niej?

- Cieszę się, że zaczął mi pan zadawać pytania, na które mogę odpowiedzieć. Della, gdzie jest ten numer „Blade”? Ten, do którego wysłałem ogłoszenie.

Della Street wstała, bez słowa podeszła do szafy, otworzyła szufladę, wyjęła segregator i podała Masonowi kopię ogłoszenia z „Blade”.

- Podaj to porucznikowi Traggowi - powiedział Mason.

Tragg spojrział na ogłoszenie, zmarszczył brwi i zapytał:

- Cu to ma wspólnego ze sprawą?

- Wyjmij list z sejfku, Della - polecił Mason. - Ten zaadresowany do Agencji Detektywistycznej Drake'a, w którym przysłano klucz.

- Klucz! - zawołał Tragg.
- Klucz! - zawtórowała mu Lucille Barton.
- Klucz - powtórzył z naciskiem Mason. - Klucz.

Taki do otwierania drzwi.

Della Street przyniosła list.

- Daj go porucznikowi, Della.

Porucznik Tragg wziął list, przeczytał i zdumiał się.

- Możemy dać ten list pannie Barton - powiedział Mason. - Jak pan widzi, poruczniku, sama go napisała.

- Do diabła! Pewnie, że tak - potwierdził Tragg żując cygaro.

Della Street podała list Lucille Barton, która przeczytała go i podała Arturowi Colsonowi.

- Co pan zrobił po otrzymaniu tego listu? - zapytał Tragg. - Poczekał pan do drugiej, kiedy jej nie ma w domu i poszedł pan tam...

- Niech pan nie mówi głupstw, poruczniku - przerwał Mason. - Nie myśli pan chyba, że otworzyłbym drzwi i wszedłbym do czyjegoś mieszkania bez pozwolenia? Udałem się tam natychmiast, zapukałem do drzwi, zadzwoniłem i okazało się, że przyszedłem w nieodpowiedniej chwili. Mimo tego panna Barton zaprosiła mnie do mieszkania i poprosiwszy, żebym na nią poczekał, poszła się ubrać do sypialni. Kiedy wróciła, przeprowadziliśmy bardzo miłą rozmowę i wtedy - powiedział Mason patrząc znacząco na Lucille Barton - zawiązał się między nami stosunek cechujący adwokata i klienta. Poprosiła mnie, żebym reprezentował jej interesy w pewnej sprawie.

- Och ! - zawołała Lucille Barton.
- A więc, reprezentuje pan panią Barton?
- Tak - odpowiedział Mason. - Tylko ona woli, żeby ją nazywać panną Barton, poruczniku.
- A więc reprezentuje ją pan - powtórzył Tragg.

- Tak.
 - W jakiej sprawie?
- Mason uśmiechnął się i potrząsnął przecząco głową.
- To, co pan robił wczoraj, Mason, miało szczególny charakter - zauważył Tragg.
 - Dlaczego? Ja tak nie uważam, poruczniku.
 - Był pan wczoraj bardzo zajęty, co?
 - Owszem, dosyć. Zawsze jestem zajęty.
 - Pojechał pan na West Casino Boulevard 939, spotkał się pan ze Stephenem Argyle i oskarżył go pan o spowodowanie wypadku i ucieczkę?
 - Wyraziłem przypuszczenie, że jego samochód mógł spowodować wypadek.
 - Czy spotkał pan wtedy Hartwella L. Pitkina?
 - Mówi pan o szoferze Argyle'a?
 - Tak.
 - Był tam.
 - Kiedy zobaczył pan po raz pierwszy ten Smith i Wesson numer S65088 i dlaczego pan się nim zainteresował?
 - Przykro mi, poruczniku. Do tej pory dobrze nam się rozmawiało, ale teraz pyta pan o coś, czego nie mogę panu powiedzieć.
 - Dlaczego?
 - Tajemnica zawodowa.
 - Ktoś stał papierem ściernym numery z rewolwera, ale przeoczył jeden, znajdujący się wewnątrz kolby. Wystarczy tylko odkręcić śrubę, żeby go zobaczyć. Numery z pewnością były ścierane niedawno.
 - Tak? - spytał grzecznym tonem Mason.
 - Kiedy zainteresował się pan tym rewolwerem, skąd pan znał jego numer?
- Mason uśmiechnął się i znowu potrząsnął głową.
- Czy było to przed starciem numeru, czy po?

- Przykro mi - powiedział Mason uprzejmie.
- To musiało być przed starciem numerów, Mason, Bo śruba nie była ruszana od momentu, kiedy rewolwer opuścił fabrykę. Zastanawiam się, czy to właśnie pan stał te numery?

Mason uśmiechnął się w odpowiedzi i stłumił ziewnięcie. Tragg skinął na policjanta i rozkazał.

- Wprowadź świadka.

Policjant skierował się do poczekalni. Tragg mówił dalej.

- Będę grał z panem w otwarte karty. Wczoraj o szóstej był pan przed garażem pani Barton przy South Gondola 719. Kiedy w garażu padł strzał, starał się pan to ukryć. Mam świadka, który to potwierdzi.

Mason strząsnął popiół z papierosa do popielniczki.

- Jestem pewien, że nie ma pan takiego świadka.
- Rozpoznał już Lucille Barton.

Zanim Mason zdążył się odezwać, policjant otworzył drzwi, usunął się na bok i wpuścił do pokoju wysokiego mężczyznę o podłużnej twarzy, wydatnych kościach policzkowych, wąskich ustach i długiej szyi. Miał przepraszający wygląd, jakby się wstydził swego wtargnięcia.

Tragg pokazał mu Perry Masona i zapytał:

- Czy to ten mężczyzna?
- Nie wiem, nie mogę powiedzieć, dopóki nie wstanie - powiedział. - Nie widziałem dobrze jego twarzy.

Mason uśmiechnął się do niego i przedstawił mu się.

- Jestem Perry Mason, a jak pan się nazywa?
- Goshen, Goshen - odparł mężczyzna. - Carl Evert Goshen. Mieszkam niedaleko miejsca, gdzie popełniono zbrodnię i...

- Mniejsza o to - przerwał mu Tragg. - Chcę tylko wiedzieć, czy to ten mężczyzna?

- Nie mogę tego stwierdzić, dopóki on nie wstanie i nie przejdzie się.

- Niech pan wstanie - zwrócił się Tragg do Masona. Mason uśmiechnął się.

- Co to za metody, poruczniku. Powinien pan kazać stanąć mi w szeregu z innymi, jeżeli pan chce, żeby rozpoznanie miało jakąś wartość.

- Najpierw muszę pana aresztować, a potem mogę pana postawić w szeregu. Nie palę się do aresztowania, dopóki nie będę miał do tego podstaw. Jeżeli świadek pana pozna, będę miał takie podstawy.

- Widzę, że chce pan łowić ryby przed niewodem, poruczniku - zauważył Mason.

- Cicho pan bądź - powiedział Tragg. - Tak właśnie zrobię.

- Rzeczywiście, zrobi pan.

- Proszę wstać - upierał się Tragg. - Jeżeli jest pan niewinny, nie ma się pan czego obawiać.

Mason przechylił się do tyłu w krzesło i uśmiechnął do Tragga.

- Jak on był ubrany? - zapytał Tragg Goshena.

- Już panu mówiłem. Miał jasny płaszcz... jasnobrażowy... i szary kapelusz.

Tragg zwrócił się do policjanta.

- Tam jest szafa, wyjmij jego płaszcz i kapelusz.

Mason zaprotestował.

- Chwileczkę, Tragg. Nie ma pan prawa tego robić. Nie może pan...

- Do diabła tam, nie mogę - przerwał Tragg, potem zwrócił się do Goshena. - Kiedy wstanie, żeby przeszkodzić policjantowi, niech pan zwróci uwagę na to, jak chodzi i porusza się...

- Powtarzam panu, poruczniku, że jest to pogwałcenie praw obywatela - ostrzegł Mason.

Policjant otworzył drzwi szafy, zatrzymał się nagle, zawahał i zwrócił do Tragg.

- No, wyjmij ten płaszcz i kapelusz - powiedział niecierpliwie Tragg. - Jeżeli będziemy musieli, włożymy go siłą na niego. On wstanie i...

- Przepraszam poruczniku, ale...

- Wyjmij płaszcz! - krzyknął Tragg.

Policjant przyniósł ciężkie, czarne okrycie, którego Mason nigdy przedtem nie widział.

- Wyjmij jasnobrązowy - rozkazał Tragg.

- Tu jest tylko ten, poruczniku.

Mason spojrział szybko na Dellę. Wyglądała jak niewinny anioł.

- To nie ten płaszcz - stwierdził stanowczo Goshen.

Tragg popatrzył na Masona podejrzliwie.

- Skąd pan go wytrzasnął?

- To nie ja, to pan.

- Jak pan trafił do Stephena Argyle'a? Jak się pan dowiedział, że jego samochód miał związek z wypadkiem?

Mason uśmiechnął się i powiedział:

- Zadaje pan pytania oparte na fałszywych przesłankach, poruczniku. Przykro mi, ale samochód Argyle'a nie miał związku z wypadkiem.

- Myślałem, że...

- Początkowo też tak myślałem - odpowiedział z uśmiechem Mason. - Wie pan, jak to bywa, poruczniku. Często się człowiekowi wydaje, że ma wszystkie dowody w rękę i zaczyna występować z oskarżeniami i najdzikszymi twierdzeniami, a potem nagle się okazuje, ku jego wielkiemu zmartwieniu naturalnie, że było zupełnie inaczej i...

- Mniejsza o to - przerwał Tragg. - Chcę wiedzieć, skąd pan dostał tę informację, dlaczego poszedł pan do

niego i powiedział mu, że jego samochód spowodował wypadek. W jaki sposób pan się o tym dowiedział?

- Prawdę mówiąc, poruczniku, wypadek spowodował zupełnie kto inny. Nazywa się Daniel Caffee, mieszka przy Beachnut Street 1017, mieszkanie numer 22-B. Spotkałem się z nim wczoraj i muszę panu z zadowoleniem wyznać, że pan Caffee nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało. Kiedy się dowiedział, że mój klient został ranny, natychmiast zaproponował zadośćuczynienie.

- Jakie zadośćuczynienie?

- Wyplacił odszkodowanie.

- Kiedy?

- Część wczoraj, resztę dzisiaj rano.

- Niech to diabli - wymamrotał Tragg.

- Wolałbym oczywiście nie rozgłaszać tego, poruczniku. Próbuję tylko pomóc panu uporządkować informacje związane z tą sprawą. O ile dobrze zrozumiałem, ten Pitkin popełnił samobójstwo w garażu panny Barton.

- Zamordowano go w garażu panny Barton.

Mason uderzył językiem o podniebienie, wydając dźwięk mający oznaczać zdumienie. Tragg nacierał dalej.

- Nie było pana w biurze wczoraj między piątą a szóstą. Della Street przyjechała taksówką. Stephen Argyle czekał tu na pana, a jego szofer na dole. Po piątej Argyle zszedł na dół, powiedział swemu szoferowi, żeby jechał do domu, a sam wrócił na górę i siedział prawie do szóstej. Potem zadzwonił do swego agenta ubezpieczeniowego i umówił się z nim tutaj, przed budynkiem. Może powiedzieć co do minuty, gdzie był i może potwierdzić, że pana nie było w biurze.

- Rzadko bywam w biurze po piątej - powiedział Mason. - Staram się kończyć pracę wcześniej. Oczywiście,

czasami zostają dłużej i pracuję wieczorem, ale nigdy nie przyjmuję klientów o tej porze. To ustaliłoby zły obyczaj i...

- I poza tym nie mógł pan być tutaj, bo był pan u Lucille Barton - wpadł mu w słowa Tragg. - Byliście tam, kiedy Pitkin wszedł do garażu. W każdym razie przyszedł tam wkrótce po nim. Proszę posłuchać, Mason, powiem panu szczerze, co myślę. Są pewne dowody na to, że Pitkin miał złe zamiary. Być może zaatakował pana lub pannę Barton. Jedno z was miało rewolwer i strzeliło do niego. W ten sposób skończyła się kariera pana Hartwella L. Pitkina, a muszę przyznać, że nie była to kariera wzorowego obywatela. Był szantażystą, oportunistą i oszustem. Jeżeli czekał tam, w garażu, na kogoś, kryło się za tym z pewnością jakieś draństwo i dlatego chcę dać wam szansę wyjścia obronną ręką. Jeśli nie powiecie mi teraz, jak było, będziecie musieli powiedzieć ławie przysięgłych. Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Jestem gotów okazać wyrozumiałość, jeżeli działaliście w obronie własnej, ale chcę wyjaśnić tę sprawę i to szybko.

- Rozumiem pana, poruczniku - powiedział Mason - i wiem, że chce pan być w porządku.

- Poza tym - nacierał Tragg - Lucille Barton przyznaje, że była z panem.

- Naprawdę?

- Tak. Najpierw twierdziła, że była z Anitą Jordan i Anita miała jej dać alibi na cały wieczór, ale kiedy dobraliśmy się do szczegółów, nic nie zostało z tego alibi.

Lucille Barton wtrąciła się szybko do rozmowy:

- Nie mówiłam, że byłam z panem Masonem o szóstej. Po pierwsze powiedziałam, że byłam z nim, zanim spotkałam się z Anitą i...

- Teraz ja mówię - przerwał jej Tragg.

- Porucznik nie chce, żeby pani coś mówiła - zwrócił się Mason do Lucille Barton. - Wobec tego, jako pani adwokat, radzę rzeczywiście nic nie mówić.

- Nic z tych rzeczy - powiedział Tragg do Masona. - Rozmawiam teraz z panem.

- A ja rozmawiam z moją klientką, poruczniku.

- Kiedy pan się wczoraj spotkał z panną Barton?

- Już mówiłem, że rano.

- A potem?

- Nie mogę sobie przypomnieć, poruczniku.

- Ale widział się pan z nią po raz drugi?

- Och, tak.

- Przestańmy się bawić w chowanego, Mason. Chcę wziąć odciski pańskich palców.

- Proszę bardzo - zgodził się Mason. - Ja naprawdę chcę wam pomóc w miarę moich możliwości. Musi pan tylko zrozumieć, że nie mogę zdradzić zaufania mojej klientki.

Tragg skinął na policjanta, który wyjął z kieszeni małe pudełeczko i zbliżył się do biurka.

- Proszę wstać.

- Mogę to zrobić siedząc - uśmiechnął się Mason, wyciągając rękę do policjanta.

- To nie jest ten człowiek - odezwał się nagle Goshen. - Ten, którego widziałem, nie był mocno zbudowany i...

- Niech pan wyjdzie na chwilę - przerwał mu Tragg. - Musi go pan zobaczyć w płaszczu, stojącego i kiedy chodzi. Nie może go pan rozpoznać teraz, kiedy siedzi za biurkiem.

- Ostrzegam pana, poruczniku, jeżeli chce mnie pan zidentyfikować, musi się to odbyć tak, jak tego wymagają przepisy.

Goshen podniósł się, stał przez chwilę niepewny, co ma zrobić, i wyszedł do poczekalni.

- Może się pan upierać, Mason, i robić trudności. Może to trwać krótko lub długo. Chciałem załatwić sprawę szybko, widzę teraz, że to potrwa.

- Bardzo logiczne - powiedział Mason. - Gdzie mam zrobić odciski palców? Na tym kawałku papieru? Och tak, już wiem, muszę przycisnąć każdy palec.

Lucille Barton patrzyła uparcie na adwokata. Artur Colson zerknął na niego i szybko odwrócił głowę. Milczący policjant wziął odciski palców Masona.

- Może pan teraz pójść umyć ręce - powiedział Tragg.

Mason uśmiechnął się.

- Nie, dziękuję, pana świadek może tu nagle wejść. Della, podaj mi papierową chusteczkę. Przyniesz ją tutaj, chcę zetrzeć ten atrament. Nie ma sensu brudzić umywalki.

- Niech pan tu sobie siedzi, jeżeli tak się panu podoba, ale nie może pan tak siedzieć wiecznie. Będzie pan musiał wyjść kiedyś z biura i wtedy świadek zobaczy pana idącego korytarzem. Postaram się, żeby mógł się panu przyjrzeć w różnych miejscach, a jeżeli badania odcisków palców potwierdzą to, co myślę, obejrzymy pana w pokoju konfrontacji.

Della podała Masonowi pudełko z papierowymi serwetkami i stoiczek kremu.

- Wetrzyj krem, szefie, łatwiej ci będzie usunąć plamy.

- Dziękuję - powiedział Mason.

Policjant podał Traggowi kartkę z odciskami palców Masona. Tragg wyjął z kieszeni fotografię i porównywał po kolei odciski. Nagle wydał okrzyk zadowolenia. Wyciągnął szkło powiększające i zaczął przyglądać się odciskom uważniej, porównując jeden z nich z fotografią.

- Mason - odezwał się - na tym rewolwerze jest odcisk pana palca!

- Naprawdę?
- No i co pan na to powie?
- Nic.
- Mason, występuję teraz urzędowo. Z tego rewolweru zastrzelono Hartwella L. Pitkina. Mogę stwierdzić definitywnie, że jest na nim odcisk pana palca. Co pan ma do powiedzenia?

- Nic - odparł Mason. - Nie mogę zawieść zaufania mojej klientki.

- A cóż to ma wspólnego z wyjaśnieniem, w jaki sposób odcisk pańskiego palca znalazł się na broni, którą popełniono morderstwo? Nie może się pan posunąć aż tak daleko w obronie klientki.

- Mam co do tego inne zdanie - odpowiedział Mason. - Ale, ale, Della, porucznik nie pytał o ten drugi list. Panna Barton nic mu o tym nie mówiła, bo nie wiedziała. Napisała pierwszy list, ale ten drugi musiał napisać ktoś inny, bez jej wiedzy.

- O jakim liście pan mówi? - zapytał Tragg.

- Przynieś drugi list, Della, ten, w którym był klucz od biurka.

Della Street jeszcze raz poszła do archiwum, przyniosła drugi list i podała go Traggowi.

- Ten list został doręczony przez posłańca - wyjaśnił Mason.

Tragg przeczytał list i spytał złowieszczym tonem.

- I w tym liście był klucz?

- Tak - potwierdził Mason - klucz do sekretarzyka.

- Gdzie on jest?

- Mam oba klucze, poruczniku. Chce je pan zobaczyć?

Tragg wziął klucze, które Mason mu podał, i patrzył na nie w skupieniu.

- Rozumie pan teraz - mówił Mason. - Pomyślałem sobie, że panna Barton chciała, żebym sam znalazł ten

dowód. Nie chciała brać odpowiedzialności za danie mi go osobiście. Więc kiedy przyszła do mego biura wczoraj po południu, z obecnym tu Arturem Colsonem, wykorzystałem okazję, żeby zakraść się do jej mieszkania i otworzyć sekretarzyk. Klucz pasował znakomicie i w prawym górnym schowku znalazłem notes i rewolwer. Poruczniku, jeżeli znajdzie pan osobę, która napisała drugi list, zrobi pan duży krok naprzód w pogoni za, mordercą tego Pitkina, oczywiście, jeżeli pańska przesłanka jest właściwa i został on istotnie zamordowany.

- Do licha - powiedział Tragg - jeżeli wszedł pan do tego mieszkania i coś tam robił, mogę...

Mason przerwał mu ostro.

- No, no, poruczniku. Znowu stawia pan wszystko do góry nogami. Nie wszedłem do mieszkania bez pozwolenia. Lucille Barton napisała pierwszy list i przysłała mi klucz. To na pewno upoważniło mnie do wejścia. Ale ten drugi list, poruczniku, musiał być pułapką. Ten...

- Ten rewolwer tam był, kiedy otworzył pan biurko? - zapytał Tragg.

- Powiem panu tylko tyle, poruczniku: był tam jakiś rewolwer. Rozumie pan teraz, co to znaczy. Sekretarzyk był zamknięty. Ktoś więc miał drugi klucz i przysłał go mnie. Jeżeli panna Barton była u mnie w biurze, a rewolwer w schowku, to nie mogła mieć go z sobą. To przecież oczywiste. Ponieważ nie znalazł pan jej odcisków palców na rewolwerze, nie może pan udowodnić, że to jej broń. Naprawdę nie mogę panu powiedzieć nic więcej. Podsunąłem panu pewne sugestie i myślę, że posunąłem się w tym za daleko

Porucznik Tragg zwrócił się nagle do policjanta.

- Wyprowadź stąd Colsona i Barton. On nie rozmawia ze mną. Udaje tylko, że do mnie mówi, a w rzeczywistości przekazuje tym dwojgu, co mają zeznawać.

Policjant podniósł się szybko.

- Idziemy - powiedział do obydwojga.

Mason zwrócił się do Lucille.

- W tych okolicznościach radzę pani absolutnie nic nie mówić. Wobec wrogiego nastawienia policji proszę odmawiać odpowiedzi na pytania. Jest to rada pani adwokata.

- Rada adwokata! - krzyknął Tragg. - Chwileczkę!

Czy będzie jej pan bronił w sprawie o morderstwo?

- A jest oskarżona o morderstwo?

- Może być.

- Powiedziałem już panu, że zaangażowała mnie do występowania w pewnej sprawie, kiedy wczoraj u niej byłem.

- W jakiej sprawie?

- Nie mogę tego panu powiedzieć.

Tragg zwrócił się do Lucille Barton.

- Nie mówiła mi pani o tym.

- Bo pan mnie nie pytał - odpowiedziała wymijająco.

- Do jakiej sprawy go pani zaangażowała?

- Cyt, cyt, Lucille - powiedział Mason, grożąc jej palcem ostrzegawczo. - Ani słowa, proszę pamiętać.

Spojrzała na Tragg. Na jej twarzy odbiło się uczucie ulgi.

- Słyszał pan, co mi powiedział mój adwokat?

- Wyprowadź ich - rozkazał Tragg policjantowi.

Kiedy wychodzili do poczekalni, żuł gniewnie cygaro. Potem potarł zapałkę o podeszwę buta, zapalił cygaro i zwrócił się do Masona.

- Mason, chciałbym uniknąć wciągania pana do tej sprawy.

- Dziękuję.

- Obawiam się jednak, że będę musiał to zrobić, ponieważ sam się pan o to prosi.

- Tak, rozumiem.
- Może pan sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało w gazetach? „Odcisk palca adwokata na narzędziu zbrodni”.
- Uważa pan, że należy przekazać tę informację gazetom?
- Będę musiał to zrobić.
- To będzie piękny nagłówek.
- Potem ukaże się drugi: „Adwokat odmawia złożenia wyjaśnień”.
- Wyobrażam sobie, co to będzie za sensacja.
- Do licha, Mason - powiedział Tragg - jesteśmy po przeciwnych stronach barykady, ale nie chcę pana zniszczyć. Nie jestem pewien, czy to pan był z nią wtedy, kiedy Goshen patrzył w stronę garażu. Jeżeli tak, to myślę, że zaciągnęła tam pana, żeby pokazać coś, o czym nie miał pan pojęcia. Jeżeli może pan to wyjaśnić, niech pan na miłość boską zacznie mówić.
- Zastanówmy się chwilę, poruczniku. Przypuśćmy, że tak było. Czy uwolniłoby mnie to od odpowiedzialności? - zapytał Mason.
- Nie mogę panu dać definitywnej i ostatecznej odpowiedzi na to pytanie - odpowiedział Tragg.
- No, to niech mi pan da niedefinitywną i nieostateczną.
- Ważny jest czas śmierci - odparł Tragg. - W tej chwili możemy go określić z godzinną tolerancją. Gdyby zawiadomiono nas, powiedzmy o szóstej, moglibyśmy go określić z dokładnością co do minuty. Pana obowiązkiem było zawiadomić policję.
- Rozumiem.
- Musi pan wobec tego wypić piwo, którego pan nawarzył. Niech mi pan teraz powie, czy ciało było w garażu o szóstej, kiedy tam pana wezwano.

- Już mówiłem, poruczniku, że nie mogę powiedzieć, gdzie byłem o szóstej.
 - Jeżeli ten Caffee stuknął wóz Finchleya, w jaki sposób wyciągnął pan odszkodowanie od Stephen'a Argyle'a?
 - Nic od niego nie wyciągałem.
 - Sporządził umowę z Finchleyem wczoraj wieczorem.
 - To prawda.
 - Sprawdziłem to dokładnie - powiedział Tragg - ponieważ zależało mi na dowiedzeniu się, gdzie był wczoraj po południu i wieczorem.
 - I dowiedział się pan?
 - Tak. Był u siebie w domu. Pan przyszedł, oskarżył go o spowodowanie wypadku i ucieczkę. On nie chciał oczywiście o tym słyszeć.
 - Rzeczywiście, nie chciał.
 - Krótco po pana wyjściu - mówił Tragg - Argyle przemyślał wszystko i zdecydował się zapłacić. Pojechał do pańskiego biura. Kazał szoferowi czekać na dole. Potem, kiedy zorientował się, że to potrwa dłużej i przypomniał sobie, że tego wieczora Pitkin ma wolne, zszedł na dół i pozwolił mu odjechać. Kazał mu zaprowadzić samochód do garażu.
 - Aha.
 - Argyle czekał na pana do szóstej, potem zadzwonił do swego agenta ubezpieczeniowego i powiedział mu, gdzie jest i po co przyszedł. Agent przestraszył się, poradził mu, żeby się trzymał od pana z daleka i w żadnym wypadku z panem nie rozmawiał. Obiecał mu, że zaraz do niego przyjedzie, więc Argyle czekał w hallu. Sprzedawca z kiosku z cygarami doskonale go pamięta. Po pięciu czy dziesięciu minutach przyszedł agent i pojechali.
- Tragg przyglądał się Masonowi, w końcu dodał:

- Jeżeli Argyle nie spowodował tego wypadku, on sam i jego towarzystwo ubezpieczeniowe zażądamy oczywiście zwrotu pieniędzy.

- Na pewno tak.

Tragg spojrział ostro.

- Nic pan nie mówi o zwrocie pieniędzy.

- Nie mówię, bo nie mam zamiaru ich zwracać.

- Co?

- Mam je zamiar zatrzymać.

- Niech pan słucha, Mason, dlaczego nie położy pan uszu po sobie i nie wycofa się z tego wszystkiego?

- Nie mam powodu kłaść uszu po sobie.

- Coś mi tu nie pasuje, Mason. Ta kobieta nie wiedziała, że pan jest jej adwokatem, kiedy tu przyszła.

- Do licha, nie wiedziała! - wykrzyknął ze zdumieniem Mason.

- Jeżeli powie mi pan, co pan wie o tej sprawie, zrobię wszystko, co tylko będę mógł, żeby miał pan spokój ze strony prasy i komendy.

- Ze strony prokuratora okręgowego również?

- Ze strony prokuratora okręgowego również - potwierdził Tragg, ale tym razem bez przekonania.

Mason uśmiechnął się.

- Wie pan tak dobrze, jak ja, Tragg, że gdyby tylko mógł pan coś znaleźć przeciwko mnie, prokurator okręgowy powitałby pana z otwartymi ramionami. Sprawa Lucille Barton zbladłaby i stała się nieważna.

- Myśli pan, że zmieniliby to jego stosunek do pana? - zapytał Tragg. - Już i tak ma pana na wątrobie. Chętnie strzeliłby do pana.

- I jak zwykle trafiłby kulą w płot. A ja i tak, i tak dobiję bezpiecznie do celu. Może mu pan to powiedzieć.

- Zapomina pan, że na tym rewolwerze jest odcisk pana palca. Mam wynik badań od naszego eksperta

balistyki. Nie ulega wątpliwości, że z tego rewolweru zastrzelono Pitkina.

- Naprawdę?

- Dawałem panu szansę, Mason - powiedział Tragg wstając.

- Z pewnością - odparł Mason. - Przepraszam, że nie wstaję, ale Goshen mógłby tu wbiec i wskazać na mnie palcem. Nie lubię być identyfikowany w ten sposób. Wolę, jak to się odbywa zgodnie z przepisami. Świadek powinien mieć wybór.

- Niech pan nie będzie głupcem, Mason. Nie może pan tak siedzieć wiecznie. Kiedyś uda nam się pana zidentyfikować, a wtedy te głupie wykrety będą jeszcze głupiej wyglądały.

Tragg wyszedł z dumnie podniesioną głową.

Po jego wyjściu Mason i Della wymienili spojrzenia.

- Mój Boże, Della, ten rewolwer był narzędziem zbrodni!

Skinęła głową w milczeniu.

- Byłem pewien, że po zbadaniu kuli okaże się, że została wystrzelona z innego rewolweru i... Della, gdzie u licha zdobyłaś ten płaszcz?

- To płaszcz Paula Drake'a - powiedziała cicho. - Gertie podsłuchiwała ich rozmowę w poczekalni. Wyślizgnęłam się więc do biura Drake'a, pożyczyłam jego płaszcz, a twój zostawiłam u niego.

Mason uśmiechnął się.

- Czy Drake wiedział, dlaczego go bierzesz?

- Nie zadawał żadnych pytań. Uważał, że lepiej nic nie wiedzieć

- Podnieś swoją pensję o sto dolarów miesięcznie i podejdź do biurka. Ja nie mogę jeszcze wstać, bo Tragg może tu znowu wpaść z tym swoim wyłupiastookim świadkiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Perry Mason spokojnie rozłożył gazetę na biurku ze słowami:

- Pięknie się spisali, prawda Della?

Della Street skinęła głową.

- Ładne nagłówki - mówił Mason. - „Odcisk palca adwokata na narzędziu zbrodni”, „Adwokat uniemożliwia rozpoznanie...”, „Piękna rozwódka aresztowana po tajemniczym morderstwie...”, „Adwokat ma klucz do mieszkania podejrzaney”.

Mason podniósł głowę.

- Ale bigos.

- „Bigos” to raczej nieodpowiednie słowo. À propos, zastanawiałam się, dlaczego powiedziałaś Traggowi o listach i dałaś klucze?

- Tylko w ten sposób mogłem dać wskazówkę Lucille Barton, co ma robić.

- Nie rozumiem.

- Przypuśćmy, że ktoś inny napisał oba te listy.

- No i co z tego?

- Prędej czy później - kontynuował Mason - musiałyby wyjść na jaw, że Paul Drake dostał klucz i przekazał go mnie. Jeżeli ktoś inny wysłał ten klucz, a ja się nim posłużyłem, żeby wejść do mieszkania, postąpiłem wbrew prawu. Ale jeżeli przysłała go sama Lucille Barton, to wszedłem do mieszkania za jej zgodą.

Della skinęła głową.

- Teraz rozumiem. Zastanawiam się, czy ona też zrozumiała.

- Znalezienie się w mieszkaniu za jej pozwoleniem - ciągnął Mason - zupełnie zmienia sytuację. A jeżeli jeszcze uda mi się poddać jej myśl, że to ktoś inny przysłał

mi klucze do sekretarzyka i że rewolwer był w schowku, Tragg będzie miał powody do zmartwienia.

- Może to zrozumiała.

- Niech mnie licho porwie, jeśli wiem - odpowiedział . Mason. - Próbowałem pokazać jej wyjście. Ale za to zachwiałem pewnością siebie Tragga, niech się teraz pomartwi, no i Colson... Zastanawiam się, czy Colson...

Drake przerwał Masonowi, pukając do drzwi w umówiony sposób.

- Wpuść Paula, Della.

Della Street otworzyła drzwi.

Paul Drake trzymał pod pachą popołudniową gazetę.

- Widziałeś, co oni powypisywali... O, masz już gazetę.

- Siadaj, Paul - rzekł Mason. - Narobili bigosu, co?

- Jeszcze jakiego...

- Ten świadek, Goshen, zidentyfikuje mnie natychmiast, jak tylko będzie mógł. Nie chcę mu na to pozwolić - powiedział Mason.

- Nie możesz temu zapobiec - zauważył Drake. - Dlaczego nie pozwoliłeś mu tego zrobić od razu? Gorzej będzie, jeśli zrobi to teraz.

Mason uśmiechnął się.

- Mówisz jak Tragg, Paul. Jak wygląda Hollister? Masz chyba jego rysopis.

- Ma około czterdziestu siedmiu, czterdziestu ośmiu lat, wysoki, kościsty, brunet z gęstymi brwiami. Mam dobry opis Hollistera i staram się o fotografię.

Mason zdziwił się.

- No, no, jeszcze jeden wysoki mężczyzna wchodzi na scenę. Może to jego widział Goshen. A ten Dudley Gates, który podjął z banku pieniądze i dał je Pitkinowi. Jak on wygląda?

- Jest młodszy, ma trzydzieści trzy lata, średniego wzrostu, krępy blondyn, niebieskooki...

- Możemy go skreślić z listy - powiedział Mason. - Goshen musiał widzieć Hollistera.

Twarz Drake'a rozjaśniła się.

- To jest myśl, Perry. Czy to był Hollister?

Mason nie odpowiedział.

Nadzieja znikła z twarzy detektywa.

- Cofam pytanie - powiedział.

- Dobra, a co jest z tym Dudleyem Gatesem? Znalazłeś go? Co mówi o tej forsie, którą podjął? - pytał Mason.

- Dudley Gates jest razem z Hollisterem. Są współnikami i wyjechali w poniedziałek wieczorem w sprawie jakichś pól naftowych - odpowiedział Drake.

- Gdzie są te pola?

- Gdzieś na północy. Nie mogli oczywiście zdradzić ich położenia. To sekret.

- Dziś jest czwartek, szóstego - mówił w zamyśleniu Mason. - Mieli trzy dni... O której w poniedziałek, Paul?

- Prawdopodobnie o szóstej. Gospodyni Hollistera wyszła o wpół do piątej. Hollister czekał na kogoś, potem miał przyjść Gates i mieli wyjechać o szóstej. Poza tym gospodyni słyszała, jak Hollister rozmawiał z Gatesem przez telefon i mówił mu, że wychodzi dokładnie o szóstej, a wiadomo, że ma bzika na punkcie punktualności... Gates musiałby stracić ponad godzinę czasu, żeby pojechać stąd do Santa del Barra...

- Paul - odezwał się Mason - muszę się wydostać z budynku, tak, żeby mnie nikt nie widział.

- Nie możesz. Tragg zostawił tego swojego świadka przed domem w samochodzie policyjnym. Tylko na to czekają, żebyś wyszedł. Dookoła aż się roi od fotografów i reporterów.

- Paul, twoje biuro jest otwarte całą dobę?

Paul skinął głową.

- Tylko twoje biuro w całym budynku jest otwarte całą dobę?

- Co z tego.
- Idę do ciebie, Paul.
- Nie rozumiem.
- Zamknę swoje biuro. Della sprawdzi, czy na korytarzach nikogo nie ma i pójdziemy do ciebie. Della pozamyka wszystko na klucz i pojedzie do domu. Dziennikarze oczywiście ją przyłapią. Wtedy powie im ze słodkim uśmiechem, że pan Mason wyszedł pół godziny temu i że tak wszystko urządził, żeby móc pracować bez przeszkód nad sprawą.

- Myślisz, że jej uwierzą? - spytał Drake.

- Do diabła, nie - uśmiechnął się Mason. - Przyjdą tutaj i zobaczą, że biuro jest zamknięte.

- Będą przekonani, że jesteś w środku.

- Na pewno, ale wpadną na świetny pomysł i pójdą do portiera, a kiedy sprzątaczkę się tu zjawia, żeby sprzątać, zlecą się jak sępy i będą węszyć po kątach. Nielegalnie, ale zrobią to. Będą chcieli mieć zdjęcia i wywiady.

Drake był pełen wątpliwości.

- Wtedy zrozumieją, że jesteś w moim biurze. I będą dalej pilnować.

- Damy im do zrozumienia, że wyszedłem przez suiterę.

- Jak?

- Tutaj znowu ty zadziałasz - mówił Mason, uśmiechając się. - Wyślesz ogromny kufer ciężarówką. Zajmiesz się tym ze szczególną troską i każesz zawieźć kufer, w którym mają się znajdować ważne dowody i materiały, do garażu w moim domu. Ta skrzynia musi być ciężka i mieć w wieku kilka otworów. Jakiś twój zaufany pracownik pojedzie do garażu, przyjmie przesyłkę i rozpakuje ją. Zanim dziennikarze tam dotrą, kufer będzie już pusty.

- Skąd wiesz, że tam pojedą?

- Kiedy zaczną podejrzewać, że wyszedłem z biura, będą się dopytywać portiera, czy mogłem wyjść bocznymi drzwiami. Ciebie też przyłapią i będą wypytywać, a także twoją urzędniczkę. Wygadasz się wtedy o kufrze.

- Nie bądź głupi - powiedział Drake. - Boczno go wyjścia pilnuje tajniak, fotoreporter i dziennikarz.

- To dobrze - powiedział Mason. - Zobaczą, że się wynosi kufer i zapamiętają to sobie.

- A co będzie, jeżeli nabiorą podejrzeń i zajrzą do środka?

- Jeżeli zajrzą, będziemy musieli wymyślić coś innego. Jeżeli nie, damy im do zrozumienia, że opuściłem budynek w kufrze.

- Wszystko to nie wyjdzie ci na dobre - powiedział z irytacją Drake. - Sam zakładasz sobie pętlę na szyję. Pomyśl tylko, co będą pisać w gazetach, kiedy... Tam do diabła, Perry, popełniasz samobójstwo. Ucieczka jest przyznaniem się do winy.

- Tak - zgodził się Mason.

- Myślę, że sam leziesz w ręce Traggowi. Nie możesz wiecznik mieszkać u mnie w biurze.

- Oczywiście, że nie - odparł Mason. - Musimy podejść do tego psychologicznie. Nikt nie pilnuje pustej stajni po wyprowadzeniu z niej konia.

- Della, idź i sprawdź korytarze. Daj mi znać, czy są puste.

Della Street kiwnęła głową, otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i po chwili wróciła.

- Nikogo nie ma, szefie - oznajmiła.

- Chodź, Paul - zaśmiał się Mason. - Masz gościa.

- No, dobrze - powiedział Drake zmęczonym głosem. - Idziemy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy znaleźli się w biurze Paula Drake'a, Mason usadowił się wygodnie na krześle stojącym przy ścianie, położył nogi na biurku Drake'a, w jedną rękę wziął filiżankę kawy, w drugą kanapkę.

Paul Drake usiadł za biurkiem, na którym stały trzy telefony i pogryzał kanapkę między jedną a drugą rozmową.

Kiedy jeden z telefonów zadzwonił, Drake przełknął szybko i podniósł słuchawkę. Po skończeniu rozmowy powiedział do Masona:

- Zdaje się, że ryba chwyciła haczyk, Perry.
- Co się stało? - zapytał Mason.
- Wysłanie kufra poruszyło dziennikarzy. Pognali zaraz całą gromadą jak sfora psów za ciężarówką, ale kiedy dotarli do twojego garażu, znaleźli kufer już pusty. Obejrzel go dokładnie i zobaczyli otwory w wieku. Teraz są niepokieszeni, a Tragg szaleje.

- A gdzie jest Goshen?

- Z ostatnich doniesień wynika, że czeka jeszcze przed budynkiem. On...

Telefon zadzwonił.

Paul Drake podniósł słuchawkę i powiedział:

- Słucham, Drake przy aparacie... Aha... Dobrze...

Powiem ci, co masz zrobić. Sprawdź, czy na pewno pojechał do domu. To może być pułapka. Mamy adres Goshena. Pojedź tam i obserwuj jego dom. Zobacz, czy rzeczywiście wrócił... Dobra, zadzwoń.

Drake odłożył słuchawkę.

- Goshen pojechał do domu.

- No, to udało się, Paul.

- To może być pułapka. Sprawdźmy, czy to prawda. Czekaj tu parę godzin i może być zły.

Znowu zadzwonił telefon. Drake odezwał się:

- Mówi Drake... Tak... Co do diabła!... Jesteś pewny?... To może być ważne. Poczekaj chwilę. Nie wychodź z budki i nie pozwól, żeby cię rozłączono. Czeka tam.

Drake przysłonił ręką mikrofon i przekazał Masonowi wiadomość, którą właśnie usłyszał.

- Znaleźli samochód Hollistera. Zjechał z pochyłości i rozbił się.

- A co z Hollisterem?

- Zniknął bez śladu. Samochód jest pusty.

- Gdzie jest ten wóz?

- Ponad dziesięć mil za Santa del Barra, na drodze Canyon. Z tego co mi mówili wynika, że ktoś celowo zepchnął wóz.

- Skąd wiesz, że celowo?

- Mój człowiek tak mówi. Rozmawiał z patrolami drogowymi. Znaleźli samochód godzinę temu. Silnik pracował na wolnych obrotach, kontakt był włączony.

- W jaki sposób na niego trafili?

- Policjant z patrolu drogowego zauważył słaby ślad opon. To cud, że w ogóle go zobaczył, bo był prawie zupełnie zatarty. Zauważył go w miejscu, gdzie droga jest szersza, a na poboczach są skały spadające do kanionu pionowo w dół jakieś trzydzieści metrów.

- Gdzie jest teraz twój człowiek? - spytał Mason.

- Telefonował z Santa del Barra.

- Każ mu zbadać ten wóz, jeżeli policja pozwoli. Chcę dokładnie wiedzieć, co w nim jest, a czego nie ma.

Drake powtórzył instrukcję czekającemu detektywowi, potem powiedział:

- Dobra, poczekaj chwilę, nie rozłączaj się.

Jeszcze raz przykrył ręką mikrofon i zwrócił się do Masona.

- Policja jedzie tam z dźwigiem. Dzwonili do

Tragga i to on kazał wyciągnąć wóz na drogę. Nie będzie to łatwe. Będą go musieli dosłownie wywindować na górę.

- Dobrze. Powiedz swojemu człowiekowi, żeby się tam kręcił przy policji.

Drake powtórzył do telefonu:

- Zostań tam z policją. Zbadaj wszystko, co się da i zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiesz.

Położył słuchawkę, mówiąc:

- Hollister nie odjechał daleko.

- Przejechał dziesięć mil, z czego pięć w kierunku gór. Czy to nie jest droga do Rushing Creek, Paul?

- Wielkie nieba, tak! - wykrzyknął Drake. - Czy to ma jakieś znaczenie, Perry?

Mason zaczął spacerować po pokoju.

- Do licha, Paul, szkoda, że nie masz większego biura.

- Nie mogę sobie na to pozwolić - odpowiedział Drake. - Tu jest tylko moja kwatery główna. Ja nie muszę robić wrażenia na klientach tak jak ty.

- Tak, tylko nie ma tu miejsca, żeby pospacerować - poskarżył się Mason. - Człowiek zrobi dwa kroki w tej dziurze i już wpada na ścianę. Do licha, jak ci się udaje coś tutaj przemyśleć?

- Ja myślę siedząc - odparł Drake.

- Pewnie, bo w tej ciasnocie nie możesz inaczej - odgryzł się Mason.

- A o czym teraz myślisz?

- O Goshenie.

- Powinieneś pozwolić mu się rozpoznać, a potem narobić krzyku, że to było ukartowane - powiedział Drake - Zrobi to wcześniej czy później i wtedy wyda się podejrzane, że uciekałeś.

Mason chodził po pokoju.

- Nie możesz się wywinąć - mówił Drake - ten facet cię zidentyfikuje.

- On nie widział dobrze twarzy tego mężczyzny - powiedział Mason.

- Tragg dopilnował, żeby się przyjrzał twojej.

- Kiedy wydostaną wóz Hollistera, Tragg będzie się starał coś znaleźć. Porucznik Tragg jest mózgiem Wydziału Zabójstw. Inni nie są tak inteligentni. Z drugiej strony Tragg gra uczciwie, podczas gdy inni skłonni są korzystać z każdej sposobności... Taki sierżant Holcomb wbiłby Traggowi z radością nóż w plecy przy pierwszej nadarzającej się okazji... Powiem ci, co zrobimy, Paul. Czy masz kogoś mojego wzrostu i postawy? Kogoś, komu można zaufać?

Drake spojrział uważnie na Masona i zapytał:

- Czy nie wpadnie w jakieś kłopoty?

- Nie, jeżeli zrobi dokładnie to, co mu powiem - odpowiedział Mason.

- Jest taki, nazywa się Jerry Lando. Jest mniej więcej twego wzrostu i twojej budowy.

- Ufasz mu?

- Można mu ufać we wszystkim. To cwaniak.

- Pamiętam, Paul, jak mnie pouczyłeś wiele razy, że aparat fotograficzny i lampa błyskowa pozwolą detektywowi dotrzeć tam, gdzie inaczej nigdy by się nie dostał.

- To prawda. Ile razy ktoś zobaczy faceta obładowanego sprzętem fotograficznym, bierze go za fotoreportera i o nic nie pyta.

- To znaczy, że masz pod ręką aparat fotograficzny?

- Tak.

- Dobrze. Jest mi potrzebny.

- Tobie?

- Tak. Poza tym zbierz paru dobrych fotografów.

Możesz takich znaleźć?

- Ilu chcesz?

- Pięciu lub sześciu.

- Jest taka wieczorowa szkoła dla fotografów prasowych. Mógłbym zatrudnić paru bardziej zaawansowanych.

- Dobra. I sprowadź tutaj tego Jerry Lando. Czy on ma samochód?

- Tak.

- Dobra - powtórzył Mason. - Pojedziemy jego samochodem. Powiedz mu, żeby wziął walizkę i daj mi ten jasnobrązowy płaszcz, który Della u ciebie zostawiła. Każ mu się pospieszyć. Będziemy musieli szybko działać, jeżeli ma się udać to, o czym myślę.

- A o czym myślisz? - zapytał Drake wykręcając numer telefonu.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - uśmiechnął się Mason.

- Do diabła, nie - odpowiedział szybko Drake, podnosząc słuchawkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jerry Lando był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o dobronumy wyrazie twarzy. Uważny obserwator dostrzegłby jednak błysk w jego ciemnych oczach, świadczący o tym, że ich właściciel na niejedno się w życiu ważył i że lepiej nie wchodzić mu w drogę. Po wejściu do biura Drake'a, Lando postawił walizkę na podłodze i powiedział:

- Jestem gotów, panie Drake. Na dole mam samochód, bak jest pełny. Dokąd mam jechać?

- Znasz pana Masona? Perry Masona, adwokata - zapytał Drake.

- Dzień dobry - powiedział Lando, podając Masonowi rękę. - Dużo o panu słyszałem i... dużo o panu czytałem - dodał z uśmiechem.

- Będzie pan miał jeszcze więcej do czytania - odpowiedział Mason. - Dostarczymy tematu jutrzejszym gazetom.

- Co mamy robić? - zapytał Lando.

- Pojedziemy do motelu. Musimy znaleźć taki, w którym domki będą rozmieszczone tak, jak chcę. Potem włoży pan ten płaszcz. Na razie zobaczymy, jak pan w nim wygląda.

Mason podał mu płaszcz. Lando wsunął ramiona w rękawy i wygładził materiał na ramionach.

- Zupełnie jak mój płaszcz - powiedział.

- Paul - zwrócił się Mason do Drake'a. - Sprowadź tych fotografów. Niech przyniosą ze sobą aparaty fotograficzne, lampy błyskowe, dużo żarówek. Kiedy możesz ich ściągnąć?

- Och, za godzinę.

- Daję ci pół godziny - powiedział Mason. - Zadzwoń do ciebie i powiem, co mają robić. Idziemy, Lando.

Lando podniósł walizkę.

Mason zarzucił na ramię pasek aparatu fotograficznego.

- Zlituj się, Perry - błagał Drake - nie mogę tych ludzi tu ściągnąć do pracy...

- Pół godziny to ostateczny termin - powtórzył Mason. - Chodź, Lando.

Ruszyli w kierunku drzwi.

Drake powiedział szybko do Jerry'ego Lando:

- Pamiętaj Jerry, pracujesz samodzielnie. Nie masz nic wspólnego z moim biurem. I nie daj się wciągnąć temu typowi w tarapaty.

- Jeżeli o mnie chodzi - odpowiedział Lando - to

kiedy jestem z panem Masonem, postępuję tak, jak mi radzi mój adwokat.

Koło windy spotkali nocnego portiera, który na widok Masona otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

- Ależ, myślałem... Mówili, że pan się wymknął.
- Nonsens - stwierdził Mason. - Pracowałem do późna.

- Ale... nie było pana w biurze.

- Oczywiście, że nie - potwierdził Mason. - Miałem konferencję z Paulem Drake'em.

- A niech mnie diabli - powiedział portier. - Gdyby pan widział, jak się kręcili koło tego kufra, który wysłałem. Zaraz im powiem...

- Niech pan im na razie nic nie mówi - poprosił Mason. - Niech sami odkryją swoją pomyłkę. W końcu nie jest pan odpowiedzialny za to, co oni wypisują w gazetach.

Mówiąc to Mason otworzył portfel, wyjął nowy banknot dziesięciodolarowy, zwinął go i wsunął uśmiechniętemu portierowi w rękę.

- Pana samochód stoi przed domem? - zapytał Mason.

- Tuż przed samym wejściem - odparł Lando.

- Dobra - powiedział Mason. - Przebiegniemy ten kawałek, bo ktoś może obserwować dom i wejście, chociaż nie sądzę, żeby ktokolwiek tu jeszcze był.

- Kiedy przyjechałem, nikogo nie było - powiedział Lando. - Wszyscy się zmyli.

- To dobrze.

Przeszli nie zaczepieni przez hall i wsiedli do samochodu.

- Dokąd jedziemy?

- Główną drogą na północ - polecił Mason - i proszę uważać na motele. Kiedy trafimy na odpowiedni, zatrzymamy się.

Przejechali parę mil, zanim Mason się odezwał:

- Ten tutaj jest taki, o jaki mi chodzi. I wisi tabliczka z napisem: „Wolne miejsca”. Myślę, że się zatrzymamy.

- Co mam wynająć?

- Dwupokojowy domek, jeśli mają, a jeżeli nie, może być jednopokojowy - odpowiedział Mason. - Tylko gdzieś na samym końcu. Proszę wpisać swoje nazwisko i powiedzieć, że jest pan z kolegą. Niech im pan też poda numer rejestracyjny swojego samochodu. Nic więcej nie będą chcieli. Rozumie pan?

- Tak - odparł Lando.

Lando nie wyłączając silnika, zatrzymał wóz przed domkiem z napisem „Biuro” i wysiadł.

Zjawił się z powrotem po paru minutach w towarzystwie krępej kobiety trzymającej klucz w ręku.

Lando dał znak Masonowi, który przesunął się na miejsce kierowcy i jechał wolno za nimi, dopóki kobieta nie zatrzymała się przed jednym z domków położonych z tyłu i nie otworzyła drzwi.

Kobieta i Lando weszli do środka, światła w domku zapaliły się i po chwili Lando ukazał się w drzwiach i skinął na Masona.

Po odejściu kobiety Mason wysiadł i obejrzał domek.

- W porządku? - zapytał Lando.

- W porządku - odparł Mason. - Zadzwońmy teraz do Paula Drake'a.

- Telefon jest w biurze.

- Nie musimy iść do biura - powiedział Mason. - Niedaleko stąd jest stacja benzynowa, więc i telefon. Pojedziemy tam.

- Dobrze - powiedział Lando. - Czy mam prowadzić?

- Tak. Niech pan jedzie, po drodze powiem panu, co ma pan robić.

Lando zostawił światła zapalone, zamknął drzwi domku na klucz i usiadł za kierownicą.

- Proszę zadzwonić do Paula Drake'a i podać mu adres. Niech przyśle tutaj swoich fotografów z całym ekwipunkiem - polecił Mason.

- Dobra.

- Potem - mówił dalej Mason - niech pan poczeka dziesięć minut i zadzwoni do komendy policji. Poprosi pan sierżanta Holcomba z Wydziału Zabójstw. Powie mu pan, że jest pan przedstawicielem „Blade” i że przekaże mu w zamian za ochronę i obietnicę niedawania wiadomości innym gazetom informację, dzięki której będzie mógł ubiec wszystkich w policji.

- A jeśli się nie zgodzi?

Mason odpowiedział z uśmiechem:

- Sierżant Holcomb obieca wszystko i każdemu, żeby tylko ubiec swoich kolegów.

- To co mam mu powiedzieć?

- Niech pan powie, że pańscy reporterzy wytropili Perry Masona w motelu. Da mu pan adres i numer domku i powie, że Mason sam się wprawdzie nie zameldował, ale że jest z przedstawicielem Agencji Detektywistycznej Drake'a, Jerrym Lando, który go tutaj przywiózł samochodem. Poda mu pan też numer wozu, markę i wszystkie dane. Niech przywiezie tutaj Goshena, a kiedy ten zidentyfikuje Masona, pana gazeta chce mieć pierwszeństwo w opublikowaniu tej wiadomości, jako nagrodę za dobrą i ciekawą informację.

- Dobrze - powiedział Lando. - Co jeszcze?

- Potem zadzwoni pan do wydawcy „Blade”. Powie mu pan, że może dostać dla niego wyłączną informację i że jeżeli coś z tego wyniknie, zgłosi się pan później po nagrodę. Niech mu pan powie, że Wydział Zabójstw wysła tu Goshena, żeby zidentyfikował Masona.

Lando popatrzył uważnie na Masona. Na twarzy prawnika widniał wyraz szczerości i pogody.

- Ten typ, Holcomb, zna pana?
- Oczywiście - odpowiedział Mason.
- Czy to nie popsuje wszystkiego?
- Holcomb marzy o rozgłosie. Zawsze stara się podkreślić, że udało mu się dowieść tego, czego Tragg nie mógł.

- Dalej nie wiem, o co panu chodzi - powiedział Lando.

- Holcomb wierzy w fakty i jest gotów je ustalić za wszelką cenę. Zmusi Goshena, żeby mnie zidentyfikował. Tragg nie posunąłby się tak daleko.

- I ja mam być świadkiem tego, co Holcomb powie, kiedy pana zobaczy?

- Kiedy Holcomb przyjedzie tutaj, nic nie zobaczy - odparł Mason.

- Co pan przez to rozumie?

- Czy próbował pan kiedyś patrzeć na coś w ciemności, jeśli oślepi pana przedtem tuzin lamp błyskowych i jupiterów?

- Niech mnie diabli - powiedział Lando spoglądając na Masona z podziwem. Poszedł do stacji benzynowej i zaczął telefonować.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Mason ubrany w czarny płaszcz Paula Drake'a wyszedł na spotkanie samochodu z fotografami, przekazał im dokładne instrukcje i powyznaczał miejsca niczym trener drużyny piłki nożnej objaśniający zagranie.

Od strony szosy doleciał zgrzyt hamulców, jakby jakiś samochód skręcił na drogę prowadzącą do motelu. Po długiej antenie i czerwonej lampie można było poznać, że jest to samochód policyjny.

- Przyjechali chłopcy - stwierdził Mason.

Kiedy wóz policyjny zatrzymał się, fotografowie otoczyli go. Błyski fleszy, jaskrawe światła lamp oślepiły kierowcę i pasażerów.

- Hej - warknął sierżant Holcomb - co wy wyprawiacie?

- Tylko zdjęcie dla prasy, poruczniku Tragg - powiedział jeden z ludzi.

- Nie jestem porucznikiem Traggiem. Nazywam się Holcomb. Zapiszcie dobrze nazwisko, H-o-l-c-o-m-b.

- Już zapisaliśmy - powiedział ktoś. - Jeszcze jedno zdjęcie, dobrze?

Znowu błysnęły lampy, oślepiając na chwilę sierżanta. Korzystając z tego Mason przysunął się bliżej trzymając w rękę Speed Graphic. Sierżant sięgnął do kontaktu, potem do tablicy rozdzielczej.

- Czy Mason jest tutaj naprawdę?

- Jest. Sprawdziliśmy w książce meldunkowej. Jest z nim pracownik Drake'a.

Oślepiający błysk fleszy rozdarł ciemności.

- Chwileczkę - zaprotestował Holcomb. - To nie jest czwarty lipca.

- Idzie - krzyknął jeden z ludzi. - Zobaczył błyski fleszy i wychodzi z ukrycia. Wie, że go znaleźliśmy!

- Idzie - powiedział Holcomb do Goshena.

Człowiek, który wybiegł z domku, ubrany był w jasno brązowy płaszcz i zasłaniał twarz kapeluszem. Biegł drogą w kierunku samochodu policyjnego.

Fotografowie ustawili się półkolem i zaczęli robić zdjęcia błyskając lampami.

Człowiek zawahał się, zatrzymał, nałożył kapelusz i poruszając się z godnością zawrócił w stronę domku.

Fotoreporterzy pobiegli za nim robiąc zdjęcia. Mason stał cały czas tuż obok samochodu policyjnego.

- Dobra - warknął Holcomb do mężczyzny siedzącego koło niego. - Widział go pan. To on, prawda?

Odpowiedzią było milczenie.

- No, co? - zapytał Holcomb.

- Tak, to on - powiedział Goshen.

Sierżant Holcomb zachichotał, włączył zapłon i wykręcił do tyłu.

- Mam nadzieję, że zdjęcia się udadzą - zawołał. - Do widzenia, chłopcy!

Kiedy wóz policyjny odjechał, Mason zwrócił się do fotografów:

- W porządku, chłopcy, pędźcie teraz wywołać te zdjęcia. Niech każdy zapamięta, które zdjęcia są jego, żebyśmy potem mogli się zorientować, co kto robił.

Mason patrzył za nimi kiedy odjeżdżali, potem wrócił do domku i uśmiechnął się do Jerry'ego Lando.

- Dobrze się spisałem? - spytał Lando.

- Dobrze - potwierdził Mason.

- Przez chwilę było dużo zamieszania. Te lampy zupełnie oślepiają.

- Zmienimy teraz płaszcze - powiedział Mason. - Ten czarny nie leży zbyt dobrze. Brązowy będzie wygodniejszy. Zaraz powinien tu być samochód z „Blade”... Zobaczymy, czy to ten.

Widać było światła reflektorów, kiedy samochód podjeżdżał boczną drogą do domku. Lando wyszedł na próg i wyjrzał. Odezwał się męski głos:

- Jesteśmy z „Blade”. Chcemy przeprowadzić wywiad z panem Masonem.

- O czym pan mówi? - zapytał Lando.
- Och, niech wejdą - powiedział Mason. - Należy im się wywiad, skoro mnie znaleźli. Nie możemy się wykręcać.

Dziennikarz i fotograf weszli do domku.

- Dzień dobry, panie Mason - powiedział dziennikarz.

- Dzień dobry - uśmiechnął się Mason.

- Pogonił pan gliny, co? Nieźle się nabiegali.

Fotograf podniósł aparat, lampa błysnęła.

- Pracuję nad pewną sprawą - wyjaśnił Mason. - Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie jestem, ale nie unikam policji. Prawdę mówiąc, byli tu może dziesięć minut temu. Chce pan zrobić jeszcze jedno zdjęcie? Był tu sierżant Holcomb z Goshenem.

Chcieli zrobić więcej zdjęć i poprosili Masona, żeby stanął w drzwiach.

- I niech pan wyjdzie przed dom - powiedział fotograf.

Stanął z przygotowanym aparatem. Mason otworzył drzwi i wyszedł z domku, zasłaniając część twarzy kapeluszem.

- Wspaniale - ucieszył się fotograf. - Wygląda to tak, jakby pan próbował zasłonić się przed zrobieniem zdjęcia, a ja zaszedłem z boku i udało mi się je zrobić.

- Może powie pan nam coś o sprawie, którą pan teraz prowadzi - zaproponował dziennikarz.

- Przykro mi, ale nie mam nic do powiedzenia.

Dziennikarz spojrział na zegarek.

- Wystarczy, Jack. Chodźmy wywołać te zdjęcia. Mówi pan, że to Holcomb tu był?

- Tak. Niech pan do niego zadzwoni, opowie panu szczegóły.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Następnego dnia około południa Mason siedział w biurze i pracował bez większego zainteresowania i entuzjazmu, kiedy dano mu znać, że przyszedł porucznik Tragg.

Wszedł do pokoju Masona razem z Gertie, która chciała go zapowiedzieć.

- Proszę mi wybaczyć, że wchodzę od razu, omijając poczekalnię - powiedział - ale ma pan zwyczaj wyślizgiwania się, znikania i ukrywania w kufrach...

Mason przerwał mu z irytacją, wskazując na stos gazet na biurku.

- Do diabła, Tragg, co spowodowało te plotki?

- „Blade” na pewno miało wiadomości z pierwszej ręki i wyprzedziło inne gazety - odpowiedział Tragg. - Dobrze się pan bawił tym wszystkim, co?

- Średnio.

- Wie pan o tym, że Goshen pana zidentyfikował?

- Naprawdę?

- Oczywiście. Widział pana biegnącego i chodzącego.

Tragg rozsiadł się wygodnie w krześle.

- Niech pan posłucha, Mason. Ma pan dużo do stracenia w tej grze. Nie może pan pozwolić, żeby ta zdradliwa mała suka wplątała pana w sytuację mogącą zrujnować pana zawodową karierę.

- Próbuję do tego nie dopuścić.

- No, to niech pan gra w otwarte karty.

- Już panu mówiłem, Tragg. Pan jest uczciwym graczem, ale w biurze prokuratora okręgowego są ludzie, którzy tylko marzą, żeby mnie na czymś przyłapać. Pójdą na wszystko, żeby podstawić mi nogę.

- Już pana przyłapali.

- Niech to udowodnią.

- Mogą pana zaskoczyć.
- Ja też ich mogę zaskoczyć. W jaki sposób sierżant Holcomb dowiedział się wczoraj, gdzie ma mnie szukać?
- Nie wiem - odparł Tragg. - Szczerze mówiąc miałem zamiar pana o to zapytać. Holcomb twierdzi, że doszedł do tego dzięki swojemu sprytowi i doskonałej pracy wywiadowczej. Ja myślę, że ktoś być może... być może - pan rozumie? - po prostu przekazał mu tę informację.
- „Blade” pierwsze podało tę wiadomość. Czy nie sądzi pan...
- Nie. Holcomb jest wściekły na „Blade”.
- Dlaczego?
- Bo nie opublikowali jego zdjęcia. Dali tylko zdjęcia pana udzielającego wywiadu w domku, już po odjeździe Holcoma i zdjęcie, na którym pan wychodzi próbując zasłonić się kapeluszem.
- Mogę sobie wyobrazić, co on czuje - powiedział Mason. - Tylko, że mnie wcale na tym nie zależy, żeby moje zdjęcia były w gazetach.
- Tragg uśmiechnął się.
- Ale jemu zależy.
- Naprawdę?
- Dobrze pan wie, że tak. Jeździł po całym mieście i kupował gazety dając do zrozumienia, że osiągnął sukces tam, gdzie ja nie mogłem.
- To on tak mówi.
- Tragg patrzył długo i badawczo na Perry Masona.
- Coś się nie zgadza w tej relacji Holcoma.
- Czy to takie niezwykle?
- Ja nie mówię o tym, co on opowiada o swojej żyłce detektywistycznej, ale o tym, co mówi o fotografach.
- O?
- Z tego, co Holcomb mówi, wynika, że tam aż się roilo od fotografów.

Mason zapalił papierosa.

- No cóż, sierżant Holcomb jest świetnym obserwatorem. Na pewno jego spostrzeżenia są trafne.

- Nie było za to w ogóle reporterów, Tylko fotografowie. To dziwne i zastanawiające.

Mason wypuścił dym w stronę sufitu.

- Co więcej, jeżeli tam było tylu fotografów, każda gazeta w mieście powinna zamieścić zdjęcia. A są tylko w „Blade”.

- Cały kłopot z sierżantem Holcombem polega na tym - zauważył Mason śledząc wzrokiem smużkę dymu unoszącą się z jego papierosa - że nagina fakty do swojej teorii. Nie wiem, czy pan to zauważył, poruczniku, ale sierżant Holcomb najpierw wymyśli jakąś teorię, a potem próbuje dopasować do niej fakty.

Tragg patrzył na Masona z namysłem. Wyjął cygaro z kieszeni, odgryzł koniuszek, zapalił i odezwał się:

- Żałuję, że nie mogę obiecać panu nietykalności w biurze prokuratora okręgowego.

- Wiem - odparł Mason.

- W sytuacji, która się wytworzyła, Lucille Barton zostanie oskarżona o morderstwo. Będą się śpieszyć z wstępnym przesłuchaniem, zostawiając resztę w zawieszeniu.

- Hm.

- Grotowi wciągnąć w tę zabawę innych - kontynuował Tragg. - Kiedy sytuacja wyjaśni się trochę, jak się spodziewają, w czasie wstępnego przesłuchania. Prawdopodobnie już pan wie, że chodzi im o pana.

- Sądziłem, że przyjdą po mnie rano - powiedział Mason. Myślałem nawet, że po to właśnie pan przyszedł. Porządkowałem swoje sprawy i...

- Zaszły pewne komplikujące wszystko okoliczności - uśmiechnął się Tragg.

- Jakie okoliczności?
- Na przykład samochód Hollistera.
- Nie ma śladu po Hollisterze?
- Do tej pory nie. Mieliśmy szczęście, że natrafiliśmy na ten samochód. Mógł tam leżeć nie zauważony parę miesięcy.
- Nie ma śladu po Dudleyu Gatesie?
- Dudley Gates słyszał, że go poszukujemy i zadzwonił do nas. Jest w Honolulu. Musiał wyjechać w interesach. Przedstawił nam fakty bezpośrednio i jasno, ale to pogłębia tylko tajemniczość zniknięcia Hollistera. Gates miał jechać z Hollisterem w poniedziałek po południu, ale w ostatniej chwili musiał zmienić plany. Mówi, że miał wyjechać z Hollisterem o szóstej, tymczasem po południu wypląnęła nagle ważna sprawa i zdecydował się polecieć do San Francisco, a stamtąd do Honolulu. Rzekomo powiadomił o tym przedtem Hollistera i Hollister połączył się z San Francisco i rozmawiał z nim telefonicznie około kwadransa po piątej. Sprawdziliśmy rozmowy telefoniczne Hollistera i stwierdziliśmy, że to prawda. Dzwonił na lotnisko w San Francisco i kazał wywołać Gatesa. Gates twierdzi, że Hollister powiedział mu wtedy, iż wyjeżdża z Santa del Barra w ciągu godziny.
- Bardzo ciekawe - stwierdził Mason.
- To wszystko zmienia. Może pan chyba spojrzeć na to z punktu widzenia prokuratora okręgowego.
- Czy wiadomo, co robił Hollister tego popołudnia?
- W poniedziałek o wpół do piątej, po wyjeździe gospodyni, Hollister miał gdzieś jechać. Jego samochód stał na podjeździe. Powiedział jej, że wyjedzie najpóźniej o szóstej. Nie mogliśmy stwierdzić, gdzie się potem obrać.
- Jak wygląda ta jego gospodyni?
- Nieźle. Ma około czterdziestki. Mówi, że kręcił

się koło Lucille, a ta go naciągała na meble, wschodnie dywany, stare sekretarzyki i wiele innych rzeczy.

- Nie lubi Lucille?

- Zdecydowanie nie.

Mason pokiwał głową.

- Jak mogłaby ją lubić. W którą stronę jechał samochód, kiedy zsunął się w dół, poruczniku?

- Trudno to odgadnąć ze śladów. W tym miejscu jest dość szeroko, dalej mamy nagły spadek. Ślady są prawie niewidoczne i niemal pod kątem prostym do drogi. Ale musiał jechać z Santa del Barra... Ktoś zrobił stary numer: jadąc na pierwszym biegu skierował wóz na krawędź drogi i wyciągnąwszy ssanie wyskoczył w biegu.

- Przeszukujecie oczywiście wszystkie stromizny i urwiska za tą pochyłością?

- Za pochyłością?

- Tak. Gdyby ktoś chciał się pozbyć czegoś z wozu przed rozbiciem samego wozu, poszukałby najpierw miejsca, w którym mógłby zostawić samochód, a potem pozbyłby się tego czegoś.

- A więc byłoby to przed pochyłością. Samochód musiał jechać z Santa del Barra.

- Oczywiście. Kierowca musiał najpierw znaleźć miejsce, w którym mógłby zostawić samochód.

Tragg myślał nad tym wszystkim.

- Ale jeżeli to było coś ciężkiego, musiałby się tego pozbyć, kiedy jeszcze miał samochód.

- Pójdę już. - Tragg podniósł się szybko.

- Może pan wpaść o każdej porze - powiedział Mason. Tragg uściśnął mu rękę.

- Dziękuję, wpadnę.

Po jego wyjściu Mason mrugnął do Delli poprzez chmurę dymu.

- Właściwie obiecałeś mi, że sierżant Holcomb pożałuje, że się tak chełpił tym zidentyfikowaniem ciebie, szefie.

- Odniosłaś takie wrażenie, Della?

- No, cóż... Tak.

- To Tragg musiał też tak to zrozumieć.

Della zmarszczyła czoło patrząc na Masona.

- On ciebie lubi, prawda? To znaczy osobiście, a nie oficjalnie.

- Myślę, że powinien - odparł Mason.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

W niedzielę, dziewiątego, Paul Drake zadzwonił koło południa do mieszkania Perry Masona, korzystając z zastrzeżonego numeru.

- Wiadomość dla ciebie, Perry.

- No? - zapytał Mason wyciągając się wygodnie w fotelu z odchylanym oparciem i podnosząc bliżej aparat. - Co to za wiadomość?

- Znaleźli ciało Hollistera.

- Gdzie?

- Około półtorej mili przed miejscem, w którym rzucono jego samochód.

- No, no - powiedział Mason. - To bardzo ciekawe.

- On również został zabity strzałem w głowę, ale z pistoletu automatycznego, kaliber 45.

- Śmierć nastąpiła natychmiast?

- Praktycznie tak.

- Gdzie leżało ciało?

- Zrzuciono je ze skarpy, a potem ktoś zszedł i stoczył ciało po stromiźnie, przykrył je trochę ziemią i czym tylko mógł. Skuteczny, choć bardzo pośpieszny pochówek.

- Posłuchaj, Paul. To ważne. Czy było coś niezwykłego w wyglądzie ciała, na przykład pozycja?

- Tak. Zostało owinięte w brezent i związane w ten sposób, że kolana były przyciśnięte do klatki piersiowej, głowa nachylona do przodu, a ramiona przywiązane do kolan.

- Czy wiadomo, kiedy to się stało?

- Zegarek Hollistera był rozbity i zatrzymał się o 5.55. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał 6.21. Policja przypuszcza, że jakiś autostopowicz zabił Hollistera, zjechał gdzieś na boczną drogę, przeszukał mu kieszenie i związał go w ten sposób, żeby móc go łatwiej zrzucić z nasypu. Dwadzieścia sześć minut później pozbył się samochodu. W kieszeniach Hollistera nie znaleziono nawet centa, a zwykle nosił ze sobą spore sumy. Policja jednak, pamiętając o jego powiązaniach z Lucille Barton, działa powoli i nie chce wyciągać wniosków zbyt pochopnie.

- To znaczy, że są w kropce?

- No, zaczynają wyświetlać sytuację. Przygotowują oskarżenie przeciw Lucille Barton o popełnienie morderstwa i starają się przyspieszyć wstępne przesłuchanie.

- To dobrze - powiedział Mason. - A jak im się udało znaleźć ciało, Paul?

- To zasługa Tragga. Podejrzał, że samochód został zrzucony przez kogoś, kto chciał ukryć ciało Hollistera i jechał z Santa del Barra, a potem zawrócił. Tragg był pewien, że morderca pozbył się ciała, a zanim to zrobił, musiał znaleźć na drodze miejsce na tyle szerokie, żeby móc zawrócić samochodem. Zaczął więc przeszukiwać

stromie zbocza, a specjalnie rozglądać się za miejscem, gdzie ziemia byłaby świeżo skopana. Znalazł to, czego szukał i zbiera teraz pochwały za dobrą robotę.

- Cieszę się, bo mu się to należy - powiedział Mason. - Nie wspomniał przypadkiem, skąd miał informacje?

- Nie, miał po prostu nosa.

- Rozumiem - stwierdził Mason. - Co jeszcze znaleźli oprócz ciała?

- Nic. Czy to nie wystarczy?

- Nie.

- O co ci chodzi?

- Jeżeli Hollister wyjeżdżał na parę dni, powinien był wziąć ze sobą jakiś...

- Pewnie myślisz o bagażu?

- Waśnie.

Drake nie odzywał się przez chwilę, potem powiedział:

- To ciekawe, Perry. Nie było żadnego bagażu.

- Dziękuję ci bardzo za telefon, Paul. Nie sądzę, by chcieli zaaresztować kogokolwiek przed wstępnym przesłuchaniem Lucille Barton. Zobaczysz, że się wszystko odmieni Paul.

- Niech nam Niebiosa pomogą, jeżeli się nie odmieni - powiedział zmęczonym głosem Drake odwieszając słuchawkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Perry Mason rozglądał się po sali sądu rozmawiając przyciszonym głosem z Paulem Drake i Dellą Street.

- Hamilton Burger, prokurator okręgowy, będzie osobiście zadawał pytania w czasie wstępnego przesłuchania - mówił. - To znaczy, że wzięt mnie na cel. On...

Drzwi wiodące do pokoju sędziowskiego otworzyły się, sędzia Osborn wszedł do sali i usiadł na swoim miejscu.

- Naród contra Lucille Barton - zapowiedział. - Dzisiaj odbędzie się wstępne przesłuchanie. Czy jesteście gotowi, panowie?

Hamilton Burger, ogromny, niezgrabny, pełen godności mężczyzna, przypominający wielkiego niedźwiedzia, wstał i zaczął mówić głosem obłudnie przymilnym, przyjmując postawę promieniującej bezstronności, która zwykle sprawiała duże wrażenie na przysięgłych.

- Wysoki Sądzie - zaczął - jesteśmy gotowi. Muszę przyznać otwarcie, że śmierć Hartwella L. Pitkina jest w pewnej mierze osłonięta tajemnicą, ale w toku wstępnego przesłuchania zamierzamy wykazać, że popełniono zbrodnię i że mamy dość powodów, aby wierzyć, iż zbrodnię tę popełniła oskarżona.

Wysoki Sądzie. Ufam, że dowody które przedstawimy, wyjaśnią pewne elementy tajemnicy i chciałbym dodać, że zanim sprawa zostanie zakończona, poprosimy prawdopodobnie o wydanie nakazu aresztowania przynajmniej jeszcze jednej osoby.

Tu Hamilton Burger zwrócił się znacząco w stronę Perry Masona.

- Wysoki Sądzie. Jesteśmy gotowi przystąpić do sprawy - powiedział Mason. - Prosimy tylko o umożliwienie nam zaznajomienia się z dowodami oskarżenia i przesłuchania świadków Narodu w ogniu krzyżowych pytań.

- Pragnę zauważyć - warknął Burger - że śledztwo w tej sprawie było utrudnione przez fakt, że adwokat oskarżonej działał od samego początku, nawet przed morderstwem Hartwella Pitkina.

- Proszę przedstawić dowody - powiedział Mason - i nie nastawiać nieprzychylnie sądu.

- Nie staram się nastawiać nieprzychylnie sądu - odwarknął Burger, kipiąc z wściekłości. - Próbuję tylko wyjaśnić Sądowi, że od początku natrafiliśmy na trudności. Świadkowie nasi nie mogli dokonać rozpoznania, dzięki taktyce zastosowanej przez obrońcę.

- Jakiej taktyce? - zapytał ze zdumieniem Mason.

- Po pierwsze: przez odmówienie wstania dla ułatwienia rozpoznania - powiedział Burger podnosząc głos tak, żeby go było słychać w całej sali. - A po drugie, Wysoki Sądzie: obrońca pozwolił sobie opuścić budynek, w którym mieści się jego biuro, w kufrze wyniesionym przez wyjście gospodarze, a wszystko to w celu udaremnienia prób...

- To nieprawda - zaprzeczył Mason pogodnie.

- Panowie, panowie - powiedział sędzia Osborn. - Nie miejsce ani czas dla takich rozmów. Panie prokuratorze okręgowy, jeżeli ma pan dowody, proszę je przedstawić.

- Nie ma żadnych dowodów i nie może ich zdobyć - stwierdził Mason.

- Niech pan nie mówi, że nie mam i nie mogę zdobyć - krzyknął Burger, a jego twarz nagle pociemniała. - Pokażę panu, czy mam, czy nie mam dowodów. Niech pan mi da tylko cień szansy, a udowodnię, że został pan wyniesiony w kufrze z budynku, w którym znajduje się pana biuro, żeby świadek o nazwisku Carl Evert Goshen nie mógł pana rozpoznać; że udał się pan później z obstawą do motelu Sleepwell, gdzie próbował pan się ukryć i gdzie świadek znalazł pana i rozpoznał ponad wszelką wątpliwość.

- Niech pan to udowodni - powiedział Mason.

- W chwili, kiedy spróbuję to udowodnić w tej sprawie, zacznie pan zgłaszać zastrzeżenia, że to nie

należy do sprawy - odparł pogardliwie Burger. - Dobrze pan wie, że mamy związane ręce.

- Jeżeli ma pan świadków, którzy mogą coś takiego udowodnić, nie będę zgłaszał żadnych sprzeciwów - powiedział Mason.

- Panowie, panowie - wtrącił się znowu sędzia Osborn. - Sąd też ma coś do powiedzenia w tej sprawie. Wszystkie terminy mamy zajęte. To jest tylko wstępne przesłuchanie i ...

- Jeżeli Wysoki Sąd pozwoli mi przyjąć propozycję obrony - powiedział Hamilton Burger - udowodnię, że ten czas nie będzie stracony, przeciwnie, będzie to - jak Wysoki Sąd się przekona - najważniejszy moment w całej sprawie. Rozbiję w puch fortele tego przebiegłego adwokata. Pokażę jego prawdziwe oblicze. Ja...

Sędzia Osborn zastukał młotkiem w stół.

- Panie prokuratorze okręgowy, proszę powstrzymać się od obraźliwych uwag osobistych.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie - powiedział Burger opanowując się z trudnością. - Taktyka, z jaką spotkałem się w tym przypadku, sprawiła, że straciłem trochę panowanie nad sobą. obrońca publicznie wysunął pewną propozycję. Nie sądzę, żeby zechciał ją podtrzymać, ale wolałbym...

- Proszę przedstawić dowody - przerwał mu sędzia Osborn. - Sąd nie ma czasu na sprawy uboczne, ale zna pan sąd na tyle, żeby wiedzieć, że z radością powita każdą legalną próbę wydobywania prawdy na światło dzienne.

- Bardzo dobrze - powiedział szyderczo Burger. - obrońca obiecał nie zgłaszać sprzeciwów. Przedstawię najpierw wstępny dowód - corpus delicti - wykazując, że Hartwell L. Pitkin pracował u Stephena Argyle'a jako lokaj i szofer; że piątego tego miesiąca został zastrzelony

z rewolweru Smith i Wesson numer S65088. Wzywam na świadka porucznika Tragg.

Tragg zajął miejsce świadków, powiedział, że pracuje w policji w Wydziale Zabójstw, że piątego tego miesiąca wezwano go do garażu na tyłach domu przy South Gondola numer 719 i że znalazł tam ciało Hartwella L. Pitkina.

Następnie opisał ciało, jego położenie i zrelacjonował, co uczyniono.

- Obok prawej ręki zabitego leżał rewolwer? - zapytał Burger.

- Tak- potwierdził Tragg. – To był Smith i Wesson 38, numer S65088. Próbowano zetrzeć z niego wszystkie numery, ale ktoś przeoczył jeden. W magazynku tkwiło pięć naboji i jedna łuska.

- Czy to ten rewolwer? - spytał Burger pokazując mu broń.

- Tak, to ten.

- Wysoki Sadzie, proszę o zapisanie tego rewolweru do rozpoznania.

- Dobrze, będzie zapisany.

- Mówi pan, poruczniku, że znaleziono ten rewolwer koło ciała?

- Tak, ale badanie parafinowe wykazało, że denat nie użył tej broni. Poza tym z rany w głowie wypłynęło dużo krwi. Znaleźliśmy rewolwer leżący w kałuży krwi. Ślady krwi znaleziono tylko z jednej strony rewolweru, tej, która dotykała podłogi. Ręce denata były opryskane krwią, rewolwer nie. Nie znaleźliśmy też żadnych odcisków palców na zewnętrznej stronie.

- A na wewnętrznej? - zapytał Burger.

- Na wewnętrznej tak. I jak następnie stwierdzono, był to odcisk wskazującego palca mężczyzny.

- Jakiego mężczyzny? - spytał Burger.

- Perry Masona - odpowiedział Tragg.
- Czy ma pan tutaj te odciski palców?
- Tak.
- Wysoki Sądzie - mówił Burger przeprasząc - być może jest to niewłaściwy sposób przedstawiania dowodu. Powiniennem pokazać najpierw fotografię odcisku palca znalezionej na rewolwerze, a potem fotografię odcisku palca pana Masona i porównać je, ale ponieważ nie ma mowy o rozpoznawaniu odcisku i wobec...
 - Nie zgłaszam sprzeciwu, panie prokuratorze okręgowy - przerwał mu Mason. - Proszę bardzo, niech pan robi tak, jak pan uważa.
 - Dziękuję - powiedział sarkastycznie Burger. - Poruczniku Tragg, jeżeli ma pan fotografie tych odcisków, dołączymy je do dowodów. Dowód rzeczowy A: odcisk palca zdjęty z wewnętrznej strony rewolweru. Dowód rzeczowy B: odcisk prawego wskazującego palca pana Masona. Czy może pan opisać okoliczności, w jakich zdobył pan odcisk palca pana Masona?
 - To było w czwartek, szóstego. Udałem się do biura pana Masona z panem Goshenem...
 - Jakie jest jego pełne nazwisko?
 - Carl Evert Goshen.
 - Rozmawiał pan z panem Masonem?
 - Panie prokuratorze okręgowy, czy nie uważa pan, że to zupełnie nie należy do sprawy? - zapytał sędziego Osborn.
 - Uważam, że to ma coś wspólnego ze sprawą. Pan Mason nie zgłasza sprzeciwu.
 - Rozumiem stanowisko pana Masona. Nie mam jednak ochoty słuchać o nie związanych ze sprawą i opartych na pogłoskach dowodach.
 - To nie są pogłoski. To dotyczy sedna sprawy.
 - Tak? To proszę dalej przesłuchiwać.

- Pan Goshen był wtedy z panem - mówił Burger. - Kto jeszcze?
- Oskarżona, Lucille Barton, pan Artur Colson, który, jak wszystko na to wskazuje, był zainteresowany kupnem broni, i policjant w cywilu.
- Pan Mason zgodził się dać odcisk swego palca?
- Tak.
- Jak wyjaśnił to, że odcisk jego palca znalazł się na rewolwerze?
- Przyznał, że korzystał z klucza przysłanego pocztą, żeby wejść do mieszkania Lucille Barton w dniu morderstwa...
- Panowie, panowie - przerwał sędzia Osborn. - Pomimo braku sprzeciwu ze strony obrońcy, uważam, że...
- Ale przyznał się do tego, że widział ten rewolwer w mieszkaniu oskarżonej - powiedział Burger.
- Jakiś rewolwer - poprawił go Mason.
- Rewolwer podobny do tego - odparował Burger. - To na pewno ma znaczenie i jest istotne w tej sprawie.
- Tak, sędzę, że tak - przyznał mu rację sędzia Osborn.
- Proszę mówić dalej.
- Powiedziałem wtedy panu Masonowi - mówił Tragg - że pan Goshen jest świadkiem, który zauważył w czasie, gdy popełniono morderstwo, dwoje ludzi koło garażu, w którym znaleziono ciało. W jednej z tych osób Goshen rozpoznał oskarżoną. Towarzyszył jej mężczyzna podobny z opisu do pana Masona. Poprosiłem pana Masona o powstanie, żeby pan Goshen mógł zobaczyć, czy on był tym, którego widział koło garażu, ale pan Mason odmówił.
- Chce pan powiedzieć, że odmówił wstania - odezwał się z emfazą Burger nadając głosowi ton niedowierzania. - Chce pan powiedzieć, że pan Mason, prawnik i

adwokat, nie zgodził się wstać, żeby pozwolić świadkowi zobaczyć, czy to on był tym, który towarzyszył...

- Uważam, że pytanie to jest retoryczne i w rzeczywistości padła już na nie odpowiedź - przerwał mu sędzia Osborn. - Sąd chce utrzymać to przesłuchanie w granicach prawa. To jest doprawdy szczególna sytuacja, kiedy obrońca odmawia sobie prawa do sprzeciwu.

Tu sędzia Osborn spojrzał na Masona z dezaprobatą.

- Wysoki Sądzie - powiedział Mason - nie ulega wątpliwości, że prokurator okręgowy przygotowuje atak na moją reputację poprzez insynuacje i różne aluzje. Wie on oczywiście, że na sali znajdują się przedstawiciele prasy. Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że prowokując moje sprzeciwy, chce on wywołać wrażenie, że walczę o ukrycie prawdziwych faktów. Wobec tego zostawiam mu wolną rękę. Jeżeli wie o jakichś faktach, niech je poda.

- Po zastanowieniu rozumiem i doceniam pana stanowisko, panie Mason. Sąd jednak nie może stać się miejscem denerwujących wycieczek osobistych - stwierdził sędzia Osborn.

- Wysoki Sądzie, to nie są wycieczki osobiste - zaprotestował Hamilton Burger. - Prowadzi to do samego sedna sprawy.

- No, to niech się pan dobierze do tego sedna - powiedział sędzia Osborn niecierpliwie.

- No więc, czy próbował pan następnie umożliwić panu Goshenowi rozpoznanie pana Masona?

- Oczywiście.

- Co pan robił w tym kierunku?

- Czekaliśmy w samochodzie przed wejściem budynku, w którym znajduje się biuro pana Masona. Pan Goshen był ze mną. Współpracowałem z reporterami, którzy obstawili wyjście gospodarcze i mieli mi zasygnalizować, gdyby pan Mason próbował wyjść tamtędy.

- A co zrobił pan Mason?
- Tragg uśmiechnął się i powiedział:
- Kazał się wynieść w kufrze przez wyjście gospodarcze jako towar.
- Przez salę przeleciał szmer rozbawienia.
- Czy pan Goshen rozpoznał następnie pana Masona?
- Nie było mnie przy tym, kiedy to uczynił - odpowiedział Tragg. - Był tam jeden z moich współpracowników, sierżant Holcomb.
 - Krzyżowy ogień pytań - powiedział Burger.
 - Skąd pan wie, że zostałem wyniesiony z budynku w kufrze, poruczniku? - zapytał z uśmiechem Mason.
 - Być może to tylko plotki - powiedział szybko Tragg. - Prawdę mówiąc, wiem o tym tylko z gazet i z tego, co mi mówiono. Ja sam nie widziałem pana opuszczającego budynek w kufrze. Gdybym widział... - przerwał i uśmiechnął się.
 - Czy rozmawiał pan z kimś, kto mnie widział w kufrze, poruczniku?
 - Nie.
 - Czy ma pan powody wierzyć, że byłem wewnątrz kufra?
 - Tak.
 - Dlaczego pan tak myśli?
 - Tylko w ten sposób mógł się pan wydostać nie zauważony z budynku.
 - Pozwolę sobie na sprostowanie, poruczniku. Może pan nie wie o tym, że tamtego wieczora byłem w biurze Paula Drake'a i wyszedłem od niego dawno po wysłaniu kufra. Gdyby porozmawiał pan z nocnym portierem, dowiedziałby się pan, że wyszedłem z biura i zjechałem razem z nim windą w towarzystwie jednego z ludzi Drake'a, pana Jerry'ego Lando, który, nawiasem mówiąc, jest tutaj i może odpowiadać na pytania.

Na twarzy Tragga pojawiło się zdziwienie.

- Chce pan powiedzieć...

- Mówię dokładnie to, co mam powiedzieć, poruczniku. Może porozmawia pan z panem Lando, zanim rzuci pan przeciw mnie oskarżenie oparte na pogłoskach. A teraz dziękuję panu, poruczniku. Nie mam więcej pytań.

Tragg i Burger wymienili spojrzenia. Tragg opuścił miejsce świadków i kiedy znalazł się pośrodku sali, odwrócił się i zapytał:

- Gdzie jest ten Jerry Lando?

- Tutaj - odpowiedział Lando wstając.

- Mniejsza o to - odezwał się Burger pokrywając zakłopotanie wojowniczością. - Poproszę sierżanta Holcomba o zajęcie miejsca świadków i wyjaśnimy tę sprawę. Bardzo szybko.

Sierżant Holcomb podszedł dużymi krokami, podniósł rękę, złożył przysięgę i z zadowolonym, wyczekującym uśmiechem zasiadł na krześle świadków.

Hamilton Burger zadał parę wstępnych pytań o nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania, zawód i następnie przeszedł do dowodów sprawy.

- Sierżancie - zapytał - gdzie pan był wieczorem szóstego tego miesiąca? To był czwartek, pamięta pan?

- Pamiętam - uśmiechnął się sierżant Holcomb. - Znalazłem Perry Masona w motelu „Sleepwell” i pojechałem tam ze świadkiem Goshenem. Pojechaliliśmy, aby dokonać rozpoznania. I dokonaliśmy.

Sierżant Holcomb uśmiechnął się z zadowoleniem, myśląc o wydarzeniach tamtego wieczora.

- Co się wydarzyło w pana obecności, kiedy pan tam się znalazł? - pytał Burger.

- Wyruszyliśmy do motelu i wiadomość o tym musiała przedostać się do prasy, bo kiedy przyjechaliliśmy, pełno tam było fotoreporterów z gazet. Kiedy podjeżdżaliśmy,

zaczęli nam robić zdjęcia. Nie zdążyłem im powiedzieć, żeby tego nie robili.

- A co się potem stało?

- Kiedy zaczęły błyskać flesze, Mason, który był w domku numer sześć, widocznie w towarzystwie tego Jerry'ego Lando, który zresztą wpisał się do książki meldunkowej... Więc Mason wybiegł i ujrawszy fotoreporterów zasłonił twarz kapeluszem, żeby przeszkodzić im w zrobieniu mu zdjęcia, ale oni zaczęli i tak strzelać fleszami. Widząc, że wpadł w pułapkę, odwrócił się i poszedł z powrotem do domku.

- Czy poszedł pan za nim?

- Nie.

- Dlaczego nie?

Sierżant Holcomb uśmiechnął się i powiedział:

- Bo to nie było potrzebne. Osiągnąłem to, co chciałem. Świadek Goshen, który był ze mną i widział Masona wybiegającego z domku i idącego z powrotem, ocenił wzrost i budowę Masona i rozpoznał go definitywnie jako człowieka, którego widział koło garażu w czasie, kiedy popełniono morderstwo. Oskarżoną Lucille Barton rozpoznał już wcześniej.

- Sposób przedstawienia dowodu jest sprzeczny z prawem - warknął sędzia Osborn. - Świadek Goshen powinien mówić za siebie.

- Będzie mówił - obiecał Hamilton Burger. - Ja tylko przyjmuję wyzwanie Masona i przedstawiam dowody, o których mówiłem. Proszę Wysoki Sąd o zwrócenie uwagi na to, że zajęło mi to zaledwie dwadzieścia minut.

- Bardzo dobrze - powiedział sędzia Osborn. - Jest to oczywiście niezwykle i niespotykane, że obrońca nie zgłasza sprzeciwu wobec tych wszystkich, opartych wyłącznie na pogłoskach, dowodów.

- Wysoki Sądzie, to nie są pogłoski - zaprzeczył

sierzant Holcomb. - Byłem przy tym, jak Goshen rozpoznał Masona. Słyszałem, co mówił.

- Właśnie to nazywam pogłoskami - powiedział sędzia Osborn. - Nie wie pan, czy ten mężczyzna koło garażu był rzeczywiście Perry Masonem. Wie pan tylko to, co mówi świadek. Świadek powinien mówić za siebie.

- Będzie mówił, proszę Wysokiego Sądu - wtrącił szybko Burger. - Wezwę go zaraz po sierżancie.

- No to proszę skończyć przesłuchiwanie tego świadka - powiedział sędzia Osborn.

- Już skończyłem - oświadczył Burger triumfalnie.

Sierzant Holcomb podniósł się ze swego miejsca.

- Jeszcze chwileczkę - odezwał się Mason. - Chciałbym zadać świadkowi parę pytań w związku z tym rozpoznanie mnie w motelu „Sleepwell”. Sierżancie, zna mnie pan od dość dawna?

- Tak.

- Rozpoznał mnie pan, kiedy wybiegałem z domku i zawołał pan w obecności Goshena: „Oto on. To Mason” albo coś podobnego.

- Nie musiałem nic mówić. Rozpoznał pana od razu, kiedy pan wybiegł.

- Może nie pomyślał pan, żeby tak powiedzieć, ale wyrwały się panu takie słowa.

- Może i tak.

- Mężczyzna, który wybiegł, zasłaniał twarz kapeluszem?

- Pan zasłaniał sobie twarz kapeluszem, usiłując przeszkodzić fotoreporterom w zrobieniu zdjęć.

- Potem ten mężczyzna odwrócił się i poszedł do domku?

- Tak, dokładnie tak pan postąpił.

- Jak daleko odbiegł ten mężczyzna od domku, zanim zdecydował się zawrócić?

- Nie więcej niż dwanaście, piętnaście metrów.
 - I było tam kilku fotoreporterów?
 - Tak.
 - Skąd pan wie, że to byli fotoreporterzy?
 - No... ja...
 - To znaczy, przyjął pan, że to byli fotoreporterzy.
- Holcomb odpowiedział ze złością i sarkazmem:
- Tak. Jestem tylko głupim policjantem i kiedy gazeta daje mi informację, kiedy widzę paru facetów z aparatami fotograficznymi, z lampami błyskowymi, fleszami i czym pan tylko chce, wierzę od razu, że to dziennikarze. Kto by pomyślał!
 - Ach, więc dostał pan informację z gazety?
 - Mam swoje źródła.
 - Jak się pan dowiedział o moim przyjeździe do motelu „Sleepwell”?
 - Mały ptaszek powiedział mi o tym - zaśmiał się Holcomb.
 - I kiedy pan tam przyjechał, było już pół tuzina fotoreporterów?
 - Tak.
 - Któryś z nich zrobił panu zdjęcie?
 - Tak.
 - Czy zapamiętał pan któregoś z nich? Poznałby ich pan, gdyby znowu pan ich zobaczył?
 - No, nie wiem - odpowiedział Holcomb. - Ja...
 - Jeżeli może pan rozpoznać człowieka wybiegającego z domku, dlaczego nie mógłby pan rozpoznać któregoś z fotoreporterów?
 - Prawdę mówiąc nie jest to takie łatwe, kiedy błyski fleszy rażą w oczy. Ja...
 - A więc flesze oślepiły pana - zauważył Mason.
 - Ale nie tak, żebym nie mógł pana rozpoznać - krzyknął sierżant Holcomb.

- Rozumiem - powiedział Mason z uśmiechem. - Lampy błyskowe oślepiły pana tak, że nie mógłby pan rozpoznać kogoś innego, ale nie tak, żeby nie mógł pan mnie rozpoznać.

- Nie powiedziałem tego.

- A więc jak wyglądali ci fotoreporterzy? Może ich pan opisać?

- Niektórych tak.

- No, to proszę.

- Tuż obok mnie - mówił sierżant Holcomb - stał fotoreporter, który podszedł bliżej i pierwszy zrobił mi zdjęcie. Miał na sobie czarny płaszcz.

- Ile mógł mieć lat?

- Nie przyglądałem mu się tak, żebym mógł powiedzieć, ile miał lat. Ale był dość młody.

- Jakiego wzrostu?

- O, dość wysoki... może tak wysoki jak pan.

- Jak zbudowany?

Holcomb przyjrzał się uważnie Masonowi.

- Mniej więcej tak, jak pan.

- Rozmawiał pan z nim?

- Nie. Mówiłem już, że patrzyłem na pana, kiedy wybiegł pan z domku. Biegł pan prosto na mnie zakrywając twarz kapeluszem przed światłem reflektorów samochodowych i zachowywał się pan jak pokątny adwokat zaplątany w sieć swoich własnych intryg i...

- Dość tego - krzyknął sędzia Osborn, waląc młotkiem w stół. - Sierżancie Holcomb, dobrze pan wie, że tak nie można.

Sierżant Holcomb powiedział ze złością:

- Kiedy on próbuje mi wmówić, że go nie mogłem zobaczyć.

- Wszystko jedno. Te wycieczki osobiste są niepożądane. Kiedy zeznaje pan w sądzie, sierżancie, niech się

pan ograniczy do odpowiadania na pytania. W przeciwnym razie będę musiał ukarać pana grzywną. Zrozumiał pan?

- Tak - odparł ponuro sierżant Holcomb.

- A więc, jak pan mówi, ten człowiek, który stał obok, zrobił panu zdjęcie, kiedy pan przyjechał? - zapytał Mason.

- Tak.

- Co pan wtedy robił? Pamięta pan?

- Pamiętam dokładnie - powiedział sierżant Holcomb. - Nachyliłem się do przodu i wyłączyłem zapłon i światła tablicy, żeby Goshen mógł lepiej widzieć... To znaczy, żeby nic nie świeciło mu w oczy, kiedy patrzył przez szybę.

- Pokażę panu fotografię, sierżancie. Proszę mi powiedzieć, czy została zrobiona przez fotoreportera stojącego blisko samochodu. Jak pan widzi, jest na niej świadek Goshen, siedzi obok pana, a pan pochyła się do przodu...

- To jest to zdjęcie - stwierdził sierżant Holcomb. - Zrobił je właśnie w tym momencie.

- Tylko jeden raz nachylił się pan do przodu? Wtedy kiedy wyłączał pan zapłon i światła tablicy?

- Tak. Zdjęcie zrobił fotograf, który stał obok mnie.

- Błysk flesza nie oślepił pana?

- Nie. Mam dobre oczy. Jestem przyzwyczajony do jazdy samochodem w nocy i światła reflektorów nie przeszkadzają mi. Patrzą poza blask i... nie, proszę pana, te błyski fleszy wcale mi nie przeszkadzały. Widziałem wszystko, co się działo.

- W tym samym czasie - powiedział Mason - przed samochodem stał drugi fotograf, który robił zdjęcie przez szybę, czy tak?

- Tak, ale nie uda się panu mnie zmieszać, mówiąc,

że flesze nas oślepiły, bo to nieprawda.

- Ależ nie - zaprotestował Mason - wcale tak nie mówię. Próbuję tylko ustalić porządek, w jakim zrobiono te zdjęcia. Tu jest jeszcze jedno, pokazujące pana, jak się pan nachyla do przodu w samochodzie. Musiało być zrobione tuż przed albo tuż po tym, jak fotograf stojący z lewej strony wykonał swoje zdjęcie. To jednak jest zrobione z przodu, przez szybę.

- Tak - potwierdził sierżant Holcomb. - To jest to zdjęcie.

- Na tym zdjęciu widać pana, świadka Goshena i fotografa, który zrobił pierwsze zdjęcie. Zgadza się?

- Tak.

- Dobrze - powiedział Mason. - Zapiszemy te zdjęcia do rozpoznania jako dowód obrony numer jeden i dwa.

Urzędnik zapisał fotografie.

- W tym samym czasie inni fotografowie robili zdjęcia tego człowieka, który wybiegł z domku? - zapytał Mason.

- Wtedy jeszcze nie wybiegł pan - odpowiedział sierżant Holcomb. - Nie złapie mnie pan, panie Mason. Kiedy przyjechałem, wszyscy fotoreporterzy otoczyli samochód i robili nam zdjęcia. Błyski fleszy zaniepokoiły pana i wtedy wyszedł pan z kryjówki, zupełnie jak królik wyskakujący z ukrycia. Zobaczywszy nas i fotoreporterów odwrócił się pan i uciekł do domku. Ale zanim pan to zrobił, Goshen miał dużo czasu, żeby pana rozpoznać.

- Kiedy ten człowiek wybiegł, fotografowie zrobili mu zdjęcia?

- Tak, zrobili panu zdjęcia.

- Zastaniał twarz kapeluszem?

- Tak, pan zastaniał sobie twarz kapeluszem.

- A teraz - mówił Mason - pokażę panu zdjęcie, które chcę zapisać do rozpoznania jako dowód obrony numer

trzy. Jest na nim człowiek wybiegający z domku i zasłaniający twarz kapeluszem.

- Tak, to jest to zdjęcie - stwierdził sierżant Holcomb. - To dobre zdjęcie. Widać na nim, jak pan biegnie zasłaniając twarz kapeluszem.

- Właśnie - powiedział Mason. - Damy to jako dowód obrony numer trzy... Teraz pokażę panu dowód obrony do rozpoznania numer cztery. Sierżancie, proszę zwrócić uwagę, że na tym zdjęciu widać biegnącego mężczyznę trochę z boku. Jest również na nim fotograf, który zrobił zdjęcie numer trzy.

Holcomb przyglądał się przez chwilę fotografii, wreszcie powiedział:

- Tak. Zdaje się, że to zdjęcie zostało tak zrobione. Tak.

- Ale widzi pan, sierżancie, zdjęcie numer cztery zostało zrobione z boku i rysy tego człowieka widać lepiej niż na zdjęciu numer trzy.

- Tak, lepiej - zgodził się Holcomb.

- Pokażę panu teraz fotografię, którą przedstawię jako dowód numer pięć. Widać na niej biegnącego człowieka trzymającego kapelusz przed twarzą i fotografów, którzy zrobili zdjęcie trzy i cztery.

- Tak - powiedział mechanicznie sierżant Holcomb.

- Na pewno tak?

- Na pewno.

- Niech się pan lepiej przyjrzy temu zdjęciu - powiedział Mason. - Widać na nim dobrze profil tego mężczyzny. Czy uważa pan, że to jest moje zdjęcie, sierżancie?

Sierżant Holcomb chwycił nagle fotografię i powiedział:

- Zaraz, niech wezmę okulary.

Sięgnął do kieszeni, nałożył okulary i zaczął się przyglądać zdjęciu. Po chwili odezwał się.

- Nie, to nie jest pan. To znowu jakieś oszustwo! To jest inny mężczyzna!

- Właśnie - potwierdził Mason. - Jeżeli spojrzysz teraz na fotografię numer dwa i na człowieka stojącego z aparatem fotograficznym obok pańskiego samochodu - właśnie tego, który zrobił zdjęcie numer jeden, w momencie kiedy pan się nachylał do przodu - będzie pan mógł rozpoznać tego człowieka.

- Chwileczkę, chwileczkę - wtrącił się Hamilton Burger. - Chcę zobaczyć te zdjęcia. Co się tutaj dzieje?

- Proszę podejść i obejrzyć je - zaprosił go Mason.

Sierżant Holcomb przyglądający się fotografiom odezwał się nagle.

- Coś tu nie gra. To jest fałszywa fotografia.

Mason uśmiechnął się.

- Dlaczego pan tak uważa, sierżancie?

- Bo to nie było tak. To jeszcze jedno pana oszustwo.

- Niech się pan lepiej wstrzyma z oskarżeniami, sierżancie - ostrzegł Mason. - W tej sali jest sześciu godnych zaufania świadków, którzy mogą poświadczyć, co się wydarzyło w „Sleepwell”. Czy widzi pan na tej fotografii coś, co by wskazywało, że jest fałszywa?

- Nie znam się na fotografiach tak dobrze, żeby móc coś powiedzieć - odparł Holcomb.

- No, to dlaczego pan mówi, że jest fałszywa?

- Bo to nie było tak.

- Właśnie było tak - stwierdził Mason. - A teraz chciałbym panu przypomnieć, sierżancie, że zeznaje pan pod przysięgą. Kiedy przyjechał pan do tego domku, obiegli pana fotoreporterzy i zaczęli robić zdjęcia, tak było?

- Już panu mówiłem, że tak.

- Pamiętaj pan o przysiędze, sierżancie. Czy nie stało się tak, że błyski fleszy pana oślepiły i nie widział pan

wyraźnie, a szczególnie nie widział pan w ciemnościach tego, co się działo obok samochodu?

- Mówię panu, że nie patrzyłem na boki. Patrzyłem na ten domek, bo właśnie drzwi się otworzyły i... i...

- Niech pan mówi, sierżancie - powiedział z uśmiechem Mason, ale proszę pamiętać, że zeznaje pan pod przysięgą i że sześciu wiarygodnych świadków może poświadczyć, co się działo.

- A więc drzwi się otworzyły i ten biegnący człowiek wyszedł - mówił nieskładnie Holcomb.

- Zasłaniając twarz kapeluszem?

- Tak.

- Nie mógł więc pan zobaczyć jego twarzy?

- Ja...

- Widział pan czy nie widział jego twarzy? - nalegał Mason.

- Nie, nie widziałem jego twarzy.

- A więc w jaki sposób może pan wiedzieć, kto to był?

- Myślałem... Poruszał się tak jak pan... Dostałem informację, że Perry Mason ukrywa się w tym domku i...

- Właśnie - przerwał mu Mason. - Spodziewał się pan, że to ja wybiegnę. Wobec tego, kiedy ten ktoś wybiegł i zachowywał się tak, jak ja się powinienem według pana zachowywać...

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw - przerwał Hamilton Burger. - Uwaga obrońcy jest niewłaściwa, nieistotna i nie ma nic wspólnego ze sprawą. Nie jest to badanie prowadzone właściwie.

- No, no, posłuchajmy, kto teraz zgłasza sprzeciwy! - uśmiechnął się Mason

- Myślę, że te fotografie mówią same za siebie - zauważył sędzia Osborn.

- Za pozwoleniem - powiedział Burger. - Chciałbym zwrócić uwagę Sądu, że jest to jawnie nieuczciwe

wykorzystanie świadka. Jest to jeszcze jedno oszustwo typowe dla obrońcy. Jest to...

- Oczywiście, że jest to oszustwo. Ale ten rodzaj oszustwa nie spieszy uczciwego świadka. Prawdę mówiąc oczy sierżanta Holcomba zostały oślepienie błyskami lamp tak, jak się tego spodziewałem. Nie jest on jednak dość szczerzy albo uczciwy, żeby to przyznać. Ale ponieważ siedzi tu, na ławie świadków, i zeznaje pod przysięgą, więc albo będzie mówił prawdę, albo będzie oskarżony o krzywoprzysięstwo. Jest tutaj sześciu świadków, którzy robili te zdjęcia i są gotowi je rozpoznać. Chcę, żeby sierżant Holcomb tutaj, w tej chwili, w ogniu krzyżowych pytań, powiedział, czy ja byłem tym wybiegającym z domku, czy tym, który stał z lewej strony, w odległości czterech kroków od niego, z aparatem fotograficznym skierowanym w jego stronę i robił zdjęcia. Co pan powie, sierżancie?

Na twarzy Holcomba pojawiła się konsternacja.

- Wysoki Sądzie - powiedział Burger. - To nieuczciwe pytanie. To...

- Oddalam sprzeciw - warknął sędzia Osborn. - Niech świadek odpowie na pytanie.

- Co pan powie, sierżancie? - spytał Mason, uśmiechając się wesoło do zmieszanego policjanta. - I niech pan pamięta, że fotografowie i zrobione przez nich fotografie mogą podważyć fałszywe zeznania.

- Nie wiem - wymamrotał sierżant Holcomb.

- Dziękuję, sierżancie, to wystarczy. Panie prokuratorze okręgowy, zapowiedział pan jako drugiego świadka pana Goshena. Niech więc pan go wezwie. Posłuchajmy, co pan Goshen ma do powiedzenia.

Hamilton Burger zwrócił się do sędziego:

- Wysoki Sądzie, nie podobają mi się te wycieczki osobiste...

- obrońca przypomina tylko pańską obietnicę - powiedział sędzieja Osborn, powściągając uśmiech. - Muszę przyznać, że zachowuje się bardziej dramatycznie niż sytuacja tego wymaga, ale... proszę przedstawić świadka, panie Burger.

- Chciałbym prosić Wysoki Sąd o pięciominutową przerwę - powiedział Hamilton Burger. - Muszę się narodzić z kolegą. Ta sytuacja mnie zaskoczyła.

- Wysoki Sądzie, proszę wziąć pod uwagę, że oskarżyciel wielokrotnie obiecywał przedstawić świadka Goshena. Chcę, żeby świadek został przedstawiony teraz, zanim zostanie pouczony, co ma mówić - odparował Mason.

- Czuję się dotknięty wypowiedzią obrońcy - stwierdził Burger. - Nie mam zamiaru pouczać świadka. On tego nie potrzebuje.

- No, to niech go pan przedstawi - rzucił wyzwanie Mason.

- Prosiłem o pięciominutową przerwę.

- Sprzeciwiam się - powiedział Mason.

- Sąd odrzuca prośbę - zarządził sędzieja Osborn. - Sąd nie widzi powodu do ogłoszenia teraz przerwy.

- Bardzo dobrze. Niech podejdzie teraz świadek Roscoe R. Hansom.

- Zdawało mi się, że miał pan teraz wezwać Goshena - powiedział Mason.

- Nie muszę słuchać ani pańskich, ani czyichkolwiek pouczeń w tej sprawie. Mogę ją prowadzić tak, jak mi się podoba! - krzyknął Burger.

- Niedawno, panie prokuratorze okręgowy, rzucał pan wyzwania pod moim adresem. Teraz ja rzucę panu wyzwanie. Proszę wezwać pana Goshena teraz, jak pan obiecał, zanim będzie pan miał okazję omówić z nim nową sytuację.

Hamilton Burger powiedział ponuro:

- Prosiłem, żeby podszedł tu pan Roscoe R. Hansom.

Mason uśmiechnął się.

Sędzia Osborn zacisnął wargi w wąską, cienką linię.

Hansom przedstawił się jako właściciel Rushing Creek Mercantile Company, opowiedział o sprzedaniu rewolwera i opisał wygląd jego nabywcy. Pokazał rejestr broni, a w nim podpis człowieka, który kupił rewolwer. Była to ta sama broń, którą uprzednio zapisano do rozpoznania i przyjęto jako dowód rzeczowy C.

- Czy spotkał pan później tego człowieka? - zapytał Burger.

- Tak.

- Kto to był?

- Nazywa się Artur Colson. Spotkałem go u pana w biurze, szóstego rano.

- Niech pan zadaje pytania - warknął Burger.

- Nie ma żadnych pytań - powiedział Mason pogodnie. - Może wezwie pan teraz pana Goshena?

- Wysoki Sądzie - zwrócił się Burger do sędziego Osborna. - Jest co najmniej oburzające to ustawiczne nękanie mnie przez obrońcę.

- Sam pan to wywołał - odparł sędzia Osborn.

- Niemniej czuję, że postępowanie to nie jest właściwe - zwrócił uwagę Burger.

- Nie jest właściwe - przyznał sędzia. - Mogę jednak powiedzieć panu tylko tyle, panie prokuratorze: może pan kluczyć, jeżeli pan chce. Ma pan pełne prawo prowadzić sprawę tak, jak pan uważa za właściwe. Ale kiedy dochodzi do wyjawienia zamiarów, pana dowód będzie przedstawiony do uznania sądowi. Zrozumiałem, że chodzi tu o rozpoznanie oskarżonej przez świadka Goshena. I to jest ważne w tej sprawie, bardzo ważne.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Obiecał - pan, więcej, groził pan, śmiem nawet twierdzić, że przechwalał się pan, że powoła pan tego świadka, żeby udowodnił pewne stwierdzenie pańskiej mowy wygłoszonej do sądu na początku rozprawy. Powiem panu bez ogródek, co myślę, ale sam pan to sprowokował. Nie urodziłem się wczoraj i wiem, że jeżeli będzie pan zwlekał i kluczył aż do czasu, kiedy sąd ogłosi przerwę, ma pan w tym jakiś cel. Sąd uważa, że taka taktyka bardzo osłabi wartość zeznań świadka Goshena. Mówię, co myślę. To nie jest sąd przysięgłych, tylko wstępne przesłuchanie. Jest to sprawa podlegająca całkowicie uznaniu Sądu i tak też ją Sąd traktuje. A teraz proszę prowadzić przesłuchanie.

Hamilton Burger odchrząknął, przez chwilę stał niezdecydowany i wreszcie wymamrotał:

- Proszę Carla Everta Goshena.

Goshen podszedł do miejsca dla świadków i po wstępnych pytaniach powiedział, że mieszka obok domu numer 719 przy South Gondola. Zapamiętał wieczór piątego tego miesiąca szczególnie dobrze, bo zirytował go samochód hałasujący na ulicy. Eksplozje wskazywały na to, że jest coś nie w porządku z rozdzielaczem lub gaźnikiem.

- Co pan wtedy zrobił? - zapytał Burger.

- Otworzyłem okno z zamiarem powiedzenia tym ludziom, żeby wyłączyli silnik albo coś z nim zrobili - odpowiedział Goshen.

- Zrobił pan to?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ właśnie wtedy wyłączyli silnik.

- Widział pan samochód i tych ludzi?

- Tak.

- Jak daleko byli od pana?

- Po drugiej stronie alejki prowadzącej do garaży. To mogło być jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów.

- Czy postacie były oświetlone?

- Światła samochodu były włączone i mogłem widzieć, jak się poruszali. Zaglądali do garażu, widziałem ich plecy i zauważyłem, jak byli ubrani.

- Może pan opisać tych ludzi?

- Tak. Jedną z tych osób była Lucille Barton, oskarżona w tej sprawie. Miała na sobie płaszcz w kratę i czarny kapelusz z małym czerwonym piórkiem. Kapelusz był z tych przylegających do głowy, włożyła go na bakier, na prawą stronę. Była tak samo ubrana, kiedy policja mi ją pokazała.

- A jej towarzysz?

- No cóż - powiedział zakładając nogę na nogę i głaszcząc się po łysinie - niech mi pan da czas do namysłu.

Publiczność wybuchnęła śmiechem. Hamilton Burger zmarszczył brwi.

- Ma pan przecież parę oczu, a nie wie pan, co pan widział?

Goshen podrapał się w głowę.

- Mam również parę uszu, więc wiem, co przed chwilą usłyszałem.

Nawet sędzia Osborn przyłączył się do śmiechu, którym rozbrzmiewała sądowa sala.

Kiedy sala się uspokoiła, Burger poprosił ponurym głosem:

- Niech pan opowie najdokładniej, co pan widział.

- Zobaczyłem wysokiego, barczystego mężczyznę. Jego twarzy nie widziałem ani razu. Ze sposobu w jaki się poruszał, wywnioskowałem, że jest młody, to znaczy może nie był młody, ale takie sprawiał wrażenie. Miał długie nogi, chodził zamasyście. Nosił jasnobrązowy płaszcz i szary kapelusz.

- Czy spotkał pan potem tego człowieka? Może go pan rozpoznać?
- Nie jestem tego teraz pewny - odpowiedział Goshen z wahaniem, gładząc się cały czas po głowie.
- Publiczność zaczęła chichotać i sędzia Osborn musiał przywrócić porządek.
- Ale może pan z całą pewnością rozpoznać oskarżoną? - zapytał Hamilton Burger.
- Kwestionuję pytanie jako naprowadzające, podsuwające odpowiedź, przyjmujące fakt, na który nie ma dowodów i wkładające słowa w usta świadka - zaprotestował Mason.
- Sąd podtrzymuje sprzeciw.
- Wie pan na pewno, jak była ubrana? - spytał Burger.
- Tak.
- Czy może pan coś powiedzieć o jej wzroście, wieku i postawie?
- Tak.
- Czy osoba ta była podobna do oskarżonej?
- Tak.
- A ten mężczyzna? Czy z wzrostu przypomina panu kogoś, na kogo pan teraz patrzy?
- Zgłaszam sprzeciw. Pytanie jest naprowadzające i podsuwające odpowiedź.
- Sąd podtrzymuje sprzeciw.
- Jak może pan opisać tego człowieka?
- Zgłaszam sprzeciw. Świadek odpowiedział już na to pytanie.
- Sąd podtrzymuje sprzeciw.
- Niech pan przesłuchuje świadka - warknął z rozdrażnieniem Hamilton Burger.
- Zdawało się panu, że widział pan potem tego człowieka, prawda? - zapytał Mason.
- Naprawdę mi się tak zdawało, panie Mason. Tak.

To było dokładnie tak, jak to sierżant Holcomb opisał.

- Innymi słowy, mężczyzna, którego pan widział koło garażu tamtego wieczora, był tego samego wzrostu i budowy, a także był podobnie ubrany jak ten, którego pan zobaczył w motelu?

- Tak.

- Ale nigdy pan nie widział twarzy tego mężczyzny?

- Nie.

- Kiedy widział go pan koło garażu, stał zawsze tyłem do pana?

- Tak.

- Czyli wie pan tylko tyle, że widział pan wysokiego mężczyznę w jasnobrązowym płaszczu i szarym kapeluszu?

- Tak.

- I jakikolwiek mężczyzna o podobnej budowie i podobnie ubrany, wyglądałby dla pana tak samo jak ten, którego pan wtedy zobaczył?

- No, ja... nie, nie uważam tak. Prawdopodobnie mógłbym go rozpoznać.

- I rozpoznał go pan, prawda? - powiedział Mason.

- Co pan ma na myśli?

- Słyszał pan, jak sierżant zeznał, że wskazał pan na mężczyznę wybiegającego z domku.

- Musiałem się wtedy omylić - przyznał Goshen.

Był zakłopotany i głośno przetykał ślinę.

- Dlaczego pan uważa, że się pan omylił?

- Ten człowiek musiał być podstawiony...

- Dlaczego pan uważa, że się pan pomylił?

- Do licha, panie Mason... Udowodnił pan przecież przed chwilą, że to nie był pan.

- Innymi słowy - mówił Mason - powiedziano panu, że mężczyzna, którego pan widział koło garażu, to nikt inny, tylko Perry Mason.

- Tak myślała policja.
 - Powiedziano tak panu?
 - Tak.
 - I kiedy zobaczył pan tego mężczyznę wybiegającego z domku, powiedział pan do sierżanta Holcomba: „To on”. Tak było?
 - Tak.
 - I widział pan tego człowieka, jak biegł w świetle reflektorów w kierunku samochodu i potem odwrócił się i biegł w stronę domku?
 - Tak.
 - Widział go pan tak wyraźnie, jak tamtego człowieka po drugiej stronie alei, na którego pan patrzył?
 - No... prawdę mówiąc, te reflektory i lampy błyskowe ze wszystkich stron, świecące wprost w oczy, sprawiały, że wszystko wydawało mi się jakieś ciemne, nie mogłem patrzeć.
 - Ale widział pan tego człowieka na tyle, dobrze, że chciał go pan rozpoznać?
 - Tak.
 - I rozpoznał go pan?
 - Tak.
 - A teraz myśli pan, że się pomylił.
 - Musiałem się pomylić.
 - Ponieważ człowiek ten nie był jednak tym, którego, jak policja panu powiedziała, widział pan koło garażu, prawda?
 - No... cóż... nie wiem, jak to powiedzieć, panie Mason, ale podejrzewam, że wpadłem w pułapkę i... przyciąłem sobie palce - dodał żałośnie.
- Nawet sędzia Osborn się uśmiechnął.
- A ta kobieta, którą pan widział po drugiej stronie alejki, była z mężczyzną?
 - Tak.

- Widział ją pan w tym samym miejscu i czasie co mężczyznę?
- Tak.
- W tych samych warunkach?
- Tak.
- Jeżeli nie może pan rozpoznać mężczyzny, w jaki sposób chce pan rozpoznać kobietę?
- Mógłbym rozpoznać tego mężczyznę, gdybym nie popełnił omyłki.
- Rozpoznał pan jakiegoś mężczyznę?
- Tak.
- A teraz myśli pan, że to nie ten mężczyzna?
- Tak, to musiał być ktoś inny.
- Widział pan tę kobietę koło garażu w tych samych warunkach?
- Tak.
- Dziękuję - powiedział Mason. - To wszystko.
- A teraz - powiedział sędzia Osborn patrząc surowo na Hamiltona Burgera - Sąd ogłasza dziesięciominutową przerwę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Kiedy sędzia Osborn opuścił salę sądową, Lucille Barton zwróciła się do Perry Masona, położyła mu dłoń na przegubie i ścisnęła tak mocno, że aż skórka rękawiczki napięła się na kostkach palców.

- Był pan wspaniały, panie Mason - szepnęła.
- To tylko pierwsza runda, Lucille - powiedział Mason. - Podważyliśmy zeznania świadka dotyczące mojej identyfikacji, ale niech pani nie zapomina, że panią

rozpoznał i zostanie to przyjęte, jeżeli nie znajdziemy jakiegoś sposobu wykazania, że pani tam nie było.

- To prawda - przyznała szeptem.

- Co więcej - mówił Mason - Pitkina zastrzelono z rewolweru, który pani dostała od Artura Colsona. Nawiasem mówiąc, Ross Hollister został również zamordowany i pani dostała polisę ubezpieczeniową na jego życie wartości dwudziestu tysięcy dolarów.

- Ależ, panie Mason! Czy pan nie rozumie? Kochałam Rossa. Jego śmierć to wielki cios dla mnie. Mieliśmy się pobrać. Przedstawiał sobą wszystko, czego kobieta pragnie: bezpieczeństwo, uczucie, dom.

- Chyba, że byłaby zakochana w Arturze Colsonie, który pouczyłby ją, jak można zdobyć dwadzieścia tysięcy dolarów od towarzystwa ubezpieczeniowego, aby potem wyjść za niego.

- Niech się pan nie wygłupia, panie Mason! Był pan taki miły, a teraz mówi pan jak prokurator okręgowy.

- Jeszcze go pani nie zna - stwierdził Mason. - Jeszcze pani usłyszysz, jak on potrafi mówić. Nie powiedziała mi pani, dlaczego nie posłuchała mojej rady i nie zawiadomiła policji po odnalezieniu ciała w garażu, kiedy miała pani jeszcze ten rewolwer w torebce.

- Panie Mason, nie mogę, po prostu nie mogę. Nie mam prawa tego nikomu powiedzieć.

- Dobrze - stwierdził Mason. - Mogę tutaj wychodzić ze skóry, ale jest pani oskarżona o morderstwo i jeżeli nie opowie pani przekonującej historii sędziom, to będzie pani skazana za morderstwo.

- Panie Mason, pan mnie nie może z tego wyciągnąć?

- Jeżeli się nie dowiem, co się stało, to obawiam się, że nie.

- Inne kobiety zabijają i wychodzą z tego obronną ręką. Prawnicy...

- Wiem - przerwał jej Mason - ale pani jest w innej sytuacji. Colson zaczął kierować tym wszystkim i zamordowano dwóch ludzi. Rewolwer, z którego zastrzelono jednego z nich, był w pani posiadaniu przed i po popełnieniu obu morderstw. Nie przyjdzie pani łatwo wytłumaczyć, że nie miała go pani, kiedy to się stało.

- Panie Mason, to nie Colson kierował, jak pan to nazywa, tym wszystkim.

- Nie? - zapytał Mason sceptycznie. - Nigdy nie powiedział ani nie zrobił niczego, co przekonałoby mnie o jego szczerości.

- On po prostu chce być przy mnie, panie Mason - powiedziała impulsywnie. - Musi pan w to uwierzyć. Musi pan to zrozumieć.

Mason uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie zna pan tego, kto tym pokierował.

- Kto to jest?

- Willard Barton - wygadała się i przestraszona przykryła usta dłonią. - Ach! Powiedziałam za dużo. Byłby wściekły, gdyby się o tym dowiedział.

Mason przyglądał się jej cynicznie, zimnym wzrokiem.

- Czy to było udane? - zapytał.

- Co?

- Wymknęcie się tej informacji.

- Nie... Żałuję, że się wygadałam.

- Jest pani cholernie sprytną młodą kobietą. Nie wiem, jaką pułapkę zastawia pani teraz na mnie, ale nie dam się złapać.

- Nigdy nie udowodnię, że ten rewolwer należał do mnie, jeżeli pan im tego nie powie.

- Skąd ta pewność?

- Artur Colson tak mi powiedział.

- Ten marzycielski głupiec - zachnął się ze złością.

- On jest sprytny, panie Mason. I bardzo inteligentny.

- Zgadzam się - powiedział Mason z sarkazmem.
 - On mówi, że nigdy nie pozwoli im wysledzić, w jaki sposób ten rewolwer znalazł się w moim posiadaniu.
 - Była pani zaręczona z Hollisterem - powiedział Mason. - Miał wyjechać w interesach w poniedziałek wieczorem. Wiedziała pani o tym i spędziła pani ten wieczór z Arturem Colsonem. Nie podoba mi się ta historyjka. Sędziom również się nie spodoba.
 - Ale to jest prawda. Artur jest dla mnie jak brat.
 - Czy Hollister znał Artura Colsona?
 - Nie. Nigdy się nie spotkali.
 - Nie podoba mi się udział Artura w tej sprawie - stwierdził Mason.
 - Niech pan tylko poczeka - powiedziała z dumą. - On...
 - Co? - przynaglił ją Mason. - Co on zrobi?
 - Nic.
- Mason przyglądał jej się uważnie przez chwilę, wreszcie powiedział:
- Na rewolwerze jest odcisk mojego palca. Będzie pani musiała w końcu wytłumaczyć, skąd się wziął.
- Uśmiechnęła się przebiegle.
- Artur Colson mówił mi coś o tym. Niech się pan nie boi. Wytłumaczę to.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kiedy sąd zebrał się ponownie, Hamilton Burger, jeszcze czerwony i zły, ale opanowany, powiedział:

- Wprowadzić świadka Willarda Bartona.

Lucille Barton, siedząca obok Masona, szepnęła:

- Nie, nie. Niech mu pan na to nie pozwoli.

Mason odwrócił się od niechcienia i powiedział:

- Niech się pani uśmiecha.

W jej oczach widać było przerażenie, wargi jej drżały.

- Proszę się uśmiechnąć - rozkazał. - Patrz na panią.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Willard Barton, wypielęgnowany, topornie zbudowany mężczyzna z grzywą czarnych falujących włosów, kontrastujących ze stalowoszarymi oczami, zasiadł na miejscu świadków z miną poważnego biznesmena, dając swoim zachowaniem do zrozumienia, że przywykł raczej do rozkazywania niż do słuchania i że nie jest dla niego czymś nowym być ośrodkiem zainteresowania i uwagi.

Oстрыm, mocnym głosem podał Sądowi imię, nazwisko, adres i określił swój zawód jako „inwestor pól ropo- nośnych”, potem spojrział na Lucille po raz pierwszy, od- kąd znalazł się na miejscu świadków. Było to szybkie, oceniające spojrzenie, pozbawione jakiegokolwiek uczu- cia. Następnie zwrócił się w kierunku Hamiltona Burgera czekając na dalsze pytania.

- Ma pan to samo nazwisko, co oskarżona?

- Ona nosi moje nazwisko, proszę pana.

- Był pan kiedyś jej mężem?

- Tak.

- Potem się pan rozwiódł?

- Tak.

- Kiedy nastąpił rozwód?

- Około osiemnastu miesięcy temu.

- Wyrok jest prawomocny?

- Tak.

- Płaci pan alimenty?

- Tak.

- Czy spotkał się pan z nią piątego tego miesiąca wieczorem?

- Tak.

- O której godzinie?

- Około wpół do siódmej, może trochę później.

- Gdzie?

- Byłem w Klubie Broadway Athletic. Zadzwoiła do mnie i zapytała, czy mogę się z nią spotkać. Powiedziałem jej, że spotkam się z nią w hallu, ale ostrzegłem ją, że jeżeli będzie próbowała robić sceny...

- Zgłaszam sprzeciw - przerwał mu Mason. - To nie wnosi niczego do pytania, które zostało zadane i na które już odpowiedziano.

- Bardzo dobrze - powiedział z irytacją Burger.

- Spotkał się pan z nią w hallu klubu?

- Tak.

- Kto był przy tym?

- Byliśmy sami. Tylko Lucille i ja.

- Co panu powiedziała?

- Powiedziała, że stało się coś strasznego i że musi wyjechać z kraju. Zapytała, czy mógłbym dać jej piętnaście tysięcy dolarów gotówką w zamian za zrzeczenie się wszelkich roszczeń do alimentów i zwolnienie od zobowiązań.

- Pan płacił jej alimenty?

- Tak.

- Ile?

- Dwieście dolarów tygodniowo.

- Czy powiedziała panu, dlaczego chce wyjechać z kraju?

- Tak.

- Dlaczego?

- Powiedziała, że w jej garażu znaleziono ciało mężczyzny. W końcu przyznała, że było to ciało jej

pierwszego męża i wyjawienie tego faktu przekreśli jej życiowe plany.

- Co pan jej powiedział?

- Staralem się oczywiście zmniejszyć sumę, jaką wymieniał. Powiedziałem jej, że nie mogę zebrać takiej sumy gotówką i że będę musiał przedstawić jej propozycję swoim adwokatom, żeby się dowiedzieć, czy w obecnych okolicznościach takie zrzeczenie będzie miało moc prawną. Powiedziałem jej, że nie podoba mi się ten pomysł i że żąda zbyt wiele.

- Czy przyjęła pana odpowiedź jako ostateczną?

- Nie. Powiedziała mi, że muszę działać szybko, bo chce dostać odpowiedź do północy. Miała zadzwonić do mnie przed tym terminem, ponieważ zamierzała odlecieć jeszcze tej nocy. W końcu zgodziła się na dziesięć tysięcy gotówką.

- Czy zadzwoniła później do pana?

- Nie. Widziałem się z moimi adwokatami i poczyniłem przygotowania dla przyjęcia jej propozycji. Podjąłem dziesięć tysięcy dolarów i miałem akt zrzeczenia się gotowy do podpisu, ale nie skontaktowała się ze mną.

- I nikogo z nią nie było, kiedy się pan z nią spotkał?

- Nie.

- Czy zna pan kobietę o nazwisku Anita Jordan?

- Spotkałem ją kiedyś.

- Czy była z oskarżoną w czasie tej rozmowy?

- Nie. Oskarżona była sama.

- Proszę, niech pan pyta - powiedział Burger wyzywająco.

- Płaci jej pan alimenty w wysokości dwustu dolarów tygodniowo? - zapytał Mason.

- Tak.

- I myśli pan, że Sąd uwierzy w pana wahanie, kiedy zaproponowała panu zrzeczenie się takich alimentów

w zamian za piętnaście tysięcy dolarów?

- No... nie, chciałem tylko, żeby myślała, że się waham.

- To znaczy, powiedział jej pan, że się pan waha, czy tak?

- Chciałem wywołać takie wrażenie... Tak.

- Ale w rzeczywistości chciał pan przeprowadzić zamianę?

- Oczywiście.

- Tylko, jako doświadczony człowiek interesu, udawał pan, że to pana nie interesuje.

- Tak.

- I powiedział jej pan, że nie wie, czy to się panu opłaci?

- To prawda.

- Innymi słowy, okłamał ją pan.

Barton zaczerwienił się.

- Wysoki Sądzie - zerwał się Burger ze swego miejsca. - Zgłaszam sprzeciw. Stwierdzenie jest obraźliwe dla świadka.

- Och, jeśli się panu nie podoba sposób, w jaki się wyraziłem, mogę użyć innego słowa dla określenia tej samej sytuacji. Mówiąc inaczej, powiedział pan żonie nieprawdę, kiedy pan z nią rozmawiał. Czy tak?

W oczach Bartona pojawił się błysk gniewu.

- Zgłaszam sprzeciw z tego samego powodu - powiedział Burger.

- Może pan odpowiedzieć tak lub nie - podsumował Mason.

Barton patrzył na niego z wściekłością.

- Pytam - powtórzył Mason - czy powiedział pan żonie nieprawdę? Może pan powiedzieć krótko: tak lub nie.

- Ale o czym mam mówić?

- O pańskiej chęci zrobienia takiej zamiany.
- Uważam, że to nie ma związku ze sprawą.
- Ja uważam, że ma - powiedział Mason.
- A ja uważam, że nie ma - oświadczył Hamilton Burger. - I dlatego protestuję. To nie jest właściwe badanie świadka.
- Oddalam sprzeciw - powiedział sędzia Osborn.
- Powiedział jej pan nieprawdę? - zapytał Mason.
- Tak! - krzyknął ze złością Barton.
- Od jak dawna pan zna Pitkina?
- Spotykałem go, ale nie wiedziałem, kim jest. To znaczy nie miałem pojęcia, że był kiedyś mężem Lucille. Kiedy dowiedziałem się o tym, doznałem wstrząsu.
- Ale widział pan Pitkina?
- Wiedziałem, że był szoferem Argyle'a. Pan Argyle jest członkiem klubu, do którego należę. Do klubu przychodzi wielu nafciarzy.
- Ponieważ interesował się pan spekulacjami naftowymi, podobnie jak Argyle, Ross P. Hollister, Dudley Gates i inni członkowie klubu, musieliście dość dużo wiedzieć o sobie?
- Nie, proszę pana. Argyle, Hollister i Gates byli współnikami. Interesowali się pewnymi dzierżawami. Ja natomiast interesowałem się czymś innym, mimo że ogólnie rzecz biorąc byliśmy w tej samej branży. Nie chciałem, żeby się dowiedzieli, co robię, podobnie jak oni nie chcieli, żebym wiedział, o tym, co oni robią. Kiedy spotykaliśmy się, rozmawialiśmy i niekiedy dyskutowaliśmy o ogólnych warunkach, ale nie mieliśmy wiele wspólnego.
- Czy rozmawiał pan kiedykolwiek z Pitkinem?
- Owszem, ale w sprawach czysto osobistych.
- Próbował się pan dowiedzieć od niego, co robili ci trzej?

Burger krzyknął gniewnie:

- Wysoki Sądzie, to już drugie obraźliwe pytanie! Całkowicie niezastużone.

- Czy ma pan jakieś dowody potwierdzające ten zarzut, panie Mason? - zapytał sędzia Osborn.

- Nie mam, Wysoki Sądzie - odparł gładko Mason. - To pytanie to tylko próba wyłowienia prawdy.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział sędzia Osborn. - Ale może go pan zapytać, o czym rozmawiał z Pitkinem.

- Dlaczego rozmawiał pan z Pitkinem? I o czym?

Barton, rozgniewany na dobre, odparł:

- Chciałem zatrudnić dorywczo szofera. Dowiedziałem się o pewnym stowarzyszeniu będącym czymś w rodzaju biura pracy i specjalizującym się w tych sprawach. Zapytałem o to Pitkina, wiedząc że jest szoferem Argyle'a. Widziałem go któregoś dnia, jak czekał przed klubem. Zapytałem, czy wie coś o tym stowarzyszeniu.

- I wiedział?

- Tak. Podał mi adres. Nazywa się to Biuro Wymiany Szoferów, numer telefonu można znaleźć w książce telefonicznej. Zapisują się tam szoferzy, którzy chcieliby dorobić w wolne dni. Zdaje się, że jest to zorganizowane na zasadach spółdzielni. Członkowie pracują w różnych godzinach i prawie zawsze można tam wynająć szofera na parę godzin lub na cały dzień.

- Czy pan Pitkin należał do tego stowarzyszenia?

- Nie wiem. Mówił, że należał. Czwartki miał zawsze wolne, a w środy kończył pracę o szóstej. Z powrotem, musiał się stawić do pracy w piątek rano. Powiedział mi, że chętnie będzie u mnie pracował w wolne dni, a jeżeli będę potrzebował szofera kiedy indziej, mogę skorzystać z usług stowarzyszenia.

- Nie ma pan już żadnych uczuć dla oskarżonej, to jest swojej byłej żony? - zapytał Mason.

- Bardzo lubię Lucille, na swój sposób oczywiście.
- I chcąc okazać się sprytnym poradził jej pan, żeby nic nikomu nie mówiąc podrzuciła rewolwer koło ciała po to, aby zasugerować samobójstwo?
- To nieprawda. Nie ma pan dowodów. Oskarżona mogła tak twierdzić, ale to absurd. Pańskie oskarżenie jest całkowicie fałszywe i gardzę nim.
- Czy nie poddał jej pan żadnego pomysłu wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazła?
- Na pewno nie.
- Ale twierdzi pan, że nie jest panu obojętna.
- Tak.
- I podchodził pan do proponowanej przez nią transakcji z zimną krwią, traktując ją jak czysty interes?
- Nie, proszę pana. Interesuję się Lucille. Chciałem się, upewnić, że nie zmarnuje tych pieniędzy.
- Jednak uczucia, które pan żywi dla byłej żony, przyjaźń, szacunek i pragnienie dopilnowania, żeby jakiś spryciarz nie oskubał jej z pieniędzy, nie przeszkodziły panu spróbować oskubać jej samemu, dając jej o pięć tysięcy dolarów mniej? - zauważył słodko Mason.
- Nie chciałem jej oszukać.
- No, to dlaczego ukrył pan chęć przyjęcia jej propozycji?
- Barton pomyślał chwilę i powiedział:
- Sądzę, że z przyzwyczajenia. W interesach nie okazuje się przedwcześnie zadowolony z transakcji.
- No, no, proszę pana - powiedział Mason. - Wiedział pan, co pan robi. Celowo ukrył pan chęć przeprowadzenia tej transakcji.
- Mówiono już o tym z tuzin razy - przerwał Hamilton Burger.
- Uważam, że obrońca ma prawo o tym mówić.

Wskazuje to na motywy świadka i umożliwia sądowi ocenę jego charakteru - odparł sędzia Osborn.

- Dobrze! - wykrzyknął nagle Barton. - Okłamałem ją. Zauważyłem, że trafia mi się okazja zrobienia dobrego interesu i chciałem z niej skorzystać. Co w tym złego?

- Nic - odparł Mason. - I bardzo panu dziękuję za chwalebłą szczerość, panie Barton. A teraz jeszcze jedna sprawa. Jak pan oświadczył, oskarżona w końcu przyznała, że w garażu było ciało jej pierwszego męża?

- Nie powiedziałem tego.

- Proszę sekretarza sądu o odczytanie protokołu sprawy dla przypomnienia, co świadek powiedział.

Nastąpiła chwila pełnej niepokoju ciszy, podczas której sekretarz sądu przerzucał strony, szukając żądanego ustępu. Willard Barton poprawił się na krześle.

- Znalazłem to miejsce - odezwał się sekretarz. - Pytanie: „Czy powiedziała panu, dlaczego chce wyjechać z kraju?” Odpowiedź: „Tak, proszę pana.” Pytanie: „Dlaczego?” Odpowiedź: „Powiedziała, że w jej garażu znaleziono ciało. Przyznała w końcu, że zabity był jej pierwszym mężem i że ujawnienie tego faktu zrujnuje ją.”

- Dziękuję - powiedział Mason. - Proszę mi wyjaśnić, panie Barton, co pan miał na myśli, kiedy użył pan słów: „w końcu przyznała”, że było to ciało jej pierwszego męża?

- No, że w końcu przyznała. I to wszystko.

- Nie powiedziała tego od razu?

- Nie.

- Dopiero po pytaniach z pana strony?

- Chyba tak.

- Czy to znaczy, że rozmawialiście na ten temat i odniósł pan wrażenie, że coś ukrywa, dopytywał się pan więc, co to jest?

- Powiedzmy, że tak.
- Żeby wymusić od niej to „przyznanie w końcu” musiał pan użyć nacisku?
- No, cóż... Do pewnego stopnia tak.
- Powiedział jej pan, że nie może jej pan pomóc, jeżeli nie powie panu prawdy, czy też coś w tym rodzaju?
- Tak.
- Więc wyznała panu w końcu prawdę?
- Tak.
- I wtedy zabrał się pan do pomagania jej?
- Nie!
- Ale powiedział pan, że jej pomoże, jeżeli powie prawdę. Dopóki tego nie zrobi, nic jej pan nie może obiecać. Dlatego „w końcu przyznała”, jaka była prawda. Czy mam rozumieć, że nie dotrzymał pan obietnicy?

Barton zawahał się, założył nogę na nogę i spojrzał błagalnie na Burgera.

- Tak było? - nalegał Mason.
- Nie pomogłem jej - wymamrotał Barton.
- Tak właśnie myślałem - stwierdził z pogardą Mason. - To wszystko, panie Barton.

Barton zszedł z miejsca dla świadków i zwrócił się w kierunku stołu, przy którym siedział Mason, jakby chciał coś zrobić, ale ujrawszy zimny, twardy błysk w oczach adwokata, rozmyślił się i odszedł.

- Niech podejdzie Artur Colson - powiedział Burger nie zwracając uwagi na Bartona.

Artur Colson podszedł do miejsca dla świadków. Jego oczy błędziły niespokojnie i oceniająco po sali, omijały jednak starannie prokuratora okręgowego i stół, przy którym siedzieli Mason i Lucille Barton.

Na pytanie sądu Colson podał swoje imię, nazwisko, wiek, zawód i adres.

Hamilton Burger wyjął rewolwer.

- Chcę panu pokazać rewolwer Smith i Wesson kaliber 38, numer S65088. Czy widział go pan już kiedyś?

Colson wyjął z kieszeni kartkę papieru i odczytał z niej następujące zdanie.

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie, ponieważ odpowiedź może być użyta przeciwko mnie.

- Czy kupił pan ten rewolwer w Rushing Creek Mercantile Company?

- Odmawiam odpowiedzi na to pytanie, ponieważ odpowiedź może być użyta przeciwko mnie.

- Czy wpisał pan nazwisko Rossa P. Hollistera w rejestrze?

- Odmawiam odpowiedzi z tego samego powodu.

- Czy zabił pan Hartwella L. Pitkina?

- Nie.

- Czy znał go pan?

- Nie, nie znałem.

- Czy położył pan ten rewolwer obok ciała Hartwella L. Pitkina w garażu przy South Gondola 719 piątego tego miesiąca?

- Nie.

- A w innym czasie?

- Nie.

- To wszystko - powiedział Hamilton Burger.

- Chwileczkę - odezwał się Mason. - Jeszcze jedno pytanie dla świadka. Czy ta broń była kiedykolwiek pana własnością?

- Odmawiam odpowiedzi, ponieważ może być ona użyta przeciwko mnie.

- Czy zabrał ją pan kiedykolwiek bez wiedzy Lucille Barton?

- Odmawiam odpowiedzi, ponieważ może być ona użyta przeciwko mnie.

- Czy miał pan kiedykolwiek klucz do mieszkania Lucille Barton?

- Nie.

- Pokażę panu dwa listy pisane na maszynie - powiedział Mason. - Jeden z nich był adresowany do Agencji Detektywistycznej Drake'a, drugi do mnie. W pierwszym liście jest mowa o kluczu do mieszkania Lucille Barton. W drugim o kluczu do jej sekretarzyka. Czy napisał pan któryś z tych listów?

- Nie. Nie napisałem.

- To wszystko - powiedział Mason.

- To wszystko - oznajmił Burger. .

Sędzia Osborn zabrał głos.

- Wobec bardzo niezadowolających odpowiedzi świadka na pytania, mające duże znaczenie w tej sprawie, sąd jest zdania, że biuro prokuratora okręgowego powinno podjąć kroki w celu wyjaśnienia sytuacji.

- Dobrze, Wysoki Sądzie - powiedział Burger zmęczonym głosem. - Zdajemy sobie sprawę z różnych możliwości.

- I implikacji - powiedział sędzia Osborn.

- I implikacji - powtórzył Burger.

- Bardzo dobrze. Sąd ogłasza przerwę do czternaściej. Oskarżona ma pozostać w areszcie szeryfa. Świadkowie wezwani do sądu mają się stawić o godzinie czternaściej.

Kiedy publiczność wstawała z miejsc i kierowała się ku wyjściu, Mason dał znak Paulowi Drake'owi, żeby do niego podszedł.

- Obawiam się, że nie mogę iść z tobą na obiad, Paul.

- Dlaczego, Perry?

- Muszę załatwić parę telefonów, a to może potrwać ze dwie godziny. Ale zabierz Dellę na dobry befsztyk.

- Miej serce - zaprotestował Drake z, uśmiechem.

- Mam - powiedział Mason. - Tak długo miałem je

w gardle, że nie będę się czuł dobrze, kiedy znajdzie się znowu na swoim miejscu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

O czternastej, kiedy sąd zebrał się na nowo, Hamilton Burger, wyraźnie czymś bardzo zaniepokojony, powiedział:

- Wysoki Sądzie, w sprawie tej zaistniała szczególna sytuacja. Miałem wszelkie powody, żeby uważać za możliwe łączenie osoby Perry Masona z narzędziem zbrodni, ponieważ znaleziono na nim odcisk jego palca. Miałem też nadzieję dowieść, że Mason był z oskarżoną koło garażu w czasie, w którym został zamordowany człowiek. Dowód rozpoznania został odbity jak piłka, bo zastosowano pomysłowy trik prawny, na co chciałem zwrócić uwagę Wysokiego Sądu. Świadek mógł z pewnością dokonać rozpoznania.

- Tak, oczywiście - odparł sędzia Osborn. - Takie są złe strony dowodów opartych na rozpoznaniach. Świadek widział wysokiego mężczyznę w jasnobrązowym płaszczu i szarym kapeluszu. Nie widział dokładnie i z bliska jego twarzy. Wielu mężczyzn może odpowiadać temu opisowi. Zidentyfikowanie kobiety jest bardziej przekonujące dzięki opisowi jej oryginalnego stroju, ale wysokich mężczyzn w jasnobrązowych płaszczach i szarych kapeluszach było w mieście w czasie, kiedy świadek Goshen widział tę parę koło garaży, prawdopodobnie parę tysięcy.

- Ale tylko jeden Perry Mason mógł zostawić odcisk palca na wewnętrznej stronie rewolweru należącego do jego klientki - odparował Burger.

- Jeszcze pan nie udowodnił, że rewolwer należał do jego klientki - powiedział Osborn.

- Przyznaję, Wysoki Sądzie, że sprawa skomplikowała się trochę - odparł Burger - ale jeżeli Sąd pozwoli mi działać, myślę, że będzie mógł właściwie ocenić trik, dzięki któremu wprowadzono w błąd świadka.

Sędzia Osborn uśmiechnął się.

- Sąd pozwoli panu działać, jeżeli będzie pan przedstawiał dowody, panie Burger.

- Bardzo dobrze. Proszę wezwać Sadie Milford.

Sadie Milford, zadbana kobieta około czterdziestki, była administratorką bloku, w którym mieszkała Lucille Barton. Zeznała ona, że garaże należały do mieszkań i były zamykane. Mieszkanie numer 208 miało również garaż i Lucille Barton dostała zapasowe klucze i do mieszkania, i do garażu, kiedy się wprowadziła.

- Kto miał te klucze?

- Lucille Barton.

- Czy ma pani poświadczenie odbioru?

- Tak.

- Czy jest na nim podpis Lucille Barton?

- Tak.

- Złożyła podpis w pani obecności?

- Tak.

- Chcę to dołączyć do dowodów - powiedział Hamilton Burger.

- Nie stawiam sprzeciwu - powiedział Mason.

- Chce pan zadawać pytania?

- Tak.

Mason wziął do ręki poświadczenie i zapytał.

- To pani dała Lucille Barton te cztery klucze, dwa do mieszkania i dwa do garażu?

- Tak.

- Dziękuję - powiedział Mason. - To wszystko.

Następnym świadkiem Burgera był pracownik stacji benzynowej, który zeznał, że piątego tego miesiąca, po godzinie szóstej wieczorem, Lucille Barton podjechała do stacji chevroletem z jasnobrązową karoserią. Stwierdził, że motor był aż tak rozregulowany, że wóz bez przerwy podskakiwał i gaźnik strzelał. Wyregulował wszystko, co mógł, ale nie mając czasu i odpowiednich narzędzi poprawił tylko tyle, że gaźnik nie hałasował już tak podczas jazdy.

- O której godzinie oskarżona przyjechała? - zapytał Hamilton Burger.

- To było jakieś piętnaście albo dwadzieścia po szóstej.

- Kto prowadził wóz?

- Panna Barton.

- Czy znał ją pan przedtem?

- Tak, zawsze kupuje u nas benzynę.

- Czy panna Barton i oskarżona siedząca obok pana Masona to ta sama osoba?

- Tak.

- To wszystko - powiedział Burger.

- To wszystko - powtórzył Mason uśmiechając się. -

Nie mam pytań do świadka.

- Wezwać Stephena Argyle'a - polecił Burger.

Argyle zajął miejsce dla świadków i podał, że mieszka przy West Casino Boulevard 938, ma lat pięćdziesiąt pięć, potwierdził, że zatrudnił Hartwella L. Pitkina w charakterze szofera i że Pitkin pracował u niego do śmierci.

- Kiedy widział pan Pitkina po raz ostatni? - zapytał Burger.

- Tuż po piątej.

- Gdzie był wtedy?

- Przed budynkiem, w którym mieści się biuro pana Masona. Czekałem na pana Masona i nagle przypomniałem

sobie, że Hartwell ma wolny wieczór, zszedłem więc na dół i chociaż byłem na niego zły, powiedziałem mu, żeby zabrał wóz i odjechał do domu.

- Czy wie pan, co się stało potem?

- Wiem tylko tyle, że samochód był na miejscu, kiedy wróciłem do domu.

- O której to było?

- To mogło być... ach, to było po powrocie ze szpitala, gdzie odwiedziłem pacjenta i omówiłem z nim sprawę odszkodowania i...

- Niech pan nie mówi o tej sprawie - przerwał mu Hamilton Burger.

- Dzięki oszukańczym manipulacjom pana Perry Masona straciłem parę tysięcy dolarów - warknął Argyle.

- To nie ma nic do rzeczy - mówił Burger uspokajająco. - Niech pan się opanuje i powie nam, co pan wie o tej sprawie.

- Wróciłem do domu około dziewiętej trzydzieści, może była dziesiąta i widziałem samochód na swoim miejscu.

- Może pan zadawać pytania - zwrócił się Burger do Masona.

- Skąd pan wie, że był na miejscu? - zapytał Mason.

- No, bo... musiał tam być. Drzwi garażu były zamknięte.

- Ale pan nie sprawdzał po powrocie do domu, czy samochód rzeczywiście tam był?

- Nie.

- A jak pan wrócił do domu?

- Podwiózł mnie mój towarzysz, pracownik biura ubezpieczeń

- O której godzinie pana przywiózł?

- Między wpół do dziesiątej a dziesiątą.

- I poszedł pan od razu do łóżka?

- Nie, około jedenastej.
- Kiedy pan zajrzał do garażu, żeby sprawdzić, czy stoi tam samochód?
- Około drugiej nad ranem. Zadzwonili do mnie z policji i zawiadomili, co się stało z moim szoferem. Zadali mi parę pytań i powiedzieli, że zaraz u mnie będą, więc wstałem, ubrałem się i właśnie szedłem do garażu, kiedy nadjechała policja.
- Pana samochód był w garażu?
- Tak.
- Zdaje się, że ma pan do mnie żal, panie Argyle - powiedział Mason.
- Osobiście uważam, że jest pan godny pogardy - odparł Argyle.
- Dlaczego?
- Wiedział pan o tym, że miałem powody przypuszczać, że mój szofer miał wypadek samochodowy i namówił mnie pan do zadośćuczynienia bezpodstawnym roszczeniem. Ostrzegam pana, panie Mason, wytoczę panu sprawę o oszustwo i...
- Och, więc myślał pan, że to szofer prowadził wóz?
- Oczywiście. J a go na pewno nie prowadziłem. Byłem jednak odpowiedzialny za czyny mego pracownika.
- Czy to ma jakiś związek ze sprawą? - zapytał sędzia Osborn.
- Uważam, że ujawnia to motywy i nieprzychylnie nastawienie świadka - odpowiedział Mason.
- Ależ tak, wyjaśnijmy to - powiedział Burger, zacierając z zadowoleniem ręce. - Chciałbym ujawnić wszystkie fakty
- I o wszystkim się pan dowie - odparował mu Mason. - Panie Argyle, może pan nam opowie swoją wersję wydarzeń.

- Piątego, koło trzeciej po południu, pan Mason przyszedł do mnie do domu. Pitkin był obecny przy rozmowie. Pan Mason oznajmił mi, że posiada niezbite dowody na to, że mój samochód spowodował wypadek i uciekł. W wypadku tym jego klient odniósł poważne rany. Zwrócił mi uwagę na ślady uderzenia i wygięcia na błotnikach i... no cóż, pomyślałem, że ma rację.

- Dlaczego myślał pan, że mam rację? - zapytał Mason.

- Bo mój szofer miał jakieś kłopoty z samochodem tego dnia. Chciał go się pozbyć i powiedział, że został ukradziony. Zawiadomił mnie o tym i prosił, żebym poszedł z nim razem na policję wyjaśnić okoliczności, w jakich to się stało. Poszedłem z nim do miejsca, gdzie zostawił samochód. Zauważyłem, że pił i był czymś bardzo zdenerwowany. Byłem dość sceptycznie do niego nastawiony, ale obawiałem się, że wpadł w tarapaty, w które może i mnie wciągnąć. Wróciłem do klubu i zadzwoniłem na policję zawiadamiając o kradzieży samochodu. Osobiście uważam, że samochód nigdy nie został skradziony. Policja znalazła go w dzielnicy handlowej, gdzie stał zaparkowany przed hydrantem.

- I dlatego po wysłuchaniu tego, co powiedziałem, uznał pan, że będzie taniej odnaleźć Finchleya i dojść z nim do porozumienia za plecami jego adwokata, prawda? - spytał Mason.

- Nie myślałem o czymś takim.

- Ale zrobił to pan, co?

- Ja tylko, dowiedziawszy się, że człowiek został poważnie zraniony, chciałem coś dla niego zrobić. Bardzo się tym wszystkim przejąłem. Poszedłem do pańskiego biura i próbowałem pana spotkać, ale pana nie było. Widocznie przebywał pan u swojej klientki, Lucille Barton.

- Jest pan pewny, że tam byłem? - zapytał Mason.
- Nie, nie jestem.
- Czy ma pan jakiś powód, żeby przypuszczać, że tam byłem?
- O ile dobrze zrozumiałem, policja... Cofam to, co powiedziałem. Odpowiedź brzmi: nie. Nie wiem, gdzie pan był.
- W porządku. Był pan u mnie w biurze i powiedziano panu, że wyszedłem?
- Tak.
- Gdzie w tym czasie znajdował się pana szofer?
- Siedział w moim samochodzie marki „Buick” zaparkowanym przed domem, w którym mieści się pańskie biuro.
- Znalazł pan tam miejsce do zaparkowania?
- Mój szofer je znalazł. Kiedy wysiadłem przed głównym wejściem, zauważyłem, że nie ma miejsca do parkowania, więc powiedziałem mu, żeby krążył dookoła, dopóki nie znajdzie wolnego miejsca blisko wejścia. Prawie natychmiast takie znalazł.
- A więc czekał pan na mnie?
- Tak, proszę pana. Koło szóstej zadzwoniłem do swego agenta ubezpieczeniowego i powiedziałem mu, że próbuję porozumieć się z panem w sprawie ustalenia odszkodowania za wyrządzone szkody. Przyszło mi po prostu na myśl, że to nie w porządku załatwiać takie sprawy bez porozumienia się z nimi.
- Oczywiście agent ubezpieczeniowy podsunął panu myśl, że będzie to pana mniej kosztowało, jeżeli porozumie się pan bezpośrednio z poszkodowanym.
- Mój agent ubezpieczeniowy prosił, żebym poczekał na niego w hallu i nie rozmawiał z panem pod żadnym pozorem, zanim się z nim nie spotkam. Kiedy przyjechał, oddałem sprawę całkowicie w jego ręce.

- Ale poszedł pan do szpitala i próbował pan załatwić sprawę z moim klientem za moimi plecami, prawda?

- Za pańskimi plecami! Nie wiem, co pan przez to rozumie. Próbowałem się z panem skomunikować, ale nie było pana w biurze. Nie mam zamiaru wyczekiwać cały dzień na prawnika, który ugania się za rozwódką. Mój czas jest cenny!

- Kiedy biuro ubezpieczeniowe ustaliło już wysokość odszkodowania, zapłacił pan dodatkowo z własnej kieszeni pewną sumę, prawda?

- Tak, to prawda.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Ponieważ uważałem, że temu młodemu człowiekowi należy się więcej niż to, co mu dawało towarzystwo ubezpieczeniowe. Nie jestem żadnym filantropem, ale z drugiej strony nie muszę zarabiać pieniędzy na cierpieniu młodego chłopca.

- Bardzo szlachetne uczucia - zauważył Mason - tyle, że... czy chce pan przekonać sąd, że na podstawie tego, co panu powiedziałem, pan nie tylko przyznał się do odpowiedzialności za wypadek, ale jeszcze dodatkowo zapłacił pewną sumę?

- Myślałem, że jest pan prawnikiem godnym zaufania. Teraz wiem, że nie. Kiedy pan mi powiedział, że ma dowody, myślałem, że rzeczywiście je pan ma.

Mason uśmiechnął się.

- Jaki pan szlachetny, bardzo szlachetny i obłudny, panie Argyle. Uważa mnie pan za godnego pogardy, a sam daje łapówkę portierowi, żeby przysiągł, że nie wychodził pan z klubu tego popołudnia. Czy aż tak bał się pan być zamieszany w to, co pana szofer mógł zrobić?

- To nieprawda!

- Dał pan portierowi pieniądze?

- Napiwek, jak zwykle.

- Ile?
- To nie ma nic do rzeczy.
- Ile?
- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie - zawołał Burger zrywając się ze swego miejsca. - Ten człowiek jest z rozmysłem dręczony...
- Odrzucam sprzeciw - sapnął sędzia Osborn.
- Ile? - zapytał Mason.
- Myślałem, że damę mu pięć dolarów, ale byłem po paru kieliszkach i było ciemno. Potem zorientowałem się, że brakuje mi pieniędzy, więc pewnie się pomyliłem i dałem mu więcej.
- Sto dolarów?
- Chyba tak.
- Przez pomyłkę?
- Przez pomyłkę.
- Nie prowadził pan samochodu trzeciego po południu. Tego jest pan pewien.
- Tak.
- Wobec tego wiedział pan już wtedy, że jedyną osobą która mogła spowodować wypadek był pański szofer.
- Ktoś mógł ukraść samochód.
- Gdyby tak było, nie odpowiadałby pan za wypadek - powiedział Mason. - Jako człowiek interesu dobrze pan o tym wie, panie Argyle.
- Rozumiem, o co panu chodzi - stwierdził Argyle. - Po pana wyjściu przycisnąłem mego szofera do muru i w końcu przyznacie, że spowodował wypadek i uciekł. Przyznał się również do tego, że chcąc uniknąć odpowiedzialności skłamał, mówiąc o kradzieży auta.
- No, tak - zauważył Mason. - A teraz doszedł pan do wniosku, że to była nieprawda?
- Mówi pan o tym, co pan mi powiedział? Że mój samochód był zamieszany w wypadek?

- Niech i tak będzie.
- To, co mi pan powiedział, było kłamstwem. Kłamstwem absolutnym i całkowitym. Jakiś człowiek o nazwisku Caffee spowodował ten wypadek.
- À propos - przerwał mu Mason - pan i przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego poszliście do młodego Finchleya i groziliście mu sądem za wyłudzenie pieniędzy pod fałszywym pretekstem. Zażądaliście też ich zwrotu.
- Owszem, wytłumaczyliśmy mu, że te pieniądze nie należały mu się ani z punktu widzenia prawa, ani sprawiedliwości.
- I co on na to powiedział?
- Że pan poradził mu zatrzymać pieniądze, bo to była dobrowolna wpłata, której nie można odebrać i że pan odczyty tych agentów ubezpieczeniowych przechytrzenia adwokatów.
- Sędzia Osborn uśmiechnął się szeroko.
- Tak - potwierdził Mason - ale jak pan myśli, dlaczego Pitkin przyznał się do spowodowania wypadku, kiedy w rzeczywistości wcale tego nie zrobił?
- Nie wiem - odparł Argyle - chociaż chciałbym wiedzieć. Myślałem nad tym i próbowałem znaleźć odpowiedź, ale nie rozumiem tego. Zdaje się, że Pitkin był szantażystą. Bez wątplenia miał jakiś powód, coś tam się działo w tym zdeprawowanym mózgu.
- Zwolnił go pan w środę o szóstej, mimo że przyznał się do spowodowania wypadku i ucieczki - zauważył Mason.
- Mogę to panu wyjaśnić.
- Proszę bardzo, niech pan wyjaśni.
- Wiedziałem o tym, że mój szofer dorabiał sobie w wolne dni i wieczory. Mówił mi kiedyś, że jest członkiem stowarzyszenia szoferów i że pracuje w wolne dni,

wiedziałem więc, że to ważne, żeby się nie spóźnić. Zwłaszcza że szoferzy wynajmowani są wcześniej. Ja sam jestem człowiekiem interesu i wiem, jakbym się czuł czekając na kierowcę, który się nie zjawia na czas. Pozwoliłem mu iść, ale nie zrobiłem tego dla niego, tylko dla jego kolegów ze stowarzyszenia.

- Czy nie przyszło panu na myśl, że właśnie wtedy to mogło mieć miejsce? - zapytał Mason spokojnie.

- O czym pan mówi?

- O tym, że Pitkin był gdzieś umówiony. Miał spotkać się z kimś, dla kogo pracował piątego i zamiast odprowadzić samochód do domu osobiście, poprosił kolegę, żeby to za niego zrobił, a sam od razu udał się tam, gdzie się przedtem zaangażował.

Argyle zastanawiał się przez chwilę zanim powiedział :

- Być może, że tak właśnie było.

- Czy pan zatrudniał szoferów z tego stowarzyszenia, kiedy Pitkin miał wolne? - zapytał Mason.

- Nie, nigdy. Gdybym potrzebował szofera w te dni, umówiłbym się z pewnością z Pitkinem i zapłaciłbym mu dodatkowo za pracę ponad godziny.

- Dam panu listę z piętnastoma nazwiskami. Proszę mi powiedzieć, czy zna pan kogoś z tych ludzi, panie Argyle - poprosił Mason.

- Po co to wszystko? - irytował się Hamilton Burger.

- To może wyjaśnić, dlaczego szofer Pitkin twierdził, że spowodował wypadek, choć naprawdę nie miał z tym nic wspólnego - odparł Mason.

- Och, bardzo dobrze - powiedział Burger. - Ja nic z tego nie rozumiem. Wydaje mi się, Wysoki Sądzie, że to przesłuchanie nie tylko do niczego nas nie doprowadzi, ale będziemy świadkami jeszcze jednego „połowu” obrońcy.

- Może i tak, ale jest to obiecujący połów - stwierdził

sędzia, uśmiechając się. - Zdaje się, że pan Mason coś nawet złapał...

Argyle włożył okulary, spojrzął na listę, podrapał się w głowę i powiedział:

- Przejrzenie tej listy potrwa parę minut, panie Mason.

- Bardzo dobrze - odezwał się sędzia Osborn. - Zarządzam piętnastominutową przerwę, podczas której może pan przejrzeć listę, panie Burger, i pomówić o niej ze świadkiem. Ogłaszam przerwę.

Sędzia Osborn wyszedł z sali.

Mason wstał, przeciągnął się, ziewnął z wystudiowaną obojętnością, podszedł do porucznika Tragga i zaproponował:

- Może odejdziemy gdzieś na bok i porozmawiamy, poruczniku?

Tragg skinął głową i obaj mężczyźni odeszli na bok.

- Dziękuję za badanie Holcomba - powiedział Tragg uśmiechając się ukradkiem. - Cały czas chełpił się, jak to wyszedł pana i zawiózł Goshena, który pana zidentyfikował, a ja nie potrafiłem tego zrobić. Zdaje się, że po tym, co było dzisiaj w sądzie, przycichnie trochę. Ma się rozumieć, nie mówię panu tego oficjalnie, tylko tak... między nami.

- Oczywiście - odpowiedział Mason. - A tak w dalszym ciągu między nami, co by pan powiedział na małą przejażdżkę?

- Dokąd?

- Do dzielnicy mieszkaniowej.

- Myśli pan, że mamy na to czas?

- Myślę, że mamy dużo czasu.

- Nie możemy tam pojechać i wrócić w ciągu piętnastu minut.

- Myślę, że kiedy Argyle zobaczy tę listę, będzie

potrzebował więcej czasu niż piętnaście minut... On... Burger idzie w naszą stronę.

Hamilton Burger poruszając się z ociężałą godnością człowieka zmuszonego do porozumienia się z kimś, dla kogo czuje pogardliwą nienawiść, powiedział:

- Czy ta lista świadków to coś ważnego, Mason?
- Tak, to coś ważnego.
- Argyle nic nie może powiedzieć, dopóki nie porówna jej z listą udziałowców. Mówi, że nie ma pamięci do nazwisk, ale wydaje mu się, że prawie wszyscy z tej listy są udziałowcami jednego z jego towarzystw. Jeżeli chce pan uzyskać odpowiedź na to pytanie, trzeba będzie odroczyć sprawę do jutra.
- To mi odpowiada - odparł Mason.
- Ale mnie nie odpowiada - powiedział Burger.
- Chcę, żeby odpowiedział na moje pytanie - upierał się Mason.
- No, dobrze - zgodził się Burger po chwili wahania. - Odłożymy sprawę do jutra na pana żądanie.
- Wy tłumaczy to pan sędziemu? - zapytał Mason.
- Dobrze - zgodził się Burger i odszedł.
- A więc, jeżeli jest pan gotów, poruczniku - zwrócił się Mason do Tragga - ale... weźmy lepiej pana samochód.
- Niech to lichy porwie, czy pan wie, co pan robi? - zapytał Tragg.
- Mam nadzieję, że tak - odpowiedział Mason.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tragg wjechał tyłem w wylot alejki, którą mu wskazał Mason.

- Z tego miejsca możemy obserwować dom - powiedział Mason.

- Do czego pan właściwie zmierza? - zapytał Tragg.

- Hollister wyjechał w interesach, tak?

- Tak.

- Miał wyjechać na parę dni?

- Tak.

- Kiedy odnalazł pan samochód i ciało, nie zwrócił pan uwagi na coś, co miało duże znaczenie - powiedział Mason.

- O czym pan mówi?

- O bagażu. Kiedy się wyjeżdża na parę dni, zabiera się z sobą bagaż.

- To prawda.

- Poza tym ciało znaleziono w niezwykłej pozycji - dodał Mason. - Jak pan myśli, poruczniku, co można wydedukować z tej pozycji?

- Można to wytłumaczyć tylko tak, że ciało zostało włożone do bagażnika - odpowiedział Tragg.

- Właśnie. A czy mógł to być bagażnik wozu Hollistera?

- Mógł.

- Przyszedł Argyle. Ależ się spieszy, prawda?

- Musi myśleć o wielu sprawach - powiedział Tragg. - Mogę sobie wyobrazić, że ten proces pokrzyżował mu szyki.

Mason przeciągnął się, ziewnął i stwierdził:

- Ja też tak uważam.

- Co teraz zrobimy? - spytał Tragg.

- Poczekamy. Czy ma pan tu radio?

- Tak.

- Niech pan sprawdzi, czy dobrze działa. Proszę się połączyć z Komendą i zapytać o godzinę.

- Czego pan chce, u diabła! Do czego pan zmierza, Mason? Co to za pomysł?

- Przyszło mi nagle do głowy, że zabrałem pana dość bezceremonialnie, Burger może chcieć się z panem skontaktować. Sądzę, że fiasko tego rozpoznania...

Tragg uśmiechnął się i powiedział:

- To było piękne! Mogę panu śmiało powiedzieć, Mason, że miałem ochotę podskoczyć z radości... osobiście, ma się rozumieć, nie oficjalnie.

Tragg nastawił radio, połączył się z Komendą, oparł się wygodnie o tył siedzenia i zapalił cygaro.

- Mason, niech pan powie do licha, na co czekamy? Jeżeli chce się pan spotkać z Argyle'em, dlaczego nie pójdziemy do niego?

- Pozwólmy mu działać, jeśli tego chce. On... oto i on.

Argyle wybiegł z domu, trzymając w jednej ręce walizkę, a w drugiej torbę. Wrzucił je do samochodu i zapuścił silnik.

- Jeżeli teraz zacznie go pan gonić i włączy syrenę, zmusi go pan do akcji.

- Włączyć syrenę! - zawołał Tragg. - Co on takiego zrobił?

- Niech pan za nim jedzie, to zobaczy pan, co robi - stwierdził Mason. - W najgorszym razie będzie pan mógł go przyłapać za przekroczenie dozwolonej szybkości.

- Niech to diabli - zaklął Tragg. - Nie jestem ze służby ruchu. Ja...

- Chce pan złapać przestępcę czy nie? - zapytał Mason.

Tragg spojrział na niego ostro i odpowiedział:

- Chcę.

- No, to niech pan za nim jedzie.

Tragg włączył silnik, wsunął sprzęgło i ruszył za Argyle'em.

Po chwili dodał gazu i duży samochód policyjny ruszył ostro do przodu.

- Ależ on jedzie!

- Z jaką szybkością można tu jechać? - spytał Mason.

- Trzydzieści pięć mil - odparł Tragg. - Ale on robi ponad pięćdziesiąt. Nie powinien tak jechać.

- Niech pan włączy syrenę - poprosił Mason.

- Dobrze - powiedział Tragg. - Zrównamy się z nim i...

- Niech pan włączy syrenę - powtórzył Mason niecierpliwie i nacisnął guzik. Rozległo się zawodzenie syreny.

- Do diabła, niech pan tego nie robi - powiedział Tragg wyłączając szybko syrenę. - Ja...

Argyle obejrzał się niespokojnie, zobaczył policyjny wóz jadący za nim i dodał gazu.

- Rozumie pan coś z tego? - zapytał porucznik Tragg.

- Co to za cholerny idiota... do diabła, Mason, on ucieka!

- Oczywiście, że ucieka - powiedział Mason. - A pan co robi?

- Zobacz pan - zapowiedział Tragg. Włączył syrenę.

Argyle skręcił gwałtownie w lewo, omal nie wywracając przy tym wozu.

- Niech się pan trzyma - powiedział Tragg. - Teraz zobaczy pan jazdę.

Wrzucił drugi bieg, skręcił poślizgiem przy akompaniamencie pisku opon w boczną ulicę i wyrównał szybkość.

- Nauczyłem się tego w czasach prohibicji - powiedział.

- Znowu chce skręcić! - zawołał Mason.

- Wyleczymy go z tego - stwierdził Tragg. - Dobry policjant może brać zakręty dużo szybciej niż... Trzymaj kapelusz, Mason.

Tragg „wziął zakręt z taką szybkością, że na asfalcie został czarny ślad opon.

- Zdaje się, że teraz będzie jechał prosto - zauważył Mason. - Wyjmij rewolwer, Tragg. Może strzelać, żeby się nas pozbyć.

- Od czego on tak ucieka? - zapytał Tragg.

- Od oskarżenia o zamordowanie Hartwella L. Pitkina i Rossa P. Hollistera - odpowiedział Mason zapalając papierosa. - Może...

Tragg mówił już do radia.

- Komenda? Tu porucznik Tragg, samochód numer czterdzieści dwa. Ścigam podejrzanego o morderstwo jadącego w czarnym buicku numer rejestracyjny 9Y6370. Jesteśmy na północ od Hickman Avenue, między osiemdziesiątą dziewiątą a dziewięćdziesiątą ulicą. Przyślijcie pomoc. Włączyłem syrenę.

Tragg wysunął rewolwer z pochwy.

- Ma pan broń, Mason? - zapytał.

- Jestem prawomyślnym obywatelem - odparł Mason.

- Jest pan teraz moim zastępcą - stwierdził Tragg krótko. - W schowku przed panem jest rewolwer. Niech pan go weźmie. Naprawdę coś pan wie o tym facecie?

- Oczywiście - odpowiedział Mason. - Gdybym nie wiedział, nie tracilibyśmy czasu. Nie mogłem mu niczego udowodnić, dopóki nie zaczął uciekać. Musiałem coś zrobić, żeby wpadł w panikę i wyspał się tym samym.

- Zdaje się, że to właśnie robi - mówił Tragg ściskając kierownicę. - Jedziemy teraz osiemdziesiąt mil na godzinę.

- Chce uciec na prostej drodze.

- Dzięki mojej syrenie ma pustą drogę przed sobą - mówił Tragg. - Ale gdybym ją wyłączył, wpadlibyśmy na kogoś i pozabijalibyśmy się.

- Niech pan nie wyłącza syreny, poruczniku. Wcześniej czy później złapiemy go, a ta ucieczka jest ostatnim gwoździem do jego trumny. On... uwaga!

Jakiś samochód wyskoczył z bocznej ulicy, kierowca usłyszał syrenę, zobaczył uciekający samochód i wóz policyjny Tragg'a i próbował zjechać na bok do krawężnika.

Argyle skręcił gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia. Jego samochód wpadł w poślizg i zaczął niebezpiecznie podskakiwać, potem obrócił się dookoła, zjechał z drogi na dwóch kołach i runął z nasypu przewracając się na dach.

Porucznik Tragg nacisnął hamulec.

Mason patrzył przez chwilę, czy Argyle nie wychodzi z rozbitego wozu, wreszcie powiedział:

- Skończyło się, poruczniku. Już nie muszę być pana zastępcą.

Mówiąc to otworzył schowek i położył rewolwer na miejsce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Paul Drake, Della Street i Perry Mason wypoczywali po minionych emocjach w prywatnym biurze Masona.

Della Street przysiadła na rogu biurka, obejmując splecionymi dłońmi kolano, Mason siedział odchylony do tyłu w swoim obrotowym krześle, a Drake rozsiadł się wygodnie w dużym fotelu dla klientów, trzymając, jak było w jego zwyczaju, nogi przerzucone przez poręcz.

- Cały czas wiedziałeś, kto to był? - zapytał Drake.

- Oczywiście, że nie - odparł Mason - ale jak tylko dowiedziałem się, że samochód Argyle'a nie spowodował wypadku, zdziwiłem się, dlaczego Argyle tak chętnie płaci

żywą gotówkę za coś, czemu nie zawinił i za co nie był odpowiedzialny. Zacząłem podejrzewać, że kupuje sobie w ten sposób alibi.

- Teraz to wszystko jest jasne - zgodził się Drake - ale niech mnie licho porwie, pojęcia nie mam, jak na to wpadłeś.

- Opowiem ci, co się wydarzyło, Paul - powiedział Mason. - Argyle, Gates i Hollister byli współnikami w jakichś naftowych interesach. Hollister włożył największy kapitał i zgarniał największą część zysków. Argyle i Gates zaczęli go oszukiwać. Hollister albo musiał ich na tym przyłapać, albo wyczuł, co się święci. Wezwał ich więc na rozmowę do siebie, do swego domu w Santa del Barra, trzeciego w poniedziałek. Argyle i Gates jechali tam bardzo niechętnie.

- Czy Pitkin ich tam odwoził? - zapytał Drake. Mason uśmiechnął się.

- Nie, Pitkin był wtedy w San Francisco.

- Nie rozumiem - powiedział Drake.

- Gatesowi i Argyle'owi groziło więzienie za sprzeniewierzenie, bo Hollister miał w ręku dowody przeciwko nim. Gates wiedział o tym. Argyle tylko podejrzewał. Gates zdecydował, że w najgorszym razie zastrzeli Hollistera i ucieknie, jeżeli tylko mu się uda to zrobić. Kupił więc bilet do Honolulu na swoje nazwisko i zapłacił Pitkinowi, żeby odbył pierwszą część podróży pod jego nazwiskiem. Dawało to Gatesowi alibi na wypadek, gdyby go potrzebował.

Przed wyjazdem do Santa del Barra włożył do kieszeni pistolet automatyczny kaliber 45.

Okazało się, że miał rację oczekując najgorszego Hollister postawił ultimatum, żądając prawdopodobnie od nich oddania wszystkiego. Wymagało to szybkiej decyzji i Gates ją podjął z pistoletem w ręku.

Argyle wpadł w histerię. Gates zaplanował wszystko, co trzeba byłoby zrobić w wypadku zabójstwa Hollistera i zmobilizował Argyle'a do pomocy. Przynieśli nieprzemakalny brezent z bagażnika samochodu Gatesa, zawinęli ciało i wynieśli bocznymi drzwiami do samochodu Hollistera. Tu włożyli je do bagażnika.

Potem pojechali dwoma samochodami, Argyle'a i Hollistera, drogą biegnącą wzdłuż kanionu. Gates powiedział Argyle'owi o swoim alibi i wtedy Argyle zdał sobie sprawę z tego, że on sam nie ma żadnego. Gates poradził mu więc, żeby jechał jak najszybciej do klubu i zgłosił na policji, że ukradziono mu samochód. Miało to posłużyć jako tłumaczenie, gdyby ktoś ich zauważył na szosie i zapamiętał. Potem rozbili zegarek Hollistera ustawiając wskazówki na godzinę 5.55, a zegar samochodowy na 6.21. Zaparkowali w jakimś miejscu wóz Argyle'a, podjechali do miejsca, gdzie mogli zawrócić samochodem, wyrzucili ciało, przykryli je ziemią, potem trochę dalej zrzucili z nasypu samochód i wrócili do Santa del Barra.

Gates zajął się wtedy swoim alibi i zadzwonił do San Francisco jako Hollister, wzywając do telefonu Gatesa. Pitkin odpowiedział - podając się za Gatesa - i w ten sposób alibi było gotowe..

Kiedy Gates zastrzelił Hollistera, ten upadł na gruby i drogocenny, choć mały, wschodni dywanik. Mordercy nie mieli czasu ani go wyczyścić, ani zastąpić czymś innym, zabrali go więc, obawiając się, że gospodyni zauważy ślady krwi i domyśli się, co się stało. Wiedziała ona o podróży Hollistera, nie zastanawiała się więc nad jego nieobecnością, ale zdziwił ją brak dywanika. Poprzedniego dnia Hollister wspomniał coś o zamiarze podarowania go Lucille. Gospodyni zatelefonowała zatem do niej, pytając, czy Hollister dał jej wschodni dywanik. Rozgniewało to

Lucille, która odpowiedziała, że ma dywanik, bo Hollister chciał, żeby go miała. Gospodyni nie myślała już więcej o dywaniku, dopóki nie znaleziono ciała Hollistera.

Argyle wrócił tu z ogromnym pośpiechem. Pitkin przyjechał z San Francisco. Gates poleciał tam samolotem, odebrał bilet zostawiony dla niego przez Pitkina i odleciał do Honolulu. Pitkin był zbyt wielkim spryciarzem, żeby nie domyślić się, że nie bez powodu zapłacono mu sporą sumę za dostarczenie alibi. Zdecydował, że dowie się, po co było potrzebne alibi i zacznie szantażować swego chlebobdawcę. Argyle postanowił więc go zabić.

Argyle poszedł do klubu, dał znać, że ukradziono mu samochód, i próbował kupić sobie alibi u portiera dając mu łapówkę. Kiedy się trochę uspokoił, zrozumiał, że nie jest to najlepszy sposób.

Zobaczył wtedy przypadkiem nasze ogłoszenie w „Blade” i wpadł na myśl zdobycia lepszego alibi udając, że to on spowodował wypadek. Czuł, że to może się udać, a co więcej, większość kosztów poniesie towarzystwo ubezpieczeniowe.

Przeszukując kieszenie Hollistera, Argyle znalazł klucze do mieszkania i garażu Lucille Barton. Musiał wiedzieć o planach małżeńskich Hollistera i o stosunkach, jakie go łączyły z Lucille.

Po przeczytaniu ogłoszenia w „Blade” zdecydował, że przyzna się do spowodowania wypadku i zapłaci odszkodowanie pieniędzmi towarzystwa ubezpieczeniowego, a tym samym zapewni sobie alibi doskonałe i niepodważalne, bo było oczywiste, że jeżeli znalazł się na skrzyżowaniu Hickman Avenue i Vermesillo Drive o piątej po południu trzeciego, nie mógł być jednocześnie w Santa del Barra w czasie, kiedy popełniono morderstwo. Wiedział, że na resztę wieczoru ma dobre alibi. Gospodyni Hollistera wyszła od niego o godzinie trzeciej trzydzieści. Hollister

powiedział jej, zanim wyszła, że będzie miał w domu krótkie spotkanie w sprawach zawodowych, potem wyjedzie w interesach na parę dni.

Argyle zaplanował morderstwo Pitkina ze spokojnym rozmysłem i dużą przebiegłością. Wysłał list do ciebie z kluczem do mieszkania Lucille. Był pewien, że po otrzymaniu listu ktoś z nas się z nim skontaktuje. Kazał zmienić prawe tylne koło w swoim wozie, wygiął błotnik i zamalował to miejsce nową farbą. Potem wymyślił coś piekielnie sprytnego, co miało mu dostarczyć żelaznego alibi w sprawie morderstwa Pitkina.

- Co? - zapytał Drake. - Jeżeli o mnie chodzi, to on miał żelazne alibi. W czasie kiedy zamordowano Pitkina siedział u ciebie w biurze.

- Poszedł do biura pośrednictwa pracy piątego, wynajął szofera i urządził to w ten sposób, żeby człowiek ten zaczął u niego pracować przed piątą po południu. Wyłudmaczył mu, że będzie musiał pojechać autobusem do Detroit, odebrać nowy samochód i pojechać nim do Meksyku, gdzie mieli się spotkać - mówił Mason. - W ten sposób szofer nigdy nie dowiedziałby się z gazet o śmierci Pitkina.

Argyle był dość sprytny na to, żeby zrozumieć, że człowiek siedzący w szoferskiej czapce i kurtce w jego samochodzie będzie uważany za Pitkina, przynajmniej przez tych, którzy Pitkina nie znali.

Z zachowania Pitkina w stosunku do swego chlebowdawcy wynika, że mógł go szantażować już przed morderstwem Hollistera. W każdym razie Pitkin nabrał podejrzeń co do alibi Gatesa i zastanawiał się, czy Argyle również nie maczał palców w tej sprawie. Argyle niewątpliwie badał przeszłość Pitkina i dowiedział się, że był pierwszym mężem Lucille i że zamierzała ona wyjść za mąż za Hollistera. Wiedział również o tym, że nie było jej w

mieszkań codziennie między drugą a piątą. Zaraz po zdobyciu klucza do mieszkania Lucille zaczął planować zamordowanie Pitkina. Zrozumiał, że moje ogłoszenie w gazecie dawało mu szansę jedną na milion. Zaczął szperać w mieszkaniu Lucille, a kiedy znalazł rewolwer w szufladzie sekretarzyka, miał wszystko, czego potrzebował do urzeczywistnienia swego planu.

Zabrał Pitkina do garażu Lucille. Ciekawe w tej sprawie jest to, że Pitkin nie wiedział, gdzie mieszka Lucille. Kiedy poszli razem do garażu przy 719 South Gondola, Pitkin nie miał pojęcia, do kogo ten garaż należy. Widział Lucille, wiedział, że jest gdzieś w mieście, próbował ją znaleźć, ale nie wiedział, gdzie mieszka.

Pod jakimś pretekstem Argyle kazał Pitkinowi pomani-pulować przy zapłonie samochodu Lucille... może wiedział o tym, że Artur Colson zakładał nowe przewody. Należy pamiętać, że Argyle zbierał od pewnego czasu informacje o Hollisterze, Pitkinie i Lucille. Wszystko poszło tak, jak sobie zaplanował. Poczekał, aż silnik zaczął hałasować, a z gaźnika dobywały się odgłosy podobne do strzałów i wtedy nacisnął spust, spokojny, że jeżeli ktoś nawet usłyszy strzał, weźmie go za dźwięk z gaźnika i nie zwróci na to żadnej uwagi. Potem włożył rewolwer do kieszeni, wszedł do wozu, pojechał na drugą stronę ulicy i zaparkował go przy krawężniku. Zostawił kluczyki w stacyjce, włożył nowy nabój do rewolweru, poszedł do mieszkania Lucille i odłożył rewolwer na swoje miejsce. Zrobiwszy to wszystko wszedł do swojego samochodu, pojechał po nowego szofera i czekał pod moim biurem aż do nadejścia Delli. Był na tyle przezorny, że kazał szoferowi jeździć dookoła, dopóki nie znajdzie miejsca do parkowania w pobliżu, tak żeby sprzedawca cygar zauważył go i zapamiętał. Miał szczęście, bo Della również zwróciła uwagę na samochód i szofera.

Czekał na mnie dość długo, potem zadzwonił do swego agenta ubezpieczeniowego, a ten natychmiast poradził mu nie kontaktować się ze mną. Następnie agent ubezpieczeniowy przyjechał go zabrać i Argyle opowiedział mu historię, która tamtego przeraziła. Zaproponował więc, że wyłoży część pieniędzy ze swojej kieszeni i pojechali do Boba Finchleya.

- Skąd Argyle dowiedział się, że sekretarzyk był zamknięty, kiedy poszedłeś do mieszkania Lucille pierwszy raz?

- Musiał być gdzieś w pobliżu i obserwować mieszkanie. Widział, jak wchodzię. Po moim wyjściu Lucille wyszła również, wtedy wszedł do mieszkania i zobaczył, że sekretarzyk jest zamknięty. Ponieważ nie uczyniłem nic, żeby się z nim skontaktować, domyślił się, że nie mogłem poszukać numeru rejestracyjnego, który sam zapisał w notesie, przysłał mi więc przez specjalnego posłańca klucz do sekretarzyka wraz z drugim listem.

Jak wiecie, Lucille wyszła zaraz po mnie, Artur Colson mógł więc jej powiedzieć, co ma mówić. Myślała, że zastawiłem na nią pułapkę.

Kiedy Argyle zobaczył ją wychodzącą, wystrojoną jak lalka, był pewien, że poszła do Colsona. Już przedtem dorobił na wszelki wypadek klucz do sekretarzyka.

- Wysłał wtedy drugi list i klucz.

- Taki był jego plan, trzeba przyznać świetny. Gdyby nie to, że gazeta z ogłoszenia wpadła w ręce Charlotte Boone, która zjawiała się u nas i wskazała palcem na Caffee, nigdy byśmy niczego nie podejrzewali.

Zwróćcie teraz uwagę na coś, co było najbardziej podejrzane, jak się nad tym zastanowić. Kiedy poszedłem do Argyle'a po raz pierwszy, starał się zasugerować, że to on s a m prowadził samochód. Wyglądał na winnego i tak samo było, gdy poszedł do Boba Finchleya. Kiedy jednak

dowiedział się, że znaleźliśmy kierowcę który naprawdę spowodował ten wypadek, zaczął zwać winę na szofera. Zrozumiał, jak niebezpieczna była jego sytuacja i próbował się z niej wywinąć, zmyślając rozmowę z Pitkinem.

- Ale czy nie ujawniło to wszystkiego? - zapytał Drake.

- Na pewno, ale nic nie mógł na to poradzić. Oczywiście poczuł ulgę, kiedy się dowiedział, że gospodyni Hollistera była przekonana, że Lucille dostała dywanik od Hollistera. Tylko szczęśliwy przypadek zrzucił, że znaleziono samochód Hollistera. Gdyby go nie znaleziono, nie znaleziono by również i ciała.

Jeżeli chodzi o śmierć Hollistera, wszystko sprzysięgło się przeciw Argyle'owi, w wypadku śmierci Pitkina wszystko mu sprzyjało.

Widzicie, Lucille nie chciała wezwać policji, zanim nie dogada się z Willardem Bartonem. Barton zmusił ją do powiedzenia prawdy i podsunął jej pomysł podrzucenia rewolweru, żeby sprawić wrażenie, że Pitkin popełnił samobójstwo. Artur Colson z całą gotowością przystąpił do ścierania numerów z rewolweru. Kiedy Lucille ujrzała ciało swego byłego męża w garażu, musiało ją coś tknąć. Przyszło jej na myśl, że mógł zostać zabity przy użyciu jej rewolweru. Być może zauważyła, że ktoś dobrał się do sekretarzyka podczas jej nieobecności. Ja wyjąłem naboje z rewolweru. Oni go naładowali, wystrzelili jeden nabój i położyli rewolwer w garażu obok ciała.

- Hollistera najprawdopodobniej załatwili bardzo szybko - zauważył Drake.

- Tak. Gates zaplanował wszystko do najmniejszego szczegółu. Przyjechali do Hollistera około wpół do piątej Hollister był zły i wyłożył wszystko prosto z mostu. Gates był opanowany i gotowy na wszystko. Zabicie Hollistera i zawinięcie go w brezent trwało zaledwie parę minut. Potem

wszystko poszło gładko. Argyle wrócił tutaj przed siódmą i postarał się o alibi na resztę wieczoru.

- Nie rozumiem, jak udało ci się zmusić Argyle'a do puszczenia farby? - zapytał Drake.

- To dzięki tej liście z nazwiskami - odpowiedział Mason. - Tym go przygwoździłem. W południe dzwoniłem do każdego biura pośrednictwa pracy w mieście i prosiłem o podanie nazwisk osób najętych do pracy w charakterze szofera czwartego albo piątego tego miesiąca. Zebrałem w ten sposób piętnaście nazwisk ludzi zatrudnionych jako lokaje i służący i pokazałem tę listę Argyle'owi. Zobaczył wtedy nazwisko człowieka, którego przyjął do pracy i który był w tej chwili w autobusie jadącym do Detroit. To był dla niego ciężki cios. Zrozumiał wtedy, że wiedziałem o wszystkim.

- A skąd ci przyszło do głowy Detroit? - dopytywał się Drake.

- Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem - odpowiedział Mason. - To była tylko teoria. Po wydobyciu Argyle'a z rozbitego samochodu i zawiezieniu go do szpitala, gdzie przed śmiercią wszystko wyznał, Tragg sprawdził tę listę. Znalazł człowieka o nazwisku Orville Nettleton, który powiedział swojej gospodyni, że się wyprowadza, bo znalazł pracę i nowy pracodawca wysłał go do Detroit po samochód, a potem ma jechać do Meksyku, gdzie się spotkają. Człowiek ten promieniał z radości i wymienił nazwisko swego pracodawcy: Argyle.

- Ciekawa była ta sprawa - odezwała się Della - ale nie widzę tu honorarium.

- Obawiam się, że nie zobaczysz - uśmiechnął się Mason. - Bywa, że adwokat jest zmuszony do prowadzenia sprawy. Tę będziemy musieli zapisać jako zysk i stratę.

- To powinno cię oduczyć od zostawiania odcisków palców na rewolwerach - powiedział Drake.

- I nauczyć trzymania się z daleka od mieszkań dziewcząt - dodała Della.

- Wiecie przecież, że natychmiast oddałem klucz do mieszkania porucznikowi Traggowi - powiedział Mason z uśmiechem.

- Do licha, to prawda - roześmiał się Drake.

- Ciekaw jestem, co Tragg zrobił z tym kluczem.

- Miałeś pewne zadośćuczynienie, szefie - zadrwiła Della. - Spędziłeś miłe chwile tête à tête i jadłeś śniadanie z zalotną Lucille.

- Zalotną, ale ostrożną - zauważył Mason.

Drake zrobił oko do Delli.

- Zastanawiam się, czy Mason był równie ostrożny?

- Ja też się zastanawiam - odpowiedziała Della.

- Możecie się oboje zastanawiać - zezwolił im Mason ze śmiechem. - I pamiętajcie, że chociaż nic nie zariobiłem w sprawie o morderstwo, sprawa Finchley'a opłaciła mi się z nawiązką.

- Jeszcze jak - przyznał z podziwem Drake. - Myślałem, że się skrecę ze śmiechu, jak zobaczyłem minę sędziego Osborna, kiedy zrozumiał, co się stało. A szczególnie wtedy, kiedy Argyle cytował słowa Finchley'a o tym, co mówiłeś do niego o przechytrzeniu adwokatów przez agentów ubezpieczeniowych.

- À propos, Paul - powiedział Mason - przypomniało mi się, że spotkałem na korytarzu twoją sekretarkę. Prosiła, żeby ci powiedzieć, że klient w sprawie Emery chce się koniecznie z tobą widzieć.

Drake zerwał się z fotela wołając:

- Do licha, zapomniałem o Emery! Bądźcie zdrowi.

Mason patrzył jak zamyka drzwi za sobą.

- Ale go pogoniłeś - powiedziała Della. Mason skinał głową.

- Myślałem, że powinniśmy uczcić obiadem wydos-
stanie się z tak diabelsko sprytnej pułapki.

Spojrzała na niego z udaną skromnością.

- No, to dlaczego odesłałeś Paula?

- Bo sądziłem, że nie potrzebujemy opiekuna.

- O! - odpowiedziała Della Street. - To brzmi ekscy-
tująco.